

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**JÓZEF PIŁSUDSKI**

**BIBUŁA**

## Od Wydawcy

Zgromadzone w „Bibule” wspomnienia Józefa Piłsudskiego z okresu jego PPS-owskiej konspiracji, zamykają się w dziesięcioleciu 1893-1903. Jak nietrudno będzie Czytelnikowi zauważyć, bohaterowie opisywanych i komentowanych zdarzeń są bezimienni, podobnie jak anonimowe są fakty – nie do zidentyfikowania, bo pozbawione dat, wyprane z realiów geograficznych. Wybór takiej zakamuflowanej koncepcji uzasadnia w przedmowie do „Bibule” względami bezpieczeństwa sam autor. I jest to oczywiste, zważywszy surowość represji zaborców, prześladujących z całą bezwzględnością polskich działaczy niepodległościowych.

W „Bibule” Józef Piłsudski zachowuje dla siebie rolę krytycznego narratora, odnotowującego obserwacje i uwagi na temat pracy konspiracyjnej, której ostatecznym celem było podtrzymywanie i ugruntowywanie dążeń do przywrócenia Polsce niepodległości. Obecność autora pośród wspomnianych towarzyszy jest zaledwie wyczuwalna. Dzielenie z nimi losu z poczuciem najwyższych zagrożeń, jakie niesie podziemne zaangażowanie, jest wobec wyznawanych ideałów jak gdyby rzeczą nieistotną. A przecież Jego dokonania w pracy konspiracyjnej są nie mniej doniosłe, Jego poświęcenia nie mniej wartościowe i także warte przypomnienia, zwłaszcza powojennemu pokoleniu Czytelników. Dopowiedzmy wobec tego to, o czym się w „Bibule” nie wspomina. Dopiszmy też rolę, jaką w tym okresie odgrywał późniejszy twórca niepodległości Polski.

Jak wiadomo, w lipcu 1892 r. Józef Piłsudski powraca z Syberii, gdzie odbywał karę zesłania za wspomaganie wraz z bratem Bronisławem kierowanej przez Aleksandra Ulianowa (brata Lenina) grupy rewolucjonistów, przygotowujących zamach na cara Aleksandra III. Piłsudscy – Bronisław, student Uniwersytetu Petersburskiego i Józef, student medycyny Uniwersytetu w Charkowie – osadzeni w twierdzy Pietropawłowskiej otrzymali w procesie zamachowców, skazanych na śmierć przez powieszenie, zaledwie „ostrzeżenia”. Bronisław – 15 lat katorgi na Sachalinie, Józef – w odrębnym postępowaniu administracyjnym – 5 lat zesłania na Syberię. Faktycznie, co nie jest bez znaczenia i czemu wielokrotnie dawali w swoim życiu wyraz czynami i wypowiedziami, obaj byli przeciwnikami terroru i przemocy.

Powrót Piłsudskiego do Wilna zbiegał się z interesującymi wydarzeniami w ruchu narodowo-socjalistycznym. Choć z trudem poznawali go dawni przyjaciele – miał wybite dwa zęby na przodzie, twarz koloru brudnej ziemi i wychudłą postać – szybko napowrót stał się jednym z nich, angażując z tą samą jak niegdyś odwagą swoją niespożytą energię, mimo fatalnego stanu zdrowia i nie zważając na policyjny nadzór, pod jakim pozostawał. W mieszkaniu znanego polskiego socjalisty Dominika Rymkiewicza przy ul. Święciańskiej nawiązuje kontakty z wybitnymi działaczami Polskiej Partii Socjalistycznej, powstałej 23 listopada 1892 r. w Paryżu, po połączeniu się „Proletariatu”, „Zjednoczenia Robotniczego”, „Gminy Narodowo-Socjalistycznej” i „Związku Robotników Polskich”. Stając się jej członkiem i zaliczając się do grona bliskich współpracowników jednego z twórców PPS-u Aleksandra Sulikiewicza, wkrótce reprezentuje Litewską Sekcję w zawiązanej w marcu 1893 r. PPS Królestwa Polskiego. Częste wyjazdy do Warszawy dawały mu możliwość poznania polityków o innych orientacjach, m.in. Romana Dmowskiego z Ligi Narodowej,

a także emisariuszy Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich, którego organem prasowym był wychodzący od 1891 r. w Londynie „Przedświt”. Na jego właśnie łamach Piłsudski wykląda swoją wizję programu niepodległościowego polskiego socjalizmu, zaczynając od krytyki pisma w opublikowanym 3 lutego 1893 r. liście do redakcji, kierowanej przez dr Witolda Jodko-Narkiewicza. W licznych artykułach i korespondencjach porusza również problematykę ochrony wartości kultury narodowej i języka, samoobrony przed rusyfikacją i prześladowaniami, wreszcie uzmysławia wspólny interes wszystkich Polaków w dążeniu do odzyskania wolności. Już w numerze 8 „Przedświtu” (z sierpnia 1893 r.) ukazuje się jego artykuł zatytułowany „Stosunek do rewolucjonistów rosyjskich” z redakcyjną uwagą: „Artykuł poniższy, nadesłany nam z kraju, należy uważać za oficjalne wypowiedzenie się Polskiej Partii Socjalistycznej w kwestii stosunku jej do rewolucyjnych grup rosyjskich”. „Rom” – bo tak Józef Piłsudski podpisuje swoje publikacje – zyskuje w partii coraz większe uznanie.

Na przełomie czerwca i lipca 1893 r. w Lasach Ponarskich niedaleko Wilna odbył się kilkudniowy pierwszy zjazd PPS, w którym wzięły udział organizacje warszawska, wileńska i petersburska. Poprzez Ignacego Daszyńskiego i Jana Kozakiewicza reprezentowana była też organizacja galicyjska i Śląska Cieszyńskiego, a poprzez Stanisława Grabskiego – organizacja zaboru pruskiego. Nurt działaczy ruchu robotniczego reprezentował członek byłego „Proletariatu” Julian Marchlewski oraz Róża Luksemburg. Zjazd miał m.in. wybrać delegację PPS na międzynarodowy kongres socjalistów z Zurychu. Podczas wymiany poglądów z ostrą krytyką spotkało się stanowisko Marchlewskiego i Luksemburg, uważających, że postulat niepodległości Polski koliduje z interesem klasowym i jest narzucany przez wroga robotnikowi inteligencję. Ich zdaniem trzeba podejmować walkę o wyzwolenie klasy robotniczej, a nie walkę o wyzwolenie Polski, której ziemie powinny być wcielone do terytorium zaborców. Oczywiście oboje nie otrzymali mandatu do Zurychu, a po kongresie, lansując nadal uparcie tezę organicznego wcielenia Polski do Rosji i dochodząc do wniosku, że ziemie zaboru pruskiego są niemieckie, a austriackiego – habsburskie, utworzyli własną organizację Socjal-Demokrację Królestwa Polskiego, rozszerzając ją od 1900 r. na Litwę (SDKPiL) i pozyskując w jej szeregi głównie biedotę żydowską.

Na zjeździe w Lasach Ponarskich postanowiono wydawać „Robotnika” jako organ PPS. Pierwszy jego numer ukazał się jednak dopiero w następnym roku. Tymczasem w kraju kolportowano „bibułę” drukowaną przez ZZSP w Londynie, której przerwę organizował Stanisław Wojciechowski, pierwszy emisariusz podziemnej Polski, późniejszy prezydent Rzeczypospolitej. Niepoślednią rolę w przemyśle PPS-owskiego pisma przez graniczne „dziury” odgrywał wspomniany już Aleksander Sulkiewicz, polski Tatar wyznania muzułmańskiego, oficjalnie urzędnik komory celnej w rejonie Wierzbowa na granicy Suwalszczyzny i Prus.

W połowie lutego 1894 r. w mieszkaniu prawnika Jana Stróżeckiego przy ul. Niecałej 12 w Warszawie, odbył się drugi zjazd PPS, który zaakceptował opracowaną przez Józefa Piłsudskiego ustawę organizacyjną powołującą Centralny Komitet Robotniczy jako władzę decydującą o wszystkich zagadnieniach życia partii w okresie między zjazdami. Wśród jego zadań, również dzięki Piłsudskiemu, zdecydowanie dominować zaczynały postulaty krzewienia poczucia świadomości narodowej, co socjalistów owych czasów bardzo zbliżało do niemniej znaczącej siły podziemia Ligi Narodowej. Jednym z przejawów ideowego współdziałania była zorganizowana 17 kwietnia 1894 r., w setną rocznicę powstania Kilińskiego, potężna wspólna manifestacja w Warszawie. W „Przedświcie” i redagowanym przez Jana Ludwika Popławskiego organie teoretycznym LN, drukowanym we Lwowie „Przeglądzie Wszechpolskim”, wypowiedzi się wspólną walkę przeciwko haniebnym

przejawom wiernopoddania, uległości, a zwłaszcza kolaboracji i gorliwości w wykonywaniu zarządzeń zaborców oraz towarzyskim koneksjom z nimi. Ostrzega się prowokatorów, szpiclów, jak też i naczelników zarządów żandarmerii przed prześladowaniami Polaków. Żąda się przy tym poszerzenia uprawnień polskich instytucji publicznych i praw do szkół z językiem polskim, dostępu do literatury, upowszechniania Sienkiewicza, Mickiewicza, Krasińskiego i ulubionego przez Józefa Piłsudskiego, uduchowionego Słowackiego.

O życiu prywatnym Piłsudskiego w tym okresie wiemy niewiele. Wiadomo, że podczas spotkań socjalistów w mieszkaniu Dominika Rymkiewicza poznaje Marię z Koplewskich Juskiewiczową, piękną córkę znanego wileńskiego lekarza. Studiowała w Petersburgu, tam wyszła za mąż za inżyniera Mariana Juskiewicza, urzędnika Ministerstwa Komunikacji, z którym miała córkę Wandę. Po rozwodzie przeniósł się do Warszawy, gdzie za przynależność do grupy konspiracyjnej „Głos” została aresztowana i odesłana do miejsca urodzenia, tj. do Wilna, pod nadzór policji. Wtedy to poznała młodszego od siebie o cztery lata Józefa Piłsudskiego. Przez następne lata w organizacji uznawana była za niezwykle odważną „dromaderkę”, przewożącą przez granicę bibułę, a także świetną pomysłodawczynią metod konspiracyjnego kamuflażu.

Kontakty Piłsudskiego z Piękną Panią – jak ją nazywano – siłą rzeczy były ograniczone. Nawet wtedy, kiedy udało się im wymknąć spod policyjnej opieki. Piłsudski pozbył się jej stosunkowo dość szybko. Świadczy o tym wystosowana 12 lipca 1893 r. z departamentu policji do naczelnika wileńskiego gubernialnego zarządu żandarmerii „informacja o poszukiwanych osobach”, polecająca odnalezienie Piłsudskiego i powiadomienia o tym władz w Petersburgu. Policji wiadomo było w tym momencie, że Piłsudski wyjechał 29 kwietnia z Wilna do Kowna, podróżował po gubernii kowieńskiej do 28 sierpnia i w tym dniu z powrotem udał się do Wilna. Tu jednak go już nie zobaczono. W opisach dla żandarmów podano, że liczy 27 lat, jest wzrostu 2 arszyny i 7½ werszka (177 cm; 5 stóp i 9 cali), ma ciemno-blond włosy, jasno-blond bokobrody, brwi zrosnięte, oczy szare, na dolnej konsze prawego ucha czarne znamię wielkości łebka od szpilki i brakuje mu dwóch przednich zębów... A propos. W jednym z listów pisanych do towarzyszy z ZZSP w Londynie Piłsudski żalił się, że sztuczne zęby, wykonane dla niego przez Rozalię Dębską, żonę znanego pepeessowskiego działacza Aleksandra Dębskiego, skradziono mu wraz z portmonetką zawierającą 3 ruble. „Que faire? Los mój widocznie bez zębów”... Dodajmy tu, że zęby wybili mu strażnicy w Irkucku, najprawdopodobniej podczas tłumienia buntu więźniów. Na ślubie z Marią Juskiewiczową, 15 lipca 1899 r., uśmiechał się już pełnym użębieniem.

Dwie przyczyny miały niebagatelny wpływ na podjęcie decyzji Piłsudskiego o zawarciu małżeństwa. Pierwszą było długo oczekiwane przerzucenie maszyny drukarskiej, tzw. bostonki, z Lipska (gdzie kupił ją w czerwcu 1894 r. Stanisław Wojciechowski) na wileńszczyznę do Lipniszek. Żeby bowiem drukarnia mogła bezpiecznie funkcjonować, trzeba było prowadzić w tych pomieszczeniach rodzinne gospodarstwo, nie wzbudzające podejrzeń sąsiadów, nie mówiąc już o policji. Drugą przyczyną był przepis prawodawstwa rosyjskiego, w myśl którego żona nie odpowiadała za działalność męża w przypadku jego aresztowania. Z Lipniszek, miejsca wydawałoby się wymarzonego dla drukarni, po wydaniu sześciu numerów „Robotnika” – pierwszy ukazał się z datą 12 lipca – „bostonkę” przeniesiono do Wilna. W zacisznych Lipniskach „młockarnia” – uznano – czyniła zbyt dużo hałasu, a poza tym zecer wdał się w romans z miejscową panną, co zmniejszało gwarancje niewykrywalności wydawnictwa. W Wilnie przez kilka miesięcy maszynę przewożono z miejsca na miejsce, by ostatecznie zainstalować ją dosłownie pod nosem policji, w mieszkaniu Stanisława Wojciechowskiego, do którego wprowadziło się małżeństwo z paszpor-

tami wystawionymi na nazwisko Dąbrowskich i metryką ślubu wydaną przez kancelarię kościoła Bernardynów. Faktycznie Piłsudscy stali się małżeństwem po ślubie w kościele augsbursko-ewangelickim w Paproci Dużej, w guberni łomżyńskiej. Stało się tak po załatwieniu w Łomży, zapewne dzięki solidarnościowym stosunkom pepeesowskim, formalności przejścia Józefa Piłsudskiego na wyznanie protestanckie, jako że takiego wyznania była Maria Juszkiewiczowa.

Piłsudski, wywodzący się z głęboko wierzącej, religijnej rodziny – co może się wydawać nieco dziwne – nie przywiązywał do takiej metamorfozy większego znaczenia, uważając się nadal za katolika. Zmiana wyznania – jeśli trzeba, fałszywe dokumenty ułatwiające życie, były nagminnymi praktykami w konspiracyjnym bycie.

Historycy uważają, że od 1 listopada 1894 r., tj. od śmierci cara Aleksandra III, a jeszcze ściślej z chwila ukazania się w „Robotniku” z datą 9 listopada napisanej przez Piłsudskiego, a sygnowanej przez PPS, „Odezwy na śmierć cara”, Józef Piłsudski stał się pierwszoplanową postacią w partii. W jego gestii pozostają całkowicie sprawy ideowe i finansowe PPS-u. On też reprezentuje krajową organizację na zjeździe ZZSP w Genewie, ustalając wcześniej w Londynie, m.in. z Ignacym Mościckim, zasady dalszej współpracy (grudzień 1894 r.). On rozmawia z przedstawicielami socjalistów w Berlinie (styczeń 1895 r.), a także spotyka się z rewolucjonistami Rygi, Dorpatu, Petersburga i Kijowa (1895 r.). Kontakty te pozwalają mu szerszym spojrzeniem ogarnąć ruch socjalistyczny i robotniczy, upewnić się w rozeznaniu sytuacji politycznej i stają się pomocne w przewidywaniach rozwoju wydarzeń. *„Socjalizm w Polsce jest najdalej na wschód wysuniętą placówką socjalizmu europejskiego. Toteż naszą rolą jest rola obrońcy Europy przed rosyjskim wstępnictwem carskim, zaborczym i reakcyjnym uciskiem, przed poniżającym niewolnictwem, przed widmem nędzy”* – głosi z mównicy podczas spotkań z robotnikami i w cyklu artykułów uzasadniających przytoczone tu poglądy. W jednym z szerszych wywodów, opublikowanych w 9 numerze „Robotnika” pt. „Nasze hasło”, Piłsudski konsekwentnie wskazuje tylko jedną drogę: *„w walce ... o prawa polityczne, hasłem może być wyłącznie Niepodległa Polska, która dzięki wpływowi proletariatu inną, jak demokratyczną, być nie może”*. Tylko Niepodległa i tylko demokratyczna.

Władze policyjne coraz bardziej rozszerza pepeesowski lider. O wściekłość przyprowadzają je opisywane w „Robotniku” przypadki znęcania się zaborców nad ludnością polską, wskazywanie szpicliów i kolaborantów. Co rusz mylą trop w poszukiwaniach znienawidzonego autora, wprowadzani w błąd przez przechwytywaną korespondencję Piłsudskiego do rodziny w Wilnie, nadawaną bez przerwy to z Paryża, to z Londynu, to znów z Zurychu. Podczas gdy uruchamiają swoich agentów w państwach zachodniej Europy, Piłsudski czyni swoje po sąsiedzku: w Warszawie, Wilnie i w Łodzi, dokąd decyduje się (od 28 października 1899 r.) przenieść wraz z drukarnią „Robotnika”.

Wcześniej Piłsudski rzeczywiście przebywał w Londynie (od początku marca do 20 sierpnia 1896 r.), gdzie nawiązał kontakty z rewolucjonistami rosyjskimi (m.in. z Plechanowem), żydowskimi ze Stanów Zjednoczonych, działaczami niemieckimi (m.in. z Liebknechtem, który obiecał bronić sprawy polskiej na IV Kongresie Drugiej Międzynarodówki Socjalistycznej), a także socjalistami francuskimi – Aleksandrem Millerandem i Aristide Briandem, z którymi po latach odnowił znajomość już jako naczelnik państwa polskiego. Występując w Londynie jako rzecznik sprawy niepodległości Polski, z takiej też perspektywy, wspólnie z Ignacym Mościckim, Bolesławem Jędrzejowskim, Ignacym Daszyńskim, Aleksandrem Dębskim i Witoldem Jodko-Narkiewiczem przygotował na kongres międzynarodówki rezolucję, w której PPS oświadczała, że niepodległość Polski jest żądaniem politycznym, koniecznym tak dla międzynarodowego ruchu socjalistycznego,

jak i dla samego proletariatu. Najprawdopodobniej rezolucja tej treści została by zaakceptowana przez IV Kongres, który rozpoczął obrady w Londynie 27 lipca tego roku, gdyby nie jątrzące odezwy obecnych w Anglii Róży Luksemburg i Adolfa Warskiego. Niemniej kongres sformułował prawo samostanowienia o swoim losie każdego społeczeństwa i wyraził sympatię wszystkim, którzy walczą o wolność swoich narodów.

Z Londynu Piłsudski powraca bez brody. Jego złośliwi towarzysze w Wilnie rozposzechniali pogłoskę, której dziś wcale nie dementują historycy, że zgolił ją Mościcki, utrzymujący się tam z fryzjerstwa.

Po krótkich pobytach w Warszawie, Lwowie, Kownie i dwukrotnym w Petersburgu, Piłsudski od września 1896 do grudnia 1897 r. zajmuje się głównie sprawami finansowymi i organizacyjnymi partii, nie rezygnując przy tym z pracy publicystycznej, choć sprawy redagowania „Robotnika” pozostawia Stanisławowi Wojciechowskiemu. W listopadzie 1897 r. (siódmego i dwudziestego pierwszego) przedstawia na IV Zjeździe PPS uporządkowane sprawy organizacji i wygłasza pod dyskusję propozycję kierunków dalszej pracy. Wśród ważniejszych uchwał podjętych przez zjazd, na uwagę zasługuje zdecydowane potępienie Wszechzydowskiego Związku Robotniczego w Polsce i Rosji („Bund”), wyrzekającego się solidarności z proletariatem polskim i litewskim w walce o wyzwolenie z niewoli rosyjskiej.

W tym czasie Piłsudski cieszy się już niekwestionowanym autorytetem.

W okresie Świąt Bożego Narodzenia, krajowa delegacja PPS bierze udział w zjeździe ZZSP w Zurychu. Usiłując stale zacieśniać więzy ze Związkiem Zagranicznym, Piłsudski pragnie narzucić przygotowane propozycje usprawnień tej współpracy, nie naruszając obsady personalnej. „Opozycja” jednak przeforsowuje zmiany kadrowe, powierzając m.in. Leonowi Wasilewskiemu Redakcję „Przedświtu” – mimo podjętej przez Piłsudskiego żarliwej obrony Witolda Jodko-Narkiewicza. Na zjeździe tym postanowiono wydawać pismo popularno-naukowe pod nazwą „Światło”. Znaczenia tej decyzji nie trzeba uzasadniać.

Po powrocie z Zurychu Piłsudskiemu wpada w ręce nie byle gratka. Z petersburskiej organizacji PPS otrzymuje wykradzony memoriał księcia Aleksandra Imeretyńskiego, generał-gubernatora „Kraju Przywiślańskiego”, wraz z licznymi kompromitującymi namiestnika i rząd carski dokumentami dotyczącymi polityki rosyjskiej na ziemiach polskich. CKR decyduje, by tak poważną sprawą zajął się sam Piłsudski i nakłania go do przygotowania odrębnej publikacji w Londynie. Tak więc 20 czerwca 1898 r. Piłsudski kolejny raz wyrusza do Londynu i tam 2 sierpnia tegoż roku pozostawia opracowany materiał, który wraz z obszernym wstępem liczył później w druku 146 stron.

Niezależnie od książkowego wydania memoriału, na temat księcia Imeretyńskiego ukazują się publikacje w „Robotniku” (m.in. 28 numer z 10 lipca), które niczym kij włożony w mrowisko wywołują gorączkę w kręgach policyjnych. Naczelnik żandarmerii na powiaty warszawski, nowomiński i radzyński, płk Lew Uthoff, który dość często gościł na łamach „Robotnika” (choćby w artykułach Piłsudskiego: nr 7 z 6 czerwca 1895 r. pt. „Gorliwość żandarmera” i nr 23 z 29 czerwca 1897 r. pt. „Zabiegi żandarmerii”), tym razem był załamany. W rozpaczy okłamuje departament policji, informując, że „Robotnik” drukowany jest za granicą, a Piłsudskiego nie ma w kraju.

Wydarzeniami drugiej połowy 1898 r. były odsłonięcia trzech pomników: Mickiewicza w Krakowie (26 czerwca), Murawiewa w Wilnie (21 listopada) i Mickiewicza w Warszawie (24 grudnia). Uroczystościom towarzyszyły spontaniczne demonstracje wywołane wcześniejszymi publikacjami socjalistów i endeków. Martwe, bo zbojkotowane uroczystości urzędowe pod pomnikami Mickiewicza, tłumne – mimo kozackich kohort atakujących nachajkami milczące zgromadzenia w innych dniach, w odpowiedzi na odezwy podziemia.

Przed odsłonięciem pomnika Murawiewa-Wieszatiela, Piłsudski tak pisał w „Robotniku” (nr 29 z 11 października – „Pomnik kata”): „*Rząd carski za przykładem wszystkich despotów wschodu lubuje się w zewnętrznych przejawach uległości i pokory, w obrażaniu godności ludzkiej... Mało mu uczynić człowieka niewolnikiem, mało powalić, trzeba jeszcze pokonanemu wymierzyć policzek*”. Wilno przyjęło ten policzek godnie – nie wywieszając flag i nie uczestnicząc w ceremonii.

W początkach kwietnia 1899 r. Piłsudski przybywa do Londynu w sprawie, o którą bił się od lat. Związek Zagraniczny Socjalistów Polskich przekształca się w Oddział Zagraniczny PPS, by w następnym roku zostać całkowicie wchłoniętym przez partię. Tak więc wszyscy polscy socjaliści stali się socjalistami jednej organizacji.

Z tych skrótowych informacji wydawać by się mogło, że droga Piłsudskiego, którą wiódł partię, usłana była różami. Same sukcesy, żadnych porażek. Otóż nie. W tej walce, bo była nią w istocie, PPS straciła wielu towarzyszy. Na śmierć, syberyjską katorgę, wieloletnie zesłania i ciężkie więzienia skazani byli m.in.: Bolesław Czarkowski, Maksymilian Horwitz, Rajmund Jaworowski, Feliks Konn, Ludwik Kulczycki, Jan Kwapiński, Bolesław Limanowski, Aleksander Malinowski, Romuald Mielczarski, Józef Mirecki, Stefan Okrzeja, Kazimierz Pietkiewicz, Ksawery Prauss, Aleksander Prystor, Jan Rutkiewicz, Feliks Sachs, Walery Sławek, Jan Stróżecki, Aleksandra Szczerbińska – żeby wymienić tylko co bardziej znanych działaczy. Ilu ucierpiało takich, o których zapomniała historia?

28 października 1899 r., w Łodzi przy ul. Wschodniej 19/4, wynajmują mieszkanie państwo Dąbrowscy. 3 grudnia kolporterzy wnoszą stamtąd pierwsze paczki z 34 numerem „Robotnika”. Powodem do przeniesienia tam drukarni z Wilna było – jak pisze Piłsudski (15 listopada do Wojciechowskiego w Londynie) – „*lamanie wszelkich praw i prawidełek konspiracyjnych*” wobec ospałości policji. Taka sytuacja stała się niebezpieczna. W kolejnym liście (7 stycznia 1900 r.) do Wojciechowskiego pisze o masowych aresztowaniach w Warszawie i aktywności szpiclów: „*wszędzie ich pełno, wygląda, jakby fioty (żandarmi, nazywani tak od fioletowych wypustów przy mundurach) chciały urządzić porządną branżę*”.

19 lutego z Warszawy do Łodzi przyjeżdża Aleksander Malinowski, członek CKR. Jest obserwowany. Dwudziestego pierwszego spotyka się przy Wschodniej z Piłsudskim. Tego samego dnia późnym wieczorem zostaje aresztowany na dworcu w Łodzi. O godz. 3 w nocy do mieszkania Piłsudskich wchodzi policja. Silna eskorta żandarmów i więzienie przy ul. Długiej do 17 kwietnia. Potem X pawilon Cytadeli w Warszawie i ciągnące się miesiącami przesłuchania. 15 grudnia Piłsudski zostaje przewieziony do Petersburga i osadzony w zamkniętym, pilnie strzeżonym szpitalu dla obłąkanych, zwanym szpitalem Mikołaja Cudotwórcy. Jak do tego doszło. Do Cytadeli i odwrotnie szły grypsy, w których wybitny psychiatra dr Rafał Radziwiłłowicz, brat Oktawii Żeromskiej, słał Piłsudskiemu informacje opisujące objawy idiosynkrazji. Następnie Maria Paszkowska z Kasy Pomocy Więziennej prosi o zbadanie aresztanta przez psychiatrę. Rosyjskim specjalistą w tej dziedzinie był w Warszawie dr Iwan Szabasznikow, uważający się za Sybiraka. Jak nietrudno było przewidzieć, już podczas pierwszego badania rozmowa potoczyła się o znanej Piłsudskiemu skądinąd Syberii. Orzeczenie Szabasznikowa, który od razu poznał się na symulowaniu choroby, brzmiało: „*stan psychiczny – groźny! Psychosis hallucinatoria acuta!*” A o wszystkim pomyślał, wszystko zaaranżował Aleksander Sulikiewicz. W Petersburgu nakłonił świeżo upieczonego adepta Wojskowej Akademii Medycznej Władysława Mazurkiewicza do szukania pracy w szpitalu Mikołaja Cudotwórcy, mimo że ten był lekarzem chorób skórnych i wenerycznych. Wbrew pozorom nie było to szaleństwem, gdyż dyrektorem Szpitala był Polak dr Bronisław Czczot. Tak więc, kiedy lekarz dyżurny Mazurkiewicz



kazał wieczorem 14 maja 1904 r. sprowadzić do swego gabinetu Piłsudskiego, bramy szpitala jakby się uchyliły. W przebraniu obaj opuścili gmach wyjściem dla personelu i dwukrotnie zmieniawszy dorożki dojechali do umówionego miejsca na Wasilewskim Ostrowie. Tam czekał na nich Sulkiwicz. Jeszcze tej samej nocy, w mundurach urzędników komory celnej, odjechali pociągiem do Tallina.

Maria Piłsudska po 11 miesiącach więzienia w Cytadeli, zgodnie z prawem, została uznana ofiarą miłości i zwolniona za kaucją 500 rubli, musiała udać się do rodzinnego Wilna.

Piłsudski z Sulkiwiczem, a w ślad za nimi Mazurkiewicz, przez Rygę, Wiaźmę, Chełm i Kijów szczęśliwie dojechali do Lwowa. Na Polesiu, koło Żytkowic, do uciekinierów dołączyła Maria Piłsudska, która razem z mężem 20 czerwca 1901 r. zamieszkała we Lwowie w gościnnym domu państwa Jodków przy ul. Mickiewicza. Stąd popłynęła szeroko korespondencja przygotowująca wznowienie pracy sparaliżowanej przez kilkanaście miesięcy organizacji.

Pierwsza sztabowa narada odbyła się 16 listopada w Londynie, dokąd Piłsudscy przybywają z zamiarem spędzenia tam Świąt Bożego Narodzenia i poddania się wszechstronnym badaniom lekarskim. Od grudnia do kwietnia 1902 r. rekonwalescent Piłsudski zajmuje się pisaniem artykułów do „Przedświtu” i wydawanego w Genewie rosyjskiego pisma „Swoboda”.

W chwili nadejścia wiadomości o aresztowaniu w Kijowie Ksawerego Praussa związanego z redagowaniem tam „Robotnikiem” i Jana Miklaszewskiego kierującego przemysłem bibuły do Galicji, Piłsudski postanawia zająć się sytuacją partii w kraju. 16 kwietnia przybywa do Krakowa, dwudziestego pierwszego wyjeżdża do Lwowa, stamtąd jedzie do Wilna, gdzie porządkuje sprawy rodzinne w związku ze śmiercią (15 kwietnia) ojca. Podczas spotkań ze starymi towarzyszami po raz pierwszy poznaje w Wilnie Walerego Sławka, który pomaga mu w przygotowaniu IV Zjazdu PPS-u, wyznaczonego na połowę czerwca. Istotną zmianą wprowadzoną podczas zjazdu było powołanie Komisji Wykonawczej jako stale funkcjonującego organu PPS-u. W Lublinie zapadła też decyzja o wydawaniu pisma zatytułowanego „Walka”, a przeznaczonego dla Litwinów.

Do końca 1902 r. Piłsudski zajmuje się odbudową sieci łączności, organizacją punktów przerzutowych bibuły i przeniesieniem Redakcji „Przedświtu” z Londynu do Krakowa. Gdy już się z wszystkim uporał, powraca do pióra. „Przedświt”, „Walka”, „Robotnik” i ciągle drażnienie umysłów. Z Krakowa, który uczynił swoją bazą i skąd udawał się w liczne rozjazdy, postanawia wraz z małżonką latem 1903 r. przenieść się do Rytra. Tu właśnie powstaje „Bibuła”, a właściwie tylko jej pierwsza z zapowiadanych trzech części. Ani część druga, w zamiarze mająca traktować o „organizacyjnej i agitacyjnej stronie życia rewolucyjnego”, ani część trzecia mająca omawiać „efekty pracy rewolucyjnej i zmiany, jakie wywołuje w stosunkach społecznych”, nigdy nie zostały napisane. Galopujące zdarzenia następnych lat nie pozwalały Józefowi Piłsudskiemu zajmować się wspomnieniami.

Nie będąc w stanie Go w tym wyręczyć, możemy jedynie przyrzec wydanie kolejnej pozycji z Jego bogatej spuścizny – „Moich pierwszych bojów”.

# WALKA REWOLUCYJNA W ZABORZE ROSYJSKIM FAKTY I WRAŻENIA Z OSTATNICH LAT DZIESIĘCIU

## CZEŚĆ I BIBUŁA

*„Bibuła” powstała na skutek propozycji, zwróconej do Józefa Piłsudskiego przez Ignacego Daszyńskiego, redaktora naczelnego „Naprzodu”, krakowskiego organu codziennego Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej Galicji i Śląska. „Naprzód” z 27. VIII. 1903 (nr 234 rocznika XII) na stronie pierwszej, w pierwszej kolumnie umieścił następujące ogłoszenie:*

*„Z początkiem września rozpoczniemy druk nader interesującego felietonu p.t.*

*WALKA REWOLUCYJNA POD ZABOREM ROSYJSKIM  
wrażenia i fakty z ostatnich lat dziesięciu.*

*Autor, jeden z najwybitniejszych naszych towarzyszy, pracujący w szeregach Polskiej Partii Socjalistycznej, roztacza w szeregu opisów całokształt potężnego pasowania się polskiego proletariatu z przemocą rządów carskich i ze starym ustrojem w Polsce.*

*Rzecz cała napisana barwnie i zajmująco, a nasi czytelnicy w Galicji poznają cały ogrom przeciwieństw, męczarni i poświęceń, składających się na wyzwolenie polskiego proletariatu pod zaborem rosyjskim.*

*Redakcja „Naprzodu”.*

*Ogłoszenie to powtórzono w nrach 235–240 „Naprzodu”.*

*Pisana w Krakowie i dostarczana redakcji „Naprzodu” kawałkami, „Bibuła” była drukowana w odcinkach nrów: 246, 248–250, 254, 256, 257, 260–262, 264, 266–271, 274–276, 281, 282, 285, 288, 292, 296, 297, 302–306, 309, 311–313, 316–320, 323–327, 329–334 tego pisma od 28. VIII. do 5. XII. 1903 r. p.t. „Walka rewolucyjna pod zaborem rosyjskim. Wrażenia i fakty z ostatnich lat dziesięciu. Bibuła”. Felietony te były drukowane przez cały czas bezimiennie. Dopiero w nrze 334 „Naprzodu” z soboty 5. XII. 1903 zjawiała się w „Kronice” (str. 2, kolumna 3) następująca notatka: „Walka rewolucyjna w Rosji”. W dzisiejszym felietonie kończymy druk pierwszej części tych zajmujących opowiadań, których autorem jest towarzysz Józef Piłsudski. Drugą część będziemy drukowali w przyszłym roku. Odbitka pierwszej części wyjdzie z druku w wydaniu książkowym za parę dni”.*

*Wydanie książkowe różni się od felietonów „Naprzodu” tylko tym, że zostało uzupełnione wstępem i pierwszym podtytułem – „Trochę historii”. Z zamierzonych trzech części, o których mowa na wstępie pracy, do skutku doszła tylko pierwsza – „Bibuła”.*

*Treścią jej były wspomnienia o faktach, które nie zatraciły były jeszcze swej aktualności, wobec czego nie można ich było omawiać z całkowitą swobodą ze względu na interesy konspiracji i biorących w niej udział osobistości. Stąd niewymienianie nazwisk osób charakteryzowanych i zastępowanie tych nazwisk literami X., Z. itd. Stąd pewnego rodzaju „stylizowanie” treści i podawanie własnych rewolucyjnych przeżyć autora w postaci zasłyszanych rzekomo od innych obserwacji i charakterystyk. Ta stylizacja występuje już we wstępie, gdzie autor przedstawia siebie jako biorącego „niekiedy” udział w pracach stronnictwa rewolucyjnego. Obok tego „Bibula” nie ujawnia udziału jej autora w działalności rewolucyjnej po r. 1900, tj. po aresztowaniu go przez władze rosyjskie w Łodzi i ucieczce z Petersburga. Wszystko to jest zupełnie zrozumiałe ze względu na to, że Józef Piłsudski stał wówczas na jednym z najbardziej odpowiedzialnych stanowisk kierowniczych w P. P. S. zaboru rosyjskiego i od czasu do czasu udawał się nielegalnie do tego ostatniego, gdzie był każdej chwili narażony na aresztowanie i pociągnięcie do odpowiedzialności przez władze carskie. Materiał, wyjaśniający pewne niedomówienia, niektóre nazwiska osób, występujących w „Bibule”, i rozmaite okoliczności, dotyczące przemytu „bibuły” zawiera praca Józefa Nowickiego „Wspomnienia starego działacza” drukowana w t. XIII „Niepodległości”.*

## W S T Ę P.

Ktoś powiedział niegdyś, że Polacy są narodem konspiracji i rewolucji. Zdanie to dotyczy się epoki przedpowstaniowej, zakończonej epopeą 1863 roku. Wątpię jednak, by kiedykolwiek w przeszłości – wyłączając, naturalnie, krótkie okresy walki orężnej i bezpośrednich przygotowań do niej – było ono słuszniejszym, niż dzisiaj, przynajmniej dla zaboru rosyjskiego. W obecnym czasie ruch rewolucyjny, organizacje i kółka konspiracyjne tak szeroko się rozgałęziły w zaborze rosyjskim, zyskały tak powszechne prawo obywatelstwa polskiego, że prawdopodobnie większa część społeczeństwa polskiego tak lub inaczej jest z nimi ustosunkowana.

Jednych życie rewolucyjne pochłania całkowicie, czyniąc z nich zawodowych konspiratorów; drugich wciąga ono w swój wir częściowo, modyfikując i zastosowując do swych wymagań ich życie prywatne, pozarewolucyjne; trzecich zaczyna ono pośrednio, przez pierwszych i drugich, robiąc z nich chwilowych uczestników tej czy owej funkcji rewolucyjnej, lub związując ich tak czy inaczej z życiem rewolucyjnym przez węzły pokrewieństwa, miłości, przyjaźni i nawet zwykłej znajomości z konspiratorami. Wreszcie do najszerszych kół dochodzą odgłosy bojów, toczonych w zaborze rosyjskim przez wzrastającą w siły rewolucję z przemocą rządową. Odgłosy te, w postaci druków nielegalnych, strajków, manifestacji, aresztowań i rewizji, stały się niejako chlebem powszednim, czymś ogólnie znanym, omawianym i rozstrząsanym przez ogół Polaków pod berłem carskim.

Pomimo jednak szerokości ruchu rewolucyjnego, pomimo, że wtargnął on nawet w dziedzinę życia prywatnego mnóstwa ludzi, dotąd jest on bardzo mało znany szerszemu ogółowi. Pochodzi to po pierwsze stąd, że najczęstszym stykaniem się z ruchem rewolucyjnym jest stykanie się z jego efektami publicznymi, z natury rzeczy nie mogącymi dać wyobrażenia o głęboko i rozmyślnie ukrytych ich sprężynach. Następnie musowe osłanianie tajemnicą szczegółów życia rewolucyjnego nie pozwala na badanie go przez niedyskretne oczy. Wreszcie ogromna większość ludzi, biorących obecnie udział w ruchu rewolucyjnym, to ludzie pługa i kielni, nie pióra, zatem trudno jest oczekiwać, by przez nich życie rewolucyjne znalazło swe odbicie w literaturze.

Wobec tego przy ocenach ruchu rewolucyjnego u nas stałym zjawiskiem jest przesada w tę lub inną stronę. Gdy jedni tworzą przesadne, pełne fantazji legendy o rozmiarach, siłach i kierunku organizacji rewolucyjnych w zaborze rosyjskim, inni nie doceniają ich znaczenia i pracy, widząc w nich wybryki niedojrzałej młodzieży, albo też zapoznając olbrzymie wysiłki umysłu i energii ludzi, organizujących i wprawiających w ruch maszynę rewolucyjną.

Należąc do stronnictwa rewolucyjnego, znając wielu z jego przedstawicieli, biorąc niekiedy udział w jego pracach, zebrałem mnóstwo spostrzeżeń i danych, które sam dla siebie starałem się nieraz zszeregować i zgrupować w jedną całość, by sobie dokładniej przedstawić stan rzeczy w Polsce.

Od dawna też nosiłem się z zamiarem spisania tych wrażeń. Życzenie moje zbiegło się z chęcią redakcji „Naprzodu” zaznajomienia swych czytelników z życiem i walkami braci z za kordonu.

Zgodnie z życzeniem redakcji wybrałem dla swej pracy formę felietonową. Wybrałem ją nie tylko dlatego, że była ona najłatwiejszą w wykonaniu, lecz i dlatego, że ułatwiła mi ona uporanie się z największą przeszkodą – względem na bezpieczeństwo towarzyszków, pracujących na niwie rewolucyjnej, mających za plecami żandarma, a przed oczami cytadelę. W felietonie łatwiej, niż w poważniejszym dziele, unikać stawiania kropki nad „i”, łatwiej pominąć to lub owo, usunąć niepotrzebne szczegóły lub łączyć je w jedno dla uplastycznienia zjawisk typowych. Nie zaprzeczę jednak, że to ustawiczne trzymanie pióra na uwieży musiało wpłynąć ujemnie, zmniejszając żywość i barwność opisu.

Pracę swą podzieliłem na trzy części. Pierwsza z nich, stanowiąca obecne wydawnictwo, zawiera opis tej części życia rewolucyjnego, która ma styczność z rozwojem i rozpowszechnianiem druków nielegalnych – bibułą. Drugą część poświęcę – ludziom – organizacyjnej i agitacyjnej stronie życia rewolucyjnego. Wreszcie trzecią – efektom pracy rewolucyjnej i zmianom, jakie ona wywołuje w stosunkach społecznych u nas.

Dodać jeszcze muszę, że należąc do stronnictwa socjalistycznego i mając lepsze dane tylko o nim, pominąłem w zupełności wszystko to, co się tyczy innych, a raczej innego stronnictwa, pracującego tajnie w zaborze rosyjskim. Mówię o stronnictwie narodowo-demokratycznym.

Wreszcie niech mi będzie wolno złożyć tu serdeczne podziękowanie tym znajomym i przyjaciółom, którzy, nadsyłając mi swoje wrażenia, uwagi i spostrzeżenia, niechybnie się przyczynili do zwiększenia wartości mej pracy.

Kraków, 3 listopada 1903 r.

## TROCHE HISTORII

Bibułą w żargonie rewolucyjnym zowią każdy druk nielegalny, nieopatrzony sakramentalną formułą: „dozwoleno cenzuroju”<sup>1</sup>. Ilość tej bibuły z rokiem każdym wzrasta, wsiąkając coraz głębiej w warstwy ludowe, zataczając coraz szersze koła. Uznał to sam rząd. Ks. Imeretyński w znanym swym memoriale stwierdza, że książka nielegalna wdarła się nawet pod strzechy włościańskie i przyczyniła się do wywołania nastroju przeciwrządowego wśród chłopów. Nie trzeba jednak przypuszczać, że bibuła w zaborze rosyjskim ma zawsze treść rewolucyjną. Rząd rosyjski krępuje życie społeczne w tak różnorodnych kierunkach, że bodaj nie ma stronnictwa, które nie jest zmuszone obecnie wydawać swe publikacje nielegalnie, bez cenzury. Nawet ugodowcy, zasadniczy przeciwnicy roboty nielegalnej, wydali kilka książek za granicą, by potem, niegorzej od rewolucjonistów, przemycić je przez kordon i rozpowszechnić w społeczeństwie. Jest więc bibuła klerykalna, patriotyczna, socjalistyczna, nawet ugodowa. Znajdziemy wśród niej utwory artystyczne wysokiej wartości, jak dzieła Wyspiańskiego lub Zycha, i lichoty patriotyczno-klerykalne; znajdziemy grube tomy badań historycznych i drobne broszurki rozmaitych stronnictw; znajdziemy wreszcie zwyczajne książki da nabożeństwa, pisma periodyczne, odezwy, obrazki, fotografie, korespondentki itp. rzeczy. Wszystko to przeciska się przez granicę różnymi drogami, rozchodzi się wszędzie, gdzie ludzie umieją czytać po polsku i staje się coraz bardziej potrzebą szerokiej, stale wzrastającej warstwy ludzi.

Nim jednak bibuła stała się tak poczytną, przejść musiała przez mnóstwo etapów i jej pierwsze kroki były bardzo skromne i niepewne. Gdy sobie przypomnę swe lata dziecinne, staje mi żywo w pamięci obraz mego pierwszego zetknięcia się z „bibułą”. Było to w dworku szlacheckim na Litwie jakie dziesięć lat po powstaniu. Wrażenie wieszatielskich rządów Murawjewa było jeszcze tak świeże, że ludzie drżeli na widok munduru czynowniczego, a twarze ich wyciągały się, gdy w powietrzu zabrzmiał dzwonek, zwiastujący przybycie któregoś z przedstawicieli władzy moskiewskiej. W tym to czasie matka moja wyciągała niekiedy z jakiejś kryjówki, jej tylko wiadomej, kilka książeczek, które odczytywała, ucząc nas, dzieci, pewnych ustępów na pamięć. Były to utwory naszych wieszczów. Tajemnica, którą te chwile były otaczane, wzruszenie matki, udzielające się małym słuchaczom, zmiana dekoracji, jaka następowała z chwilą, gdy niepożądany jaki świadek trafiał wypadkowo na nasze rodzinne konspiracje – wszystko to zostawiło niezatarte wrażenie w moim umyśle. Te właśnie książki wraz z kilku innymi – pieśniami historycznymi Niemcewicza, paru broszurkami z czasów przedpowstaniowych – były bodaj jedynymi przedstawicielkami nieocenzurowanej literatury w tym czasie. Ocalały one podczas burzy powstaniowej w niewielkiej ilości, a chowane przez pietyzm, jak relikwie, niszczone zaś przez tchórzostwo przy każdym istotnym lub przypuszczalnym niebezpieczeństwie, nie mogły wywierać szerokiego wpływu, ograniczając się najczęściej rodzinnym kołem posiadaczy takiej książki.

„Bibuła” w tym czasie znajdowała przytułek u tych, którzy uparcie stali przy przygaszonym krwią bohaterów 1863 r. i ledwie tlejącym zniczu narodowo-rewolucyjnym. Były

---

<sup>1</sup> Dozwolone przez cenzurę.

to jakby mogilne płomyki, nieśmiało i chwiejnie oświetlające smutne twarze rozbitków, ocalałych z ogólnej klęski. Ale na mogiłach wyrasta trawa – z popiołów powstaje nowe życie, żądne słońca i swobody. I w Polsce, która wówczas była jedną wielką mogiłą, zazieleniało; zjawilo się nowe życie, nowy ruch, który, zrobiwszy wyłom w modlitewno-rzeczonym stosunku do przeszłości, otworzył nowy okres dla nielegalnej książki. Mówię tu o ruchu socjalistycznym.

Od 1875–76 r. od czasu do czasu zaczynają się ukazywać druki socjalistyczne. Grono ich czytelników musiało, naturalnie, na razie być bardzo szczupłe, lecz zapal zwolenników idei socjalistycznej oraz jej zaraźliwość wśród ludu pracującego rozszerzały je szybko w tej właśnie warstwie narodu, do której dawniej cenzuralna nawet książka mały miała dostęp. Bibuła socjalistyczna przez dłuższy czas była jedyną, jaka istniała w sterroryzowanym po powstaniu 1863 r. społeczeństwie polskim. Z czasem jednak odrętwienie i przestach minęły, tym bardziej, że walka socjalistów naocznie przekonywała ludzi, iż wyłamywanie się spod barbarzyńskich praw caratu nie jest niemożliwe. Oprócz więc socjalistycznych książek i broszur, już w latach 80-tych spotkać można większą ilość niecenzuralnych książek – czy to zagranicznych wydań naszych poetów, czy to książek historycznych, czy wreszcie ulotnych broszur, w ten lub w inny sposób oświetlających stan rzeczy w zaborze rosyjskim.

Lecz chociaż zastęp czytelników i ilość bibuły, kursującej w kraju, stale wzrastały, niełatwo było przewyciężyć przeszkody, które tego rodzaju robocie stały na drodze. Przeszkody te były dwojakiego rodzaju. Pierwsza z nich polegała na braku w kraju jakiegokolwiek organizacji o tyle silnej i rozporządzającej takimi środkami, by zapewnić bibule stały kurs i zadowolić wymagania przynajmniej tej części odbiorców, która stanowiła stały kontyngent czytelników i rozpowszechnicieli bibuły. Zakazane druki ukazywały się zbyt sporadycznie, nieregularnie, dostarczaniem ich rządziła taka wypadkowość, że nikt nigdzie nie mógł być pewnym, że ten lub ów druk otrzyma. Organizacje rewolucyjne nie były trwałe, a ich środki techniczne zależne były od wypadków, tak, iż niekiedy bibuły było dużo, natomiast mijały miesiące całe bez świeżego dopływu. Nic dziwnego, że bibuła w oczach ludzi była czymś nadzwyczajnym, wpadającym do kraju drogą jakiegoś cudu, nagle i niespodzianie, czemś takim, co można otrzymać, lecz czego żądać nie wypada.

Oprócz tej zewnętrznej niejako przeszkody istniały i wewnętrzne. Ludzie wprost bali się roboty nielegalnej, której przejawem była bibuła. Posiadanie książki nielegalnej w oczach otoczenia dawało jakby patent na działacza rewolucyjnego, a strach przed represją rządową oraz dziecinna wiara w wszechpotęgę i wszechwiedzę policji carskiej były wówczas jeszcze tak powszechne, że w większości wypadków unikano książki nielegalnej. Trzeba było ją ludziom wpychać w ręce, namawiać, by ją przeczytano, przekonywać, że nie jest ona tak niebezpieczną rzeczą. Jedni więc patrzyli na posiadanie książki nieocenzurowanej, jak na bohaterstwo, drudzy – jak na szaleństwo, trzeci – jak na zbrodnię, inni wreszcie – jak na środek agitacji i sposób rozpowszechniania swych przekonań, rzadko jednak książka nielegalna była dla kogo wprost potrzebą, koniecznością w takich warunkach, jakie Polska pod caratem znosić musi.

W tym położeniu epoką dla bibuły stała się działalność Polskiej Partii Socjalistycznej, w skróceniu zwanej P. P. S. Była to pierwsza z organizacji rewolucyjnych w Polsce powstaniowej, która potrafiła przetrwać dziesiątek lat bez przerwy i która zdobyła się na taką organizację i taką technikę, iż jej robota wydawnicza i kolporterska ani razu nie doznała poważniejszej przerwy. Na razie stałe ukazywanie się w większej ilości zagranicznych wydawnictw partii przyjęto z pewną nieufnością. Lecz gdy ilość ich coraz bardziej wzrastała, gdy w dodatku partia rozpoczęła stale wydawać „Robotnika” w kraju samym, gdy

przez dłuższy czas usilne polowania żandarmerii za drukarnią partyjną nie miały powodzenia, gdy wreszcie w samej kolporterce zapanowała pewna regularność i wydawnictwa zaczęły dochodzić do wszystkich odbiorców bez względu na to, czy mieszkają w Warszawie, czy na prowincji – publiczność, jak robotnicza, tak inteligentna, uwierzyła w stałość i trwałość tego zjawiska.

Wrażenie, jakie wywarło powodzenie P. P. S. na całej przestrzeni państwa rosyjskiego, było ogromne. Wkrótce zewsząd zaczęły napływać propozycje sprowadzania z zagranicy takich lub innych wydawnictw. Do 1900 r. nie było bodaj żadnej organizacyjki rewolucyjnej w całym państwie, która takiej propozycji P. P. S. nie czyniła. Ludzie przyjeżdżali z Petersburga, Moskwy, Samary, jako delegowani najrozmaitszych kółek, żądając sprowadzenia to druków nielegalnych, to drukarni. Przypominam sobie pod tym względem zabawną rozmowę, jaką miałem w Londynie z jednym takim delegatem w r. 1897.

Skądś, z głębi Rosji, z odpowiednimi rekomendacjami przybył poważny, już trochę szpakowaty, mężczyzna i zwrócił się do mnie z prośbą o pośrednictwo przy zawiązaniu stosunków z P. P. S.

– Jakież ma pan interes do P. P. S.? – zapytałem.

– Hm! Interes jest bardzo skomplikowany. Widzi pan, my tam w Rosji zawiązaliśmy stowarzyszenie w celu obalenia cenzury.

– Cenzury? – zawołałem zdumiony. – Ależ, panie, czy nie praktyczniej byłoby zacząć od obalenia cara, który tę cenzurę ustanawia?

– Pan mnie nie rozumie, car swoją drogą, cenzura swoją, tamto niech robią inni, my zaś weźmiemy się do cenzury.

Przy tym zaczął mi szeroko dowodzić, jako cenzura jest jedną z najszkodliwszych instytucji. Zgodziłem się na to chętnie, lecz poprosiłem, by mi wyjaśnił, w jaki sposób owo obalenie ma się odbywać i jaką rolę ma w tym odgrywać P. P. S.

Mój interlokutor znowu bardzo szeroko i wymownie mi dowiódł, że wszystkie partie rewolucyjne są zainteresowane w zniesieniu cenzury. Zgodziłem się i na to.

Wreszcie zaczął rozwijać plan owego stowarzyszenia. Chodziło o to, by ściągnąć do Rosji i rozpowszechnić tak ogromną ilość druków zakazanych wszelkiego gatunku i rodzaju, że cenzura stałaby się nonsensem z powodu swej bezużyteczności.

Byłem coraz bardziej zbudowany ogromem pracy, którą przedsięwzięcie stowarzyszenie, więc raz jeszcze spytałem, jaką rolę wyznacza stowarzyszenie dla P. P. S. w tej akcji.

– Ależ, rzecz prosta! – zawołał poważny delegat. – My zobowiązemy się dostarczyć P. P. S. potrzebną ilość wydawnictw do jakiegokolwiek punktu Europy. P. P. S. zaś odda je nam w tym punkcie państwa rosyjskiego, który sama sobie wybierze.

Więc, jak się okazało, olbrzymi plan zniesienia cenzury oparty był na zdolności transportowej P. P. S. Byłem nieco przejęty wzruszeniem wobec tak wielkiego zaufania naiwnego delegata, lecz zacząłem go przekonywać, że P. P. S. ma nieco inne zadanie, niż walkę z cenzurą i że wobec tego trudnym by jej było zacieśnić swą pracę tylko do tego celu. Delegat odjechał rozgoryczony „nietolerancją P. P. S.”.

W Polsce, gdzie ludzie tak „szerokich natur” nie mają, nie istniały, co prawda, organizacje dla zniesienia cenzury, lecz raz po raz poszczególne osoby albo kółka tworzyły plany wydawnicze, oparte na pomocy P. P. S. w przewiezieniu tych wydawnictw do kraju. Wydawnicza i kolporterska działalność P. P. S. wniosła niejako do ponurego domu niewoli trochę Europy z jej swobodą druku i tym ogromnie ośmieliła ludzi. Bibuła przestała być czymś niezwykłym, ludzie przyzwyczajali się mieć ją w ręku, tak, iż po pewnym czasie w kołach, otrzymujących wydawnictwa P. P. S.-owe, można było wprowadzić reformę, polegającą na tem, że część przynajmniej



była sprzedawaną. Zjawili się nawet prenumeratorowie periodycznych wydawnictw partyjnych.

Za przykładem P. P. S. wkrótce poszły inne organizacje nielegalne w Polsce – żydowska socjalistyczna organizacja Bund i Narodowa Demokracja, które to organizacje trafiały do innych części narodu, gdzie nie sięgał wpływ P. P. S. i oswajały coraz szersze koła ludzi z nielegalną robotą i niecenzuralną literaturą.

Obok partyjnych wydawnictw w coraz większej ilości sprowadzano dzieła naukowe, przeważnie historyczne i utwory artystyczne, które, o ile zajmują się tak żywotną dla Polaków sprawą, jak stosunek do najazdu, są w Rosji zakazane. Ta ostatnia część bibuły dotarła do najbardziej tchórzliwych, najbardziej ugodowo usposobionych ludzi. Zresztą sami ugodowcy, chcąc wypowiedzieć się otwarcie, musieli się uciec do wydawania rzeczy nielegalnych. Pierwszym takim wydawnictwem ugodowym, które szerzej było rozpowszechnione, były „Stosunki polsko-rosyjskie”<sup>1</sup> Leliwy. Do otrząskania się z bibułą najbardziej reakcyjnie usposobionych ludzi niemało się przyczynił i znany memoriał ks. Imeretyńskiego, wykradzony i wydany przez P. P. S. Książka ta rozeszła się w tysiącach egzemplarzy i była czytana bodaj przez wszystkich inteligentnych Polaków.

Ilość bibuły, krążącej po kraju, nie daje się ściśle określić. Pod tym względem znam tylko cyfry, opublikowane przez P. P. S. w sprawozdaniu Centralnego Komitetu partii za czas do 1900 r. Za r. 1899 sprawozdanie podaje cyfrę 99.872, jako ilość egzemplarzy najrozmaitszych druków, puszczonego tego roku w obieg. Inne partie danych takich nie ogłaszały, lecz ogólne wrażenie wszystkich, znających stosunki, jest takie, że ilość bibuły nie P. P. S.-owej, kursującej w kraju, jest w każdym razie nie mniejszą. Podwoiwszy tę cyfrę i dodawszy do niej przypuszczalną ilość bibuły nie partyjnej, oraz wzięwszy pod uwagę, że od r. 1899 rozwój pracy różnych partii szedł crescendo, otrzymamy cyfrę 250–300 tysięcy egzemplarzy druków nielegalnych, jako roczną konsumpcję czytającej publiczności polskiej w zaborze rosyjskim. Nie znam odpowiedniej statystyki wydawnictw legalnych, podlegających cenzurze, lecz w każdym razie śmiało twierdzić można, że druki nielegalne stanowią obecnie poważną część lektury polskiej pod caratem.

Jak każdy łatwo zrozumie, taka olbrzymia ilość bibuły wywierać musi ogromny wpływ na stosunek ludzi do wszystkiego, co nielegalne, a przede wszystkim na stosunek do samej książki niecenzurowanej. Druk nielegalny wobec swej powszedniości przestaje być świętością, nie straszy ludzi i nie nasuwa myśli o prześladowaniach rządowych, lecz podrywa w umysłach ludzkich autorytet rządu i wiarę w jego potęgę. Już sama nazwa „bibuła”, żartobliwie poufała, świadczy o szerokim rozpowszechnieniu książki nielegalnej, o tym, że znikł ów tajemniczy urok, którym dawniej była otoczona.

Zmiana, jaka pod tym względem zaszła, jest tak rażąca, że się rzuca w oczy każdemu, kto może porównywać stan obecny z dawniejszym. Niedawno spotkałem towarzysza, który był aresztowany przed 1893 r. (rok rozpoczęcia działalności P. P. S.) i wrócił do roboty dopiero po 10 latach. Gdym go spytał, co go najbardziej uderzyło po powrocie, odpowiedział bez wahania, że przede wszystkim był zdumiony, widząc, jak się rozpowszechnia obecnie druk nielegalny. „Myśmy, rzekł mi ów towarzysz, musieli prosić ludzi, by wzięli książkę do ręki, musieliśmy podrzucać ją, wpychać do kieszeni, a tu patrzę: ludzie sami bibuły żądają, rozbijają się o nią, kupują. Ba, dodał, możliwymi już są malwersacje z bibułą i handel książką nielegalną”. W istocie, niektóre z wydawnictw nielegalnych są tak

---

<sup>1</sup> „Stosunki rosyjsko-polskie” („Russko-polskija otnoszenija”), dzieło, wydane pod pseudonimem Leliwy w r. 1895 po rosyjsku w Lipsku, a zawierające informacje i dokumenty, odnoszące się do prześladowań Polaków i katolicyzmu w Rosji. Dzieło to, sprowadzone nawpół legalnie, dzięki stosunkom, z zagranicy, było rozsyłane do dygnitarzy rosyjskich przez polskie sfery ugodowe.

popularne, że można na nich robić interesa. Tak np. „Zbiorki poezyj” wydania londyńskiego były tak rozchwytywane przez robotników w Warszawie, że pierwsze transporty, zawierające 500 egzemplarzy tej książeczki, rozeszły się tamże w przeciągu miesiąca i wreszcie ofiarowywano za nie po 25 kopiejek za egzemplarz. Wytworzyła się nawet specjalna nazwa „bibuła dochodowa”, tj. taka, która daje pewny dochód sprzedającym.

Nawet wśród włościan rozwija się przyzwyczajenie do czytania nielegalnych książek. Mógłbym na dowód tego przytoczyć mnóstwo faktów, lecz ograniczę się dwoma bardziej charakterystycznymi. W pewnej wsi nad Wisłą włościanie otrzymywali stale bibułę narodowo-demokratyczną; oprócz tej ostatniej niekiedy dochodziły ich rąk i wydawnictwa socjalistyczne. Nie wiem, jaką była przyczyna, lecz bibuła przestała do nich dochodzić, chłopci postanowili wówczas sami szukać źródeł bibuły. Zebrali trochę pieniędzy i wysłali delegata, by wynalazł kogokolwiek dla zawiązania stosunków, przy tym uradzono szukać nie tylko narodowych demokratów, lecz i socjalistów. Nie znam szczegółów tej odysei delegata chłopskiego, wiem tylko, że odbywał ją i pieszo, i furmankami i wreszcie o kilkanaście mil od rodzinnej wioski wypadkiem natrafił na jakiegoś P. P. S.-owca, przez którego zawiązał stosunki z partią i uspokojony wrócił do domu.

Inny fakt tej samej kategorii miał miejsce w głębi Rosji, w koszarach wojskowych. Znaną jest rzeczą, że rekruci Polacy nie odbywają służby wojskowej w Polsce. Rząd wysłał ich w głąb Rosji lub na wschodnie granice państwa, gdzie w wielu pułkach połowa żołnierzy składa się z Polaków. Otóż paru towarzyszków z młodzieży uniwersyteckiej zawiązało stosunki z żołnierzami Polakami. Wkrótce stosunki ogromnie się rozszerzyły i agitacja szybko się rozwijała. Puszczono do koszar moc bibuły. Gdy się o tym dowiedziano w Warszawie, wysłano do tego miasta doświadczonego towarzysza z poleceniem uregulowania tej sprawy. Ów towarzysz zwrócił uwagę zapalonych agitatorów na niebezpieczeństwo, jakie grozi całej robocie przy masowym rozpowszechnianiu bibuły wśród żołnierzy i polecił wycofać puszczone już bibułę z koszar.

Gdy to postanowienie zakomunikowano żołnierzom – a była to przeważnie młodzież wiejska, świeżo od pługa i kosa oderwana – ci zebrali się na naradę i odpowiedzieli agitatorom w sposób następujący:

„Takich książek my sami dostać nie możemy. Nie dacie nam ich panowie, to mieć ich nie będziemy. Ale wybaczcie, co już jest u nas, tego wam nie oddamy. To już niech będzie nasze”.

Ogromna ilość literatury nielegalnej, krążącej po kraju, stanowi bez wątpienia nowe i nieznane dotąd zjawisko w Polsce pod caratem, a przyzwyczajenie i nawet pewne przywiązanie do bibuły wśród ludu pracującego w miastach i po wsi ziszcza owo marzenie Mickiewicza, który, będąc sam autorem ówczesnych druków zakazanych, wzdychał do czasu, gdy książka jego zabłądzi pod strzechy włościańskie. Zjawisko to nie mogło ująć uwagi rządu. Wspominałem już wyżej, że ks. Imeretyński nie tylko nie negował faktu czytania książek zakazanych przez włościan, lecz nawet tym właśnie motywował konieczność pewnych ulepszeń w szkolnictwie oraz potrzebę kontragitacji rządowej („Oświata”)<sup>1</sup>. Wpływ tego „kulturtregerstwa” carskiego okazał się minimalnym, powiedzmy raczej – równa się zeru, natomiast nie ma wątpliwości, że sam rząd uległ wpływowi „bibuły” i musiał przed nią się cofnąć.

Rząd ustąpił nie w ten sposób, jak mi obiecywał delegowany rosyjskiego stowarzyszenia, o którym wspominałem wyżej – cenzura nie została zniesiona, lecz zmiana postępowania rządu z czytelnikami „bibuły” nie da się zaprzeczyć. Gdy bibuły było w kraju

---

<sup>1</sup> „Oświata” – tygodnik rządowy w języku polskim, założony w 1900 przez generał-gubernatora Imeretyńskiego dla włościan polskich.

mało, gdy jej wpływ „demoralizujący” był niewielki, rząd uważał każdego posiadacza książki nielegalnej za rewolucjonistę, a fakt znalezienia u kogo bibuły partyjnej służył jako poważny dowód należenia do stowarzyszenia rewolucyjnego. Obecnie zaś, gdy bibuła rozpowszechnia się w ogromnych ilościach, gdy najniewinniejsi pod względem politycznym ludzie czytają i mają u siebie druki zakazane, niepodobieństwem jest pociągać do odpowiedzialności za to, co do niedawna było nieraz surowo karane.

Przed wszystkim więc pewną część bibuły uznano za pół-legalną niejako. Zagraniczne wydania naszych poetów, grube książki naukowe, wreszcie nowsze utwory poetyczne lub powieściowe, wydane za kordonem, no i, naturalnie, wydawnictwa ugodowe należą do rzędu bibuły tego rodzaju. Nieraz żandarmi przy rewizji nie wnoszą nawet do protokołu faktu znalezienia takiej książki i odkładają ją na stół lub etażerkę, mruczając: „*nu, eto pu-stiaki*” („to bagatela”), niekiedy zabiorą ją z sobą, lecz nigdy o taką „bagatelę” nie wytoczą sprawy. U jednego z moich znajomych przy rewizji żandarm zabrał dwa tomy Limanowskiego „Ruch społeczny w XVIII i XIX wieku”. Po skończeniu sprawy poszkodowany udał się do żandarma z żądaniem, by mu te książki zwrócił. Żandarm uśmiechnął się i oddał książki, dając przy tym radę, by korzystał z nich nie w swoim, lecz jakim innym mieszkaniu. „Widzi pan, u pana, jako podejrzanego, te książki są jakimś dowodem, no, a u innych to rzecz zwykła, wszyscy przecie takie rzeczy czytają, ja sam z ciekawością przeczytałem część tej książki”. Prawie to samo powiedział mi podpułkownik Gnoiński, gdy po aresztowaniu w drukarni prosił go o danie mi do celi dzieł Słowackiego, znalezionych u mnie: „To bagatela, rozumiem dobrze, że u każdego inteligentnego Polaka taką rzecz znaleźć można, my za to nawet nie pociągamy do odpowiedzialności, ale do celi tego pana dać nie mogę, w każdym razie to wydawnictwo bez cenzury”.

Lecz ustępstwo rządowe nie ograniczyło się jedynie tą, jak ją nazwałem, pół-legalną bibułą. Wobec faktu rozpowszechniania wielkiej ilości bibuły partyjnej i rewolucyjnej bagatelizowanie przestępstw musiało pójść dalej w tym kierunku. W istocie tak się też stało. Żandarmi się przekonali, iż ilość czytelników bibuły partyjnej jest tak wielką (przynajmniej w Warszawie), a otrzymanie jej skądkolwiek tak względnie łatwym, że się nie opłaca z powodu każdej broszury lub egzemplarza pisma partyjnego robić sprawę. Rotmistrz Konisski, który mię badał w Warszawie, mówił mi, że nie przypuszcza, by w Warszawie był robotnik, który kiedykolwiek nie miał w ręku „waszewo Kurjera”, jak żartobliwie nazwał „Robotnika”. Zwykle, co prawda, każdego, u kogo znajdą takie wydawnictwo, aresztują lub co najmniej wołają na badania, lecz w wielu wypadkach to nie pociąga za sobą żadnej kary lub też (a znam takich kilka wypadków) wyrok jest minimalny – dwa tygodnie aresztu. Tylko świeże wydawnictwa lub większa ich ilość same przez się, bez żadnych innych dowodów winy, zwracają uwagę żandarmów, a to dlatego, że fakt taki nasuwa myśl o bliższym stosunku oskarżonego z organizacjami rewolucyjnymi.

Jak widzimy, rząd carski zmuszony jest cofać się przed wzrastającą falą bibuły, która wymogła na nim pewne rozszerzenie praw człowieka pod caratem. Jest to jeden z dosyć licznych dowodów elastyczności konstytucji rosyjskiej. Mając za zasadę nie prawo, lecz samowolę urzędniczą, rząd carski musi też godzić się z naturalną tego konsekwencją – względną chwiejnością organów władzy oraz z częstymi odstępami w poszczególnych wypadkach od praw i przyjętych zasad rządzenia. Każdy z urzędników, będąc obdarzony odrobiną carskiego samowładztwa, prowadzi niejako politykę na swoją rękę, a że zależność jego od otoczenia jest znacznie większą, niż zależność centralnego rządu, więc jest on skłonniejszym do zawierania ugody i patrzenia przez palce na najrozmaitsze przestępstwa.

Tak się też stało i z żandarmerią w Polsce w stosunku do bibuły. .

Nie zmieniała ona w niczym praw i przepisów władzy centralnej, lecz zawarła milczącą ugodę z pewną kategorią przestępstw i nie chcąc sobie przysparzać uciążliwej i żmudnej pracy, zamknęła oczy na nie. Druk nielegalny jest nielegalnym w zasadzie, zaś w praktyce został do pewnego stopnia ulegalizowany.

Zaznaczyć jednak trzeba, że taka legalizacja, jako nie mająca sankcji prawnej, nie jest czymś stałym lub powszechnym. W każdej danej chwili, w każdym wypadku zapleśniałe od nieużywania prawo może być wyciągnięte z kąta zapomnienia i może być użytym dla ukarania winnego. Na prowincji np., szczególnie na wsi wśród włościan, gdzie administracja i żandarmeria mniej ma roboty, każdy druk nielegalny może ściągnąć gromy na głowę jego czytelnika. Jestem jednak przekonany, że dalszy, a nieuchronny wzrost czytelnictwa druków zakazanych w Polsce, zmusi władzę do zgodnego usposobienia względem bibuły nawet w najgłuchszych zakątkach kraju.

Bibuła więc nie tylko jest potrzebą wielkiej części czytającej publiczności polskiej, lecz zarazem i pewną siłą, przed którą potężny rząd carski musi się cofać. Wobec tego nie bez znaczenia jest pytanie, kto tą siłą rozporządza i kto tę potrzebę zaspokaja. Podane wyżej cyfry dają pewną odpowiedź na to zapytanie. Ogromna większość bibuły – to bibuła partyjna, sprowadzona i rozpowszechniona przez istniejące w kraju organizacje – P. P. S. i Narodową Demokrację. Bibuła innych organizacji nie stanowi poważnej cyfry, bodaj tylko żydowska bibuła Bundu istnieje w większej ilości. Bibuła niepartyjna, stanowiąca mniejszą część druków nielegalnych, kursujących w kraju, trafia do rąk czytającej publiczności albo staraniem tychże partii, albo też przechodzi przez granicę pojedynczymi egzemplarzami, przewożona w kieszeniach przejezdnych.

Przewaga ilościowa bibuły partyjnej nad niepartyjną nie jest czymś przypadkowym. Dla czytelników wszelkiej bibuły jest ona czymś pożądanym, czytanie jej sprawiać może przyjemność, w wielu wypadkach jest ona potrzebą, dla zaspokojenia której ludzie narażają się nawet na niebezpieczeństwo, lecz nie jest ona koniecznością. Inaczej jest z organizacją polityczną. Składa się ona z ludzi i dąży do ciągłego rozszerzania się, a że prześladowania rządowe raz po raz wyrywają pojedyncze jej ogniwa, musi sztab dbać o uzupełnienie luk w swych szeregach. Naturalnie, że najłatwiej sprostać temu zadaniu wtedy, gdy organizacja wywiera szeroki wpływ na ludzi, a poglądy jej są możliwie spopularyzowane. W przeciwnym wypadku po pewnym przeciągu czasu, wobec stałego ubywania członków organizacji, może wprost zabraknąć materiału ludzkiego do odbudowania jej.

Jedynym zaś środkiem, będącym w rozporządzeniu organizacji politycznych pod caratem dla stałego urabiania opinii w pożądanym kierunku, jest słowo drukowane. Wszystkie inne, jak stowarzyszenia i związki, zgromadzenia i ustna propaganda, w warunkach politycznych Rosji są tak ograniczone, że wpływ ich sięga bardzo niedaleko i działa na bardzo szczupłe grono ludzi. Książka więc lub odezwa zastąpić tu musi w większości wypadków agitatora i mówcę, poprzedzić organizatora, utorować mu drogę, przygotować dla niego teren i usposobić dlań przychylnie słuchacza. A książka jako agitator ma w dodatku pod caratem niesłychane zalety.

Wędrówka jej nie zostawia po sobie takich śladów, jak wędrówka człowieka, działa ona cicho, bez hałasu, może być w każdej chwili zniszczona, może być tylko niemyym świadkiem przy badaniach, wreszcie nie wzbudza tyle podejrzeń i nie ściąga takiej kary lub prześladowań, jak człowiek. Jest więc wygodnym agitorem zarówno dla agitujących, jak agitowanych. W wielu zaś wypadkach bibuła jest wprost jedynym narzędziem w ręku agitatora partyjnego. Kiedy np. organizacja jest świeżą i nieliczną, nie ma wśród siebie ludzi, zdolnych do agitacji ustnej, w okresach większej baczności policyjnej lub wreszcie

przy potrzebie wywarcia jednorazowego i możliwie szerokiego wpływu – bibuła, w postaci broszury, numeru pisma lub odezwy okolicznościowej, jest wprost nie do zastąpienia.

Dodajmy do tego, że gdy czytanie bibuły już jest potrzebą wielkiej ilości ludzi, to ten, kto potrzebę tę zaspakaja, zyskuje na wpływie; dodajmy do tego, że bibuła partyjna dla wielu ludzi, nie stojących bliżej organizacji, jest jedynym dowodem istnienia partii, a zrozumieć, jakie ma znaczenie bibuła dla organizacji rewolucyjnych pod caratem. Jeśli porównać je można do organizmu, to bibuła będzie w nich krwią, która organizm przy życiu utrzymuje.

Porównanie to, w innych nieco słowach, słyszałem z ust jednego ze zdolnych agitatorów P. P. S. na prowincji. Będąc u niego przejazdem, miałem od niego otrzymać korespondencje do „Robotnika” oraz pewną sumę pieniędzy. Byłem nieco oburzony, gdy mi wyliczył zaledwie połowę tego, na com rachował. Spytałem go, czemu to mam przypisać?

– Eh! proszę was, towarzyszu, dawnośmy nie mieli bibuły! Powiedźcie tam w Warszawie, żeby raz nareszcie nam ją przysłali.

– Aha! – zawołałem – więc to tak dużo tu sprzedajecie bibuły?!

Sądziłem bowiem, że brak pieniędzy był wywołany przez brak towaru, dającego się spieniężyć.

Mój towarzysz zaśmiał się i wyjął z kieszeni kajecik z rachunkami partyjnymi.

– Spójrzcie! Za bibułę otrzymujemy bardzo mało. Większość jej idzie na agitację wśród ludzi świeżych, którzy niezbyt są chętni do płacenia. Ale bez bibuły i wśród naszych towarzyszków trudno zebrać cokolwiek na partię. My, proszę was, żyjemy tylko wówczas, gdy mamy bibułę! My, towarzyszu, śpiący tu jesteśmy, bibuła nas budzi!

Brak bibuły dla organizacji politycznej pod caratem, to brak krwi, anemia, skazująca organizację na suchotniczy żywot, na niemożliwość wywierania szerszego wpływu na ludzi, na powolne wymieranie.

Naturalnie, że wobec tak wielkiego znaczenia słowa drukowanego, jednym z najważniejszych zadań każdej organizacji nielegalnej jest dostarczenie bibuły swym członkom, uzbrojenie ich w ten nieodzowny w obecnych czasach oręż. Jak każdy to rozumie, w domu niewoli – w państwie rosyjskim – niełatwo to przychodzi i pochłaniać musi sporo energii i sił każdej organizacji.

Przed wszystkim bibuła musi być wyprodukowaną. Pod tym względem bibuła dzieli się na krajową i zagraniczną. Ostatnia stanowi olbrzymią większość wprost dlatego, że produkcja za granicą jest znacznie łatwiejsza, niż pod okiem carskiej policji. Lecz zagraniczna, nim dojdzie do rąk odbiorców, ma do przebycia poważną przeszkodę, jaką jest granica państwa rosyjskiego, strzeżona pilnie przez rząd, który chciałby z niej zrobić mur nieprzebyty dla tego rodzaju importu. Stąd wypływa konieczność dla każdej organizacji rewolucyjnej wyszukania dla swych wydawnictw drogi przez granicę i transportowania ich tajnie wewnątrz kraju aż do rąk odbiorców.

Na tej drodze bibułę czeka tysiące niebezpieczeństw i przeszkód, które przełamać musi, a pierwszą z nich jest przejście pasu pogranicznego.

## GRANICA I ZIELONI

Granice we wszystkich państwach są bardziej strzeżone, niż jakiegokolwiek punkty wewnątrz państw, lecz nigdzie baczość nie dochodzi do tak potwornych rozmiarów, jak w Rosji, nigdzie kłopoty graniczne każdego mającego z tym styczność nie są tak uciążliwe i przykre, jak w państwie cara. Azjatycka tradycja oddzielania się murem chińskim od wszelkiej cudzoziemszczyzny, a co za tym idzie, utrudnianie wejścia wszystkiemu, co przekłętą Europą i cywilizacją trąci, niełatwo daje się wyplenić, tym bardziej, że postęp w społeczeństwie, trzymany w żelaznych kleszczach caratu, idzie wolno żółwim krokiem.

Pilnowanie granicy poruczone jest w Rosji „zielonej” dykasterii agentów i sług carskich. Zielonymi zwiemy ich dlatego, że ci mandaryni oraz ich słudzy mają wypustki zielone na czapkach oraz ramionach i rękawach swych mundurów. Poza zielonymi wielką rolę na granicach odgrywają i błękitni aniołowie-stróże caratu – żandarmi oraz różni akcyznicy i policjanci, ale strzeżenie granic carskiego imperium jest specjalnością zielonych.

Dzielią się oni na wojskowych i cywilnych – tzw. straż pograniczną i komorowych czyli celników. I jedni, i drudzy są pod rozkazami ministra finansów carskich, który nosi godność szefa straży pogranicznej, a główną ich siedzibą i terenem działalności jest pas pograniczny państwa.

Ten pas pograniczny jest podzielony na trzy linie. Pierwsza – tuż nad granicą, druga, tzw. linia kordonów, – w oddaleniu 1–2 km. od granicy i wreszcie trzecia – rzecz zupełnie niesłychana w żadnym państwie – nie ma już nic wspólnego z pojęciem linii, bo obejmuje sobą stukilkudziesięcio-kilometrowy pas ziemi wewnątrz kraju. Jak szeroką jest ta trzecia linia, można sądzić z tego, że w Królestwie jedynie gubernia siedlecka jest wolną od baczości zielonych, a połowa Litwy wchodzi w zakres ich działania.

Wobec szerokości tej trzeciej linii muszę ją uwzględnić i zająć się nią osobno. Natomiast obecnie zatrzymam się jedynie na pierwszych dwóch, stanowiących właściwy pas pograniczny i będący pierwszą przeszkodą dla wszystkiego, co wbrew prawu carskiemu wkracza na terytorium knutowładnego pana, a więc i dla bibuły.

Pierwsza linia zielonych spełnia swe obowiązki w sposób następujący: tuż przy granicy, zastosowując się do wszystkich jej załomów i zakrętów, są rozstawieni żołnierze z karabinami mniej więcej w odległości 200 do 600 kroków jeden od drugiego. Naturalnie, w miejscowości równej, gdzie oko daleko sięga, posterunki są rzadsze, tam zaś, gdzie granicę upiększają pagórki, lasy i gaje, a jeszcze bardziej, gdzie do granicy zbliżają się zabudowania, żołnierze są rozrzućeni gęsto. Przechadzają się oni nad granicą, siedzą, oglądają widoki, stanowiąc niezbędną, charakterystyczną plamkę na pejzażu granicznym. Zadaniem ich jest pilnować, by żadna żywa istota, naturalnie, oprócz ptaków, nie przeszła przez granicę ani w jedną, ani w drugą stronę. Cały ruch tych istot jest przez to skierowywany do określenia punktów, gdzie dozór graniczny jest niejako zgęszczony i gdzie wszystko: ludzie i ich pakunki, towary i ich opakowanie podlega odpowiedniej rewizji oraz może otrzymać pozwolenie na przekroczenie granicy. Są to komory i przykomórki.

Te punkty ze zgęszczonym dozorem granicznym pracują tylko we dnie, nocą zaś, z wyjątkiem miejsc, gdzie granicę przecina kolej, działalność zielonych ustaje i granica na całej przestrzeni jest zamknięta całkowicie. Na noc ściągają również żołnierzy z posterun-

ków nadgranicznych. Naturalnie, robi się to nie z ufności, że tacy lub inni przestępcy praw carskich noc spędzają spokojnie w łóżku, lecz dlatego jedynie, że do ciemności nocnej pierwsza linia stosuje inny system obrony granicy. Rozsypuje się ona po tzw. w języku „zielonych” – sekretach. Sekret polega na tym, że taki drab z karabinem, zamiast jako bohater stać na widoku, zaczają się, jak kot, gdziekolwiek na przypuszczalnej drodze przekraczających nielegalnie granicę.

Druga linia, czyli tzw. linia kordonów, również nie próżnuje. Przecina ona, jak powiedzianem wyżej, wszystkie drogi, idące od granicy, w oddaleniu jednego, dwóch, bardzo rzadko więcej kilometrów.

Wysyła ona przede wszystkim konne patrole w różne strony, a oprócz tego ma za zadanie rewidowanie wszystkiego, co się przewija przez drogę, o ile to nie jest zaopatrzone legitymacją z pierwszej linii. Tutaj też na przecięciu jakiegokolwiek drogi stoją koszary dla oddziałków zielonych, zwane kordonami.

Cywilni „zieloni” operują w komorach i przykomórkach. Zadaniem ich jest, jak wspomniałem wyżej, rewidowanie rzeczy podróźnych, nakładanie i odbieranie cła od towarów importowanych oraz wizowanie paszportów przejezdnych. W większych jednak punktach, gdzie się przewija poważniejsza ilość osób, kontrola nad ludźmi, przekraczającymi granicę, jest oddana w ręce żandarmów. Tych komorowych urzędników, wobec formalistyki biurokracji rosyjskiej i jej niedołęstwa, jest całe mnóstwo. W każdym miasteczku nadgranicznym można spotkać kilku, w większych zaś miasteczkach kilkunastu i kilkadziesiąt zielonych cywilusów, ugwiazdżonych i umundurowanych, stanowiących w okolicach nadgranicznych razem z oficerami straży pogranicznej pijaczą i hulaszczą kompanię.

Z tego opisu wnosić można, ile sił, środków i energii zużywa państwo rosyjskie na ochronę swej granicy! Granica, upstrzona komorami, najeżona bagnietami i urozmaiconą patrolami konnymi wygląda nadzwyczaj okazale i musi przejmować strachem każdego śmiałka, który odważy się wbrew zakazom carskim przekraczać ją sam lub z zabronionym towarem. W istocie wywiera ona silne wrażenie!

Pamiętam żywo swoje pierwsze zetknięcie się z granicą, gdym po powrocie z wygnania jechał odwiedzić ojca i rodzeństwo, mieszkających w owe czasy w majątku na pograniczu pruskim. Część drogi, którą miałem do zrobienia, leżała tak blisko granicy, że do słupów granicznych od drogi było zaledwie kilka kroków. Droga idzie w tym miejscu lasem i musiałem ją przebywać późnym wieczorem. Gdyśmy się wlekli wolnym krokiem po piaszczystej drodze, zdaleka z lasu dobiegło do nas echo wystrzału karabinowego. Po chwili na drodze zadudniało i kilka uzbrojonych konnych postaci minęło nas w galopie. Następnie spotkałem znowu kilku konnych, którzy czegoś szukali na drodze, oświetlając ją latarką. Jeden z nich podjechał do nas i nieco grubiańskim tonem zapytał:

– *Otkuda?* (skąd).

– *Z Jurborgu jadę do Taurogów* – odpowiedziałem.

– *W Tawrogi!* – I, spojrzawszy na konie i zaprząg, dodał: – *Pomieszczyk?* – co w języku rosyjskim oznacza pozycję socjalną, nazywaną w Galicji „obszarnik”.

– Tak – rzekłem – czego chcecie?

– *Niczawo! Kontrabandu łowim, pojeżdżajcie!*<sup>1</sup>

Woźnica mój, tęgi, barczysty Żmudzin, splunął pogardliwie i zaciął konie. Po chwili rozległy się znowu strzały.

---

<sup>1</sup> Nic! Kontrabandę łapiemy, jedźcie!

Trafiłem widocznie na niespokojną chwilę, lecz przyznam się: te strzały nocne w lesie, te pędzące patrole i uwijanie się po drodze uzbrojonych ludzi sprawiły na mnie silne wrażenie. Wyglądało to na małą wojnę. Tym czasem spotkaliśmy raz jeszcze konnych z latarkami, szukających czegoś na drodze, i mój Żmudzin raz jeszcze splunął energicznie i odwróciwszy się do mnie, flegmatycznie mówił:

– Psy, śladów szukają! Psy, czyste psy!

– Śladów? – pytałem zdumiony. – Ależ na drodze tych śladów jest mnóstwo!

Żmudzin nie mógł mi tego wytłumaczyć, zbyt źle mówił po polsku, a ja znowu nie umiałem po litewsku.

Wkrótce jednak wytłumaczył mi to jeden z żołnierzy tej samej straży pogranicznej. Spotkałem się z nim w karczmie, przy której zatrzymaliśmy się, by dać koniom odetchnąć. Poczęstowany papierosem i kieliszkiem wódki, zaczął mi opowiadać o swoim życiu.

– Ciężka służba, psia, ani dniem, ani nocą spoczynku nie ma! We dnie na linii, a w nocy w sekretach. I dobrze, kiedy ładna pogoda, a w deszcz i wiatr w lesie straszno i hałas taki od szumu drzew, że nic poza tym nie słyhać, no, i przespać też się chce. A tu pilnuj i pilnuj, jak ślad jaki na ciebie, a nie złapałeś, to cię nie pogładzą, albo jak pogładzą, to zębom nie bardzo zdrowo od tego głaskania, – dodał, śmiejąc się z własnego dowcipu.

– Jakie ślady w lesie? – pytałem.

– Nie w lesie, a na drodze, a droga na noc zabronowana, więc kto wpoprzek drogi od granicy przejdzie, ślad zostawi. A tam starsi z latarką po drodze biegają, gdzie ślad jest, zaraz do najbliższego sekretu: ślad na ciebie był, gdzie kontrabanda? Czorty! – skarżył się mój żołnierz.

W istocie, gdy się przypatrzyłem potem, dostrzegłem, że „czorty” drogę zabronowali tak, że każdy przechodzień zostawiał na piasku wyraźny odcisk swej stopy.

– Cóż ty robisz – indagowałem dalej żołnierza, – gdy na ciebie wyjdzie kontrabandzista?

– Wiadomo co. Strzelam. Muszę niby przed tym krzyknąć „stój”, ale gdzie tam krzyczeć, on ucieknie, on ten las zna, jak kieszeń własną. Teraz to lepiej, – dawniej, jak ciebie taki diabeł już minął, to lepiej nie strzelać. Jak trafisz w plecy, to cię karali, bo karabin był niby do tego, żeby się bronić albo dać sygnał. A teraz nie żartuj, w plecy czy w łeb – to jedno. Prawo takie jest! – mówił z dumą i zadowoleniem.

– O! i dzisiaj, słyszał pan? – mówił dalej – pewnie którego diabła na tamten świat wyprawili. Wachmistrz nasz chodził na tamtą stronę dniem, przebrany był. Kazał dziś czekać kontrabandy, słyszę – dużo mieli prznosić nocą. Pewno złapali, zarobią dobrze, szczęście mają.

Trzeba bowiem wiedzieć, że rząd zachęca swych agentów do łapania kontrabandy w ten sposób, że każdy, kto wskaże lub złapie przeschwarcowany towar, otrzymuje trzecią część sumy, otrzymanej ze sprzedaży tego towaru.

Drugą trzecią część składa się do banku państwa i w końcu roku sumę całą, otrzymaną z całego okręgu celnego, dzieli się pomiędzy urzędników komorowych i oficerów straży pogranicznej. Wreszcie reszta idzie do skarbu. Naturalnie, za rzeczy, które nie mogą być sprzedane, w rodzaju np. bibuły, rząd wydaje osobną nagrodę.

Z tego małego opisu wnosić można, że pogranicze rosyjskie jest stale na stopie wojennej. Więcej, tam stale wojna się toczy, rzeczywista wojna – ze szczękiem broni, z wystrzałami, zasadzkami, fortelami wojennymi i, co najsmutniejsza, z ofiarami w ludziach. Z jednej strony walczy rząd, z drugiej wszystko, co w Rosji jest kontrabandą. Nie trzeba myśleć, że tą kontrabandą są tylko towary, że je tak nazwę, polityczne. Przeciwnie, przede wszystkim są to najzwyczajniejsze wartości użytkowe – spirytus, cygara, koronki, zegarki,



chemikalia itd., słowem rzeczy, produkowane za granicą i obłożone przez rząd wysokim cłem. Kontrabanda polityczna stanowi w tej powodzi zwyczajnego szwarcownictwa znikomo małą część i dopiero w ostatnich czasach rząd zwrócił na nią baczniejszą uwagę, nie stosując zresztą względem niej żadnych nowych środków obrony, a walcząc z bibułą tak samo, jak walczy z cygarem lub płóciem.

Kto jednak jest zwycięzcą w tej wojnie? Cyfry, przytoczone w poprzednim rozdziale, dowodzą, że w tym wypadku zwycięża nie silniejszy. Lecz w jaki sposób to się odbywa? Przypuszczam, że każdy z nieznanymi dobrze stosunków pogranicznych przedstawia to sobie tak, jak ja to sobie wyobrażałem na razie po owej nocy, spędzonej w nadgranicznej drodze. Gdym myślał o transportach bibuły, śniły mi się przekradania się przez lasy; tajemnicze szmery borów, niespodziane spotkania ze strażą pograniczną itp. rzeczy, przypominające nieco opowiadania Coopera lub Mayne-Reida.

Lecz dosyć jest przemieszkać na pograniczu czas pewien, by się pozbyć tej romantyki. Co do mnie, zacząłem się jej pozbywać bardzo prędko. W kilka dni po opisanej drodze w młocarni u ojca coś się zepsuło. Okazało się, że jest to drobnostka, jakieś śrubki, które się połamały przy robocie. Wiejski kowal nie mógł tego naprawić, do miasta było daleko, natomiast granica i pruskie miasteczko były blisko. Byłem przy tym, jak ojciec otrzymał od kowala odpowiedź, że naprawa przechodzi jego uzdolnienie fachowe, i jak ojciec rzekł:

– Trzeba posłać do Prus.

Sądziłem, że ojciec pošle konie za granicę i zaproponowałem, że mu to załatwię, byle mi wystarczył się o półpasek.

– Eh, nie warto, mnie to potrzebne jak najprędzej, pošlę Bartłukajtisa szwarcować, ten mi jutro przyniesie.

– Więc on te śrubki będzie szwarcował?

– Naturalnie! – odpowiedział ojciec, – i ty byś je szwarcował, bo przecie z tymi głupimi śrubkami nie pójdziesz do urzędu celnego. Oho! zaczepli ich tylko, zapiszą stopy papieru z powodu tych paru śrubek – i ja, i oni stracimy na to mnóstwo czasu. Po co to komu potrzebne! A Bartłukajtis i tak chodzi nieledwie codzień do Prus po spirytus. Przy okazji załatwi i mój interes ze śrubkami.

Tak się też stało. Bartłukajtis nazajutrz już dostarczył nowe śrubki, zrobione przez porządnego pruskiego rzemieślnika.

Wkrótce przekonałem się, że „głupie śrubki” nie są wyjątkiem. Czy we dworach, czy w chatkach włościańskich wszystkie przedmioty, będące produktami fabryk i warsztatów, pochodzą z Prus i doszły rąk swych właścicieli bez pośrednictwa urzędów celnych. Oprócz tego raz po raz spotykałem takich Bartłukajtisów, chodzących codzień do Prus i załatwiających te lub owe interesy swych współobywateli. Prusy – to obce państwo, oddzielone od imperium cara podwójną linią straży pogranicznej – wciskało się najwyraźniej w posiadłości rosyjskie, mącąc czystość idei ściśle odgraniczzonego państwa. Była to Rosja, lecz pod wielu względami i Prusy.

Ba, gdyby tylko Prusy! Rozpytując okolicznych chłopów, dowiedziałem się, że znają oni Amerykę daleko lepiej, niż swój kraj rodzinny. Wielu chłopów żmudzkich nie wiedziało nic o Wilnie i Kownie, nawet o swym powiatowym miasteczku Rosieniach. Natomiast od niejednego usłyszałem opis Nowego Jorku lub Chicago, podróży po morzu i warunków pracy w fabrykach i kopalniach amerykańskich. Za każdym razem pytałem chłopą, czy brał paszport na wyjazd z kraju i najregularniej, zamiast odpowiedzi, widziałem pogardliwe wzruszenie ramion, mające oznaczać: „Ktoby się tym głupstwem zajmował!” I w tym więc wypadku granica z jej paszportami, cłami i kłopotami nie istniała dla tych ludzi.

Później w swoich wędrówkach zwiedziłem pogranicze w różnych miejscach. Bywałem na granicy pruskiej i austriackiej, i tam, gdzie granica jest mokrą, tj. gdzie granicę stanowi rzeka lub strumień, i tam, gdzie na granicy są miasta lub miasteczka, czy też, przeciwnie, stanowią ją mało zaludnione bory – wszędzie spostrzegałem ten zanik granicy dla mieszkańców pogranicznych, tę poufałość i maltretujący stosunek względem surowych, nieledwie wojennych przepisów granicznych.

Powszechne chodzenie ścieżkami nieprawnymi, przestępstwa, chociaż drobne, lecz epidemiczne i stale się powtarzające, wyrobiły pewnego rodzaju solidarność w mieszkańcach pogranicza. Istnieje tam nieustanny spisek, chociaż niezorganizowany i milczący, lecz pomimo to obowiązujący do solidarności wszystkich przeciw prawu i przeciw tym, co pilnują granicy. Naturalnie, taka solidarność ogromnie ułatwia wojnę z „zielonymi”.

Jeden z towarzyszków, który dłuższy czas prowadził na pograniczu interes partyjny, opowiadał mi o faktach, dowodzących poczucia tej solidarności.

– Razu pewnego – mówił mi – nająłem konie, by odwieźć kilka paczek bibuły do miasteczka, nieco od granicy oddalonego, skąd inni towarzysze mieli je zabrać. Nie lubię włożyć się po drogach nadgranicznych późnym wieczorem lub w nocy – nieraz strażnicy, nie widząc, z kim mają do czynienia, przypadkowo mogą zatrzymać tych, kogoby we dnie nie ruszyli. A tu spóźniłem się nieco z opakowaniem bibuły, więc śpieszyłem. Jak na nieszczęście, trafił mi się woźnica pijany. Na wszelkie moje perswazje, by jechał prędzej, mruzczał coś niezrozumiałego, a wreszcie, gdy bryczka zawadziła o jakiś kamień na drodze, wypadł z wozu. Był dobrze strąbiony, więc, podnosząc się z ziemi, co chwilę przewracał się znowu. Zirykowałem się wreszcie.

– No, słuchajcie! – rzekłem. – Leżcie sobie tutaj i śpijcie, ja pojedę do N., a wracając, zabiorę was.

Chłop się oburzył na taką propozycję.

– Nie zostawi mnie pan tu, kiej psa. I ja katolik i pan katolik, i ja kontrabanda i pan kontrabanda.

Mrowie mię przeszło po skórze na takie dictum. Chłop wiedział, że się zajmuję przemycańcem czegoś i byłem niejako w jego ręku. Chciałem się jeszcze wykręcić i groźnie zawołałem:

– Co ty pleciesz?! Jaka kontrabanda?

Chłop śmiał się na całe gardło. Wstał wreszcie i gramoląc się na wóz, szturchnął moje pakunki.

– A tu co? Kontrabanda! – mówił tryumfująco. – Kontrabanda taka dobra, jak i ta!

Odgarnął trochę siana i pokazał swoją kontrabandę. Było tam kilka paczek cygar i jeszcze jakieś zawiniątko.

Chłop wreszcie zaciął konie, pijanym głosem zaczął nucić jakąś zawadiacką piosnkę i od czasu do czasu odwracał się do mnie ze śmiechem.

– I ja kontrabanda, i pan kontrabanda! – powtarzał z pijackim uporem.

Kiedym wracał do domu z tym samym chłopem, już wytrzeźwionym, ciągnąłem go za język, by mi wyjaśnił, skąd doszedł do przypuszczenia, że wożę kontrabandę. Chłop poważnie odpowiedział:

– Niech pon się nie boją! Wszyscy tu kontrabandę wożą, a pan często jeździ z pakunkami, każdy wie, co to znaczy! Ale mnie co do tego – dodał, uśmiechając się, – wiecie pan kontrabandę, czy nie. Ja mam zarobek, a przy panu i swoje rzeczy bezpieczniej przewiozę.

– Innym razem – opowiadał mi dalej towarzysz z granicy – miałem do przewiezienia bibułę i poszedłem nająć konie. Po drodze spotykam włościanina, z którym nieraz już jeździłem. Pytam go o konie. Chłop podrapał czuprynę i wreszcie pyta:

– Pon tak, jak stoi, czy z rzeczami?

– A co? – pytam.

– A bo cosik te juchy bardzo niespokojne dzisiaj, – mówił, pokazując na drogę, po której w tej chwili jechało kilku zielonych wojaków. – Chyba boczną drogą pojedziem.

Naturalnie, w obydwóch wypadkach chłopci nie podejrzewali nawet, że tą kontrabandą była bibuła.

Powszechna konspiracja przeciw zielonym rycerzom, jak powiedziałem, utrudnia ogromnie ich pozycję w walce z kontrabandą. Lecz bodaj nic tak bardzo nie zaciera granicy państwowej, nic bardziej się nie przyczynia do wytworzenia międzypaństwowych pojęć na pograniczu, jak ugoda zielonych z kontrabandą oraz stałe przechodzenie poszczególnych zielonych do obozu spiskowców.

Przed wszystkim każdy z zielonych, równie dobrze, jak i każdy mieszkaniec pogranicza, wie o tym, że za słupami granicznymi jedne towary są tańsze, inne lepsze. Często łatwiej jest za kordonem o dobrego rzemieślnika lub lekarza, a gdy, co również nierzadko się zdarza, po tamtej stronie granicy jest blisko miasto lub większe miasteczko, łatwo tam o zabawę i różne wygody, których brak po tej stronie. Naturalnie, głupim by był ten, ktoby z takich udogodnień nie korzystał. I każdy zielony korzysta z nich w większym nawet stopniu, niż przeciętny mieszkaniec pogranicza, w większym dlatego, że będąc sam stróżem prawa, ma zapewnioną bezkarność przestępstwa.

Następnie, wśród zielonych kwitnie, jak w ogóle wśród urzędników rosyjskich, gatunek ugody z otoczeniem, nazwany przez znakomitego satyryka rosyjskiego, Szczedryna, koniecznym dopełnieniem i poprawką samowładczej konstytucji, – łapówka i przekupstwo. Po rosyjsku komory celne nazywają się „tamoźnią”. Otóż jeden Żydek, zapytany, co właściwie oznacza to słowo, mrugnął oczkami filuternie i wyjaśnił odrazu filologiczne pochodzenie „tamoźni” od polskich słów – tam można.

W istocie – tam można! Wysokie cła, uciążliwe, długie i kosztowne formalności przy załatwianiu czynności celnych, niewielkie względnie pensje urzędników oraz powszechność łapówek w Rosji wytwarzają takie położenie rzeczy, że strony interesowane wywierają silne parcie na urzędników celnych w kierunku przekupstwa i zieloni oprócz się temu nie mogą. Liczba pilnujących praw granicznych w ten sposób się zmniejsza, liczba zaś spiskowych wzrasta.

Prosty stupajka zielony, żołnierz, wchodzi w umowę z przemytnikami i pomaga sam przy przenoszeniu kontrabandy, dając nawet w zastaw własny karabin. Urzędnik celny konspiruje z ekspedytorami, ułatwiając im formalności celne lub zamykając oczy na oszustwa ekspedytora. Oficer straży pogranicznej prowadzi handel kontrabandą, a raz po raz znajdzie się zielony, uprawiający sam kontrabandę, jak rzemiosło, na własną rękę. Wszystko to wytwarzać musi pewną zależność od otoczenia, które, jak widzieliśmy wyżej, całe, bez wyjątków, uprawia kontrabandę bezustannie.

Zależność ta wzrasta jeszcze bardziej przy stosunkach towarzyskich mieszkańców pogranicza z zielonymi.

Wobec interesu, który przy takich stosunkach łatwiej się ubija, cywilni mieszkańcy chętnie znajomią się z zielonymi, zobowiązując ich to poczęstunkiem, to grzecznością, to prezencikiem, od którego wymówić się niepodobna. Słowem, wyzyskując wszystkie możliwe słabe strony stróżów prawa i porządku, otoczenie, złożone z kontrabandzistów zawodowych i przygodnych, powoli asymiluje ich z sobą i zmusza, jeśli nie do współdziałania, to przynajmniej do przymykania oczu na przestępstwa graniczne.

Jeśli organizacja zielonych jest tą skalą, na której jest zbudowana obrona granicy, to przyznać trzeba, że jest ona bardzo kruchą i chwiejną oporą. Nie jest to granit, lecz miękki

wapień, na który dezorganizujące czynniki życia pogranicznego działają, jak wiatr lub fale wody na tego rodzaju geologiczną formację. Kruszy się ona, wietrzeje i rozsypuje się, otwierając drogę dla nacierających żywiołów.

Tym żywiołem jest ludność pograniczna, z którą zieloni, nie mogąc poradzić, wchodzą w ugodę. Widzieliśmy, że ta ludność przy zadawaniu swych potrzeb nie krępuje się wcale granicą państwową. Z chwilą więc, gdy nielegalne wydawnictwa stają się potrzebą tej ludności, i do nich stosuje się ogólne prawo życia pogranicznego – zanik granicy. Przechodzą ją one równie łatwo, jak pruskie cygaro lub tandeta wiedeńska, kupiona na rynku krakowskim.

Takie powolne, po kropelce niejako, przesiąkanie bibuły z księgarń zagranicznych do rąk jej konsumentów w Polsce pod caratem tłumaczy nam możliwość istnienia pewnej, mniejszej, części spotrzebowywanej rok rocznie bibuły. Bo przecie, rzecz prosta, ten żywiołowy i powolny proces przesiąkania nie może wystarczać organizacjom, potrzebującym dziesiątków tysięcy egzemplarzy bibuły, wymagającym stale świeżego jej dopływu. Wreszcie te kropelki, będąc nawet licznymi, nie mogą być ujęte w system, nie mogą być kierowane i regulowane, jak to można zrobić ze stałym strumieniem. Niewątpliwie jednak opisane wyżej podmycie granicy stanowi poważne ułatwienie dla przebiccia jej przez taki właśnie strumień bibuły.

Dosadne rosyjskie przysłowie mówi: „Byłoby błoto, czerti najdutsia” (niech będzie błoto, a czarci się na nim znajdują). Stosunki graniczne są właśnie tym błotem, na którym z pewną łatwością czarci przeciwpaństwowi swe harce wyprawiać mogą.

Względnie najłatwiejszym jest przewiezienie jednorazowe większej ilości bibuły. Do tego najczęściej wystarcza towarzysz, niepozbawiony sprytu i mający stosunki gdziekolwiek na pograniczu. Mówię wyraźnie „gdziekolwiek”, bo wszędzie te stosunki są mniej więcej do siebie podobne. Oto, jak mi opowiadał jeden z towarzyszków o swojej próbie pod tym względem:

– Granice partyjne – mówił mi – były w tym czasie zawałone robotą, a partii chodziło o przemyślenie na termin rosyjskiej bibuły, do czego się była zobowiązała. Poruczono ten interes mnie, jako pochodzącemu z pogranicza i mogącemu zatem prędzej, niż kto inny, wynaleźć dziurę dla transportu. Co prawda, nie byłem w swej ściślejszej ojczyźnie już dosyć dawno, lecz podjąłem się tego, bo liczyłem na mego kuzyna, który mieszkał na pograniczu, gdzie ojciec jego dzierżawił większy jakiś majątek.

W istocie rachuba moja nie okazała się mylną. Zaraz prawie po przyjeździe do swego krewniaka zaszła rozmowa o nielegalnych książkach, a to z powodu, że na stole mego kuzyna znalazł parę wydawnictw galicyjskich, tyjących się powstania 1863 r.

– Skąd je masz? – zapytałem.

– Zabawne skąd – odparł, – z zagranicy.

– Szczęśliwy, że możesz tak łatwo mieć książki zakazane, tam, w Warszawie, znam wielu ludzi, którzy drogoby dali, by mieć takie książki.

Kuzyn mój był chłopak dosyć lekkomyślny, więc nietrudno mi było przekonać go, że musi mi pomóc w przetransportowaniu pewnej ilości książek. Nie przyznałem mu się, że będą to książki rosyjskie, bo prawdopodobnie spotkałbym się z odmową. Obawiał się tylko, by ojciec jego, człowiek, odstraszonej gruntownie od wszelkiej nielegalności jeszcze w 1863 r., nie dowiedział się o tym jego figlu.

Zacząłem go rozpytywać o stosunki graniczne, o jego znajomości wśród zielonych oraz wśród mieszkańców pogranicza z tamtej strony. Z rozmowy dowiedziałem się, że mój krewniak senior, chociaż bał się rzeczy nielegalnych politycznie, pod względem zwyczajnej kontrabandy chadzał ścieżkami niezupełnie legalnymi. Mianowicie, opłacając komo-

rowych urzędników, sprowadzał z zagranicy bez cła wszystkie narzędzia gospodarskie i świeżo nawet obijał powozy suknem szwarcowanym. Naturalnie, tej drogi nie można było użyć dla bibuły. Natomiast okazało się, że krewniak junior jest w dobrych stosunkach z oficerem straży pogranicznej, porucznikiem S., z którym zbliżyło go wspólne zamiłowanie do myślistwa. Zielony porucznik bywał z nim parę razy za kordonem i przynosił mu stamtąd przybory myśliwskie.

– Czy rewidowano wam rzeczy – pytałem – przy powrocie zza kordonu?

– Rzeczy nie mieliśmy – odpowiedział mi kuzyn, – ale nie zaglądano wcale do powozu.

Na tym oparłem swój plan. Ułożymy pod jakimś pozorem wspólną z p. porucznikiem wycieczkę za kordon, bez jego wiedzy naładujemy bibułę do pudła pod siedzenie bryczki i pod jego opieką przewieziemy ją do domu kuzyna. Omówiliśmy wszystkie szczegóły. Chodziło o ukrycie bibuły przed oczami nie tylko p. porucznika, który miał nam służyć jako piorunochron, ale i domowego otoczenia mego kuzyna.

Postanowiliśmy więc w czasie wycieczki za kordon nie brać z sobą furmana i manewrować tak, by przyjechać do domu późnym wieczorem, gdy łatwiej jest wynieść niepostrzeżenie paczkę z bibułą z bryczki do pokoju.

Mój kuzyn w parę dni potem wyruszył za kordon i wyprawił listy do towarzyszków zagranicznych, którym poleciłem wysłać odpowiednią ilość bibuły na imię sklepikarza w miasteczku zakordonowym, z którym dom mego kuzyna utrzymywał stałe stosunki. Bibuła miała swym opakowaniem imitować sukno. Specjalny zaś liścik do mego kuzyna miał być oznaką, iż owe sukno już jest do zabrania.

Wkrótce poznałem się tu z naszym piorunochronem. Poznanie nastąpiło w miasteczku pogranicznym, odległym od siedziby mego kuzyna o parę kilometrów, w knajpie, uczęszczanej przez pograniczną arystokrację, do której zaczęliśmy zaglądać, chcąc nadać pozory wypadkowości naszemu spotkaniu z p. porucznikiem.

– Oto on! – szepnął mi raz pewnego mój kuzyn, wskazując oczami na młodego, barczystego oficera, który zamasyżuje z brząkiem ostróg wchodził do knajpy.

Porucznik okazał się wesołym towarzyszem przy kieliszku. Opowiadał nam z wielkim fermentem o swych sukcesach myśliwskich i nadzwyczajnej celności swego oka. Rozmowa kręciła się koło polowania i mój kuzyn zaczął się skarżyć, że wobec zbliżającego się jesiennego sezonu myśliwskiego zabraknie mu gilz ładunkowych do dwururki, niedawno przez tegoż porucznika z za kordonu sprowadzonej. Usłużny porucznik zaproponował swe usługi w tym wypadku, bo i sam miał jakieś luki myśliwskie do wypełnienia.

Postanowiłem skorzystać z tej okazji i zaproponowałem, byśmy się wybrali kiedy za kordon razem. Porucznik chętnie się na to zgodził i nawet obiecał przewieźć mię na tamtą stronę i z powrotem bez paszportu lub półpaska. Długośmy się spierali o to, czy pójdziemy pieszo, czy pojedziemy, bo pan porucznik, wielki amator spacerów, chciał nas koniecznie prowadzić drogą leśną i pokazać nadzwyczajne talenty swego jamnika. Wreszcie dał się jednak przekonać i ułożyliśmy się, że zajedziemy po niego na kordon za kilka dni, gdy nasz porucznik miał wolny dzień od służby.

Na szczęście w tym czasie przyszło też umówione zawiadomienie o tym, że sukno już otrzymane. Trzeba było działać możliwie prędko, bo i sklepikarz mógł przez ciekawość obejrzeć owo „sukno” i wreszcie mój kuzyn coraz bardziej się rozklejał i wobec zbliżania się stanowczej chwili okazywał coraz bardziej chęć porzucenia całej imprezy. Żartowałem, śmiałem się z jego tchórzliwości, lecz odczuwałem, że muszę polegać jedynie na sobie i swoją stanowczością zmuszać kuzynka do czynu.

Nadszedł nareszcie dzień, wyznaczony nam przez p. porucznika. Kuzynek mój był zdenerwowany i podniecony do niemożliwości; prosił mię, bym jechał sam, bo się czuje chorym. Oparłem się jednak temu, bo przecież ktoś musi bawić p. porucznika, gdy się będzie pakowało bibułę do bryczki. Wreszcie kuzynek dał się uprosić i siadł do przygotowanego powozu, jak skazaniec, jadący na ścięcie. Bałem się, że jego zdenerwowanie zwróci uwagę p. porucznika, więc umówiliśmy się, że ja porucznika nie odstąpię, a on będzie się opiekował bibułą i zapakuje ją do wozu.

Ruszyliśmy. Na kordonie spotkaliśmy oczekującego nas porucznika, którego nie poznałem. Był ubrany cywilnie, władze bowiem rosyjskie niechętnie patrzą na wycieczki wojskowych za granicę wobec możliwości „obrazy munduru rosyjskiego”. Porucznik był wesoły, jak szczygieł. Dowiedziałem się wkrótce o przyczynie tej wesołości. Na tamtej stronie, w miasteczku, była jakaś romansowa Niemeczka, która obdarzała swymi względami p. porucznika. Po drodze porucznik zdażył mi opowiedzieć parę pieprznych szczegółów romansu i opisać swą Niemeczkę zanadto szczegółowo. Minęliśmy kordon szczęśliwie. P. porucznik, według obietnicy, wstawił się za mną u zielonego cerbera, strzegącego granic imperium carskiego, i wkrótce stanęliśmy u celu podróży, w pruskim miasteczku M. Konie zostawiliśmy u sklepikarza i we trójkę poszliśmy zwiedzać osobliwości miasteczka – knajpy z porządnym niemieckim piwem. Po drodze załatwiliśmy myśliwskie interesy, a gdy liczba wypitych kufli była już dosyć duża i wpłynęła nieco na podniesienie fantazji mego kuzynka, zaproponowałem p. porucznikowi spacer i wizytę u Niemeczki, na kuzyna zaś mrugnąłem, by w tym czasie załatwił się z suknem-bibułą.

Nieszczęście chciało, żeśmy Niemeczki nie zastali. Porucznik stracił na humorze i pomimo, że go wyciągał na myśliwskie opowiadania, nie zdradzał wielkiej chęci do dłuższego spaceru sam na sam ze mną. Jeszcze kilka kufelków piwa i wreszcie nie było już sposobu zatrzymać porucznika, który, zgryziony niepowodzeniem miłosnym, chciał koniecznie wracać czym prędzej do domu. Spojrzałem na zegarek – trochę więcej, niż pół godziny, minęło od czasu, gdyśmy się rozstali z kuzynkiem, musiał więc chyba załatwić się z włożeniem kilku pakunków do bryki. Na wszelki jednak wypadek, podchodząc do sklepiku, prowadziłem rozmowę tak głośno, by kuzynek mógł wiedzieć o naszym powrocie.

Nagle, ku wielkiemu memu zdumieniu, kuzynek z okropnie wystraszoną twarzą wyskoczył ze sklepiku, chwycił porucznika pod ramię i zaczął mu coś szeptać do ucha, dając mi za plecami jakieś rozpaczliwe znaki, wskazujące na sklepik. Wpadłem, jak bomba, na podwórze sklepikarza, gdzie stały nasze konie. Koło wozu stała sklepikarka i wyjmowała z pudła książki, składając je do swego fartucha. Zdębiałem.

– *Was machen Sie?*<sup>1</sup>

– *Der junge Herr hat gesagt, er wird die Bücher nicht nehmen*<sup>2</sup> – odparła mi flegmatycznie Niemka.

Nie rozpytywałem już, dlaczego się książki z opakowania wysypały, lecz nie tracąc czasu, postanowiłem ratować, co się da. Słyszałem głosy porucznika i kuzynka, oddalające się od sklepiku, więc wyrwałem książki z rąk Niemki i wpakowałem je napowrót do wozu. Jeden tylko pakunek był rozsypany. Dwa inne leżały obok na ziemi. Gdym jednak chciał bez rozprucia opakowania wsunąć zawiniątko pod siedzenie, okazało się, że jest ono za krótkie dla pakunku. Widocznie kuzynek, chcąc go wcisnąć, musiał ugnieść go zbyt silnie, tak, że opakowanie pękło i książki się wysypały. Nie było rady, rozprułem płótno i wysypałem książki z drugiego pakunku.

---

<sup>1</sup> Co pani robi?

<sup>2</sup> Młody pan powiedział, że nie weźmie książek.

Nigdy w życiu tak się nie spieszyłem i nie zmęczyłem, jak wówczas. Cały czas nasłuchiwałem, czy porucznik nie wraca, ręce drżały mi ze wzruszenia, pot wystąpił mi na czoło. Nie myślałem wcale o tym, że cała rodzina sklepikarza otaczała mnie i oglądała ze zdziwieniem moją robotę; nie myślałem, że taki brak konspiracji może się skrupić i na mnie, i na mych krewniakach, chciałem tylko skończyć prędzej robotę, chciałem uniknąć zetknięcia się porucznika z bibułą.

Zaledwem zdążył jako tako ułożyć książki z drugiego pakunku, gdy usłyszałem głosy wracających. Czym prędzej przykryłem bibułę poduszkami od siedzenia, trzeci zaś pakunek wsunąłem wprost do bryczki, położywszy go wzdłuż z brzegu tejże i przysypałem go sianem. W duchu postanowiłem sięść do bryki z tej właśnie strony, by nikt inny nie wyczuł pod nogą pakunku. Po chwili porucznik i kuzynek byli już przy bryczce. Kuzynek był zupełnie wyczerpany, blady, z przygasłymi oczami, patrzył na mnie, jak skazaniec, błagający o litość. P. porucznik, nieco podchmielony, był niecierpliwy, raz po raz powtarzał:

– *Nu, gaspada, jediem. A panu szkodzit mnogo pit'*<sup>1</sup> – dodał łamaną polszczyzną, zwracając się do mego kuzynka.

Usadowiliśmy się na wozie – ja, naturalnie, z brzegu, gdzie była bibuła. Na odjeżdżającym kuzynek, który powoził, szeptem zapytał mnie: „A gdzie książki?” Odpowiedziałem mu również szeptem, udając gniew: „Zostały”. Humor kuzynka nagle się poprawił i z fantazją zaciął konie. Bryczka zadudniła po pysznej szosie pruskiej, zbliżając się do granicy.

Co do mnie, nie byłem zupełnie spokojny. Gdyśmy kilka godzin temu przejeżdżali granicę, widziałem, jak zieloni rewidowali jakiś powóz i parę furmanek chłopskich, które z Prus wkraczały do imperium rosyjskiego. Rewizja nie była ścisła, co prawda, lecz polegała na tym, że któryś z zielonych wsuwał rękę do wozu i przetrząsał siano. Liczyłem na to, że nas z porucznikiem nie zechcą fatygować i nie będą podejmować poduszek powozu, lecz dręczył mnie pakunek, który wyczuwałem pod nogami. Co będzie, gdy zielony podejmie siano, przykrywające pakunek? Albo co będzie, gdy porucznik zechce zejść na chwilę na przykomórek przywitać się i pogawędzić z przyjacielem-urzędnikiem celnym? Może będę zmuszony zejść i ja, i zostawię w ten sposób wóz bez opieki.

Te pytania męczyły mnie mocno i przyznam się, gdy wreszcie zgrzytnęły łańcuchy na rogatec granicznej, byłem mocno zdenerwowany i ze złością patrzyłem na swego kuzynka, który spokojnie zatrzymał konie już na terytorium rosyjskim. Lecz nikt z zielonych nie zbliżył się nawet do bryczki, a p. porucznik, pochmurny i niezadowolony z wycieczki, ani się poruszył i tylko mruknął coś niezrozumiałego na powitanie żołnierzy i urzędnika celnego. Odetchnąłem jednak lżej dopiero, kiedy mój kuzyn po załatwieniu formalności paszportowej siadł znowu na brykę i konie lekkim truchtem ruszyły po pyłnej drodze.

Kuzynek mój dowiedział się o tym, że został oszukany, dopiero wtedy, gdyśmy pochmurnego porucznika pozbyli się przy kordonie i gdy, siadłszy na jego miejscu, zaczął szeptem usprawiedliwiać się przede mną, że kazał sklepikarce zniszczyć książki.

– Jakaś głupia moskiewszczyzna – dodał, – i po co tobie takie książki?

Zamiast odpowiedzi, odsunąłem siano spod nogi i poprosiłem go, by zajrzał pod poduszki bryczki.

Zgłupiał, zdumiony moją bezczelnością. Zgodził się jednak z losem, prosił mnie tylko, bym wziął całą winę na siebie w razie, gdyby do ojca jego doszła przez sklepikarza wiadomość o tym wypadku. Reszta poszła, jak po maśle. Zdołaliśmy niepostrzeżenie wyjąć bibułę z bryczki i zapakować do przygotowanych walizek, a w kilka dni potem dostarczyłem książki do Warszawy.

---

<sup>1</sup> No, panowie, jedziemy. A panu szkodzi dużo pić.

\*\*\*

Powyższe opowiadanie towarzysza, pochodzącego z pogranicza, dowodzi, co prawda, względnej łatwości urządzenia jednego takiego transportu bibuły, lecz nic nie mówi o takich transportach, jako o czymś stałym i regularnym. Rzecz jasna, że kombinacja, oparta na wyzyskaniu wspólnej z romansowym porucznikiem wycieczki za kordon, może się nie powtórzyć, tym bardziej, gdy za pośredników używać trzeba, chociaż i lekkomyślnych, lecz tchórzliwych kuzynków. Potrzeby partii nie mogą być zadowolane przez takie wypadkowe, niezorganizowane kombinacje przejezdnych towarzyszków. Musi ona mieć porządne, że je tak nazwę, biura transportowo-ekspedycyjne, działające stale, nie sporadycznie.

Każdy łatwo zrozumie, że pierwszym warunkiem istnienia takiego biura jest zamieszkanie na stałe przez jakiegokolwiek towarzysza pogranicza państwa. Już ta jedna okoliczność stwarza niemałe trudności do pokonania.

Całe pogranicze, z wyjątkiem paru punktów, jak Zagłębie Dąbrowskie lub Kalisz, jest to kraj rolniczy, odcięty najczęściej w dodatku przez politykę kolejową Rosji od reszty kraju. Wyszukanie więc odpowiedniego towarzysza wśród mieszkańców pogranicza, gdy się zważy, że wszystkie żywsze miejscowości obciążone są wzmocnionym odpowiednio dozorem celnym i policyjnym, nie jest łatwe. Osadzenie zaś umyślne którego z odpowiednich towarzyszy przedstawia te trudności, że w takich, przeważnie głuchych, zakątkach trudno o zajęcie, dające legalny i zrozumiały dla wszystkich pozór zamieszkania.

Dopiero po przewyciężeniu tej pierwszej przeszkody, nad którą ludzie nieraz łamią sobie głowy miesiącami, o ile szczęśliwy wypadek nie nasunie odpowiednich kombinacji, można przystąpić do interesu. Naturalnie, trzeba dać czas takiemu towarzyszowi rozpatrzyć się w otoczeniu, zbadać grunt i teren, na którym będzie pracował. Jeśli człowiek jest tym, co w Warszawie nazywają „cwaniak”, to jest sprytny i obrotny, to w krótkim przeciągu czasu dostrzeże mnóstwo okazji, przy których można to lub owo zrobić dla interesu: przenieść bezpiecznie bibułę przez granicę, wywieźć ją z pasa pogranicznego bez osobliwego narażania się na wspanię, zużytkować kogokolwiek z otoczenia do takiej lub innej pomocy przy prowadzeniu interesu itd. Po pewnym czasie i przy sprzyjających okolicznościach wytworzy się z pewnością jakiś system i kolejność w zużytkowywaniu różnych kombinacji, powtarzających się od czasu do czasu, lecz zbyt rzadkich, by tylko na jednej z nich opierać cały interes.

Jednym z takich idealnych transporciarzy był towarzysz X.<sup>1</sup> Specjalnie w celu urządzenia drogi dla wydawnictw nielegalnych przyjął on drobną posesję w jakiejś fabryczce pogranicznej. Miał on szczególny dar zjednywania sobie ludzi i przywiązywania ich do siebie, a dzięki sprytowi wkrótce był na pograniczu, jak u siebie w domu. Znał wszystkie tajniki graniczne, wszystkie stosunki, łączące ludzi pomiędzy sobą, i raz po raz w głuchym i mało zaludnionym zakątku potrafił sobie zdobyć pomocnika lub pomocnicę w niebezpiecznym procederze. Gdy sobie wybrał kogo do pomocy, opłatywał go powoli siecią drobnych usług i grzeczności, zobowiązywał dobrocią serca, gdyż się do takich pomocników zupełnie szczerze przywiązywał. Wciągał do interesu powoli i stopniowo, nie odkrywając na raz wszystkich swych kart, tak, że gdy „ofiara”, jak takich ludzi żartobliwie nazywał, spostrzegła się, że jest jednym z kółek w jakimś nieznanym jej mechanizmie

---

<sup>1</sup> Aleksander Sulkiwicz. Tu prawda została pomieszana ze zmyśleniem co do warunków, w jakich pracował Sulkiwicz, który był urzędnikiem komory celnej, nie zaś fabryczki pogranicznej.



transportowym, było już późno – była zbyt oplątana misterną siecią i najczęściej poddawała się losowi.

Zresztą, wykorzystał on całe otoczenie. Jeden nieświadomie zupełnie służył mu dla wyrobienia dobrej opinii wśród zielonych i u władzy, drugi bezwiednie dał się naciągnąć w chwili odpowiedniej dla osłonięcia transportu przy przejściu granicy lub kordonu, trzeci pod pozorem prezentu zawiózł do najbliższego miasta trochę bibuły, czwarty, nakręcony przez niego, dowiedział się o tej lub innej tajemnicy urzędowej – i tak bez końca. Myśl miał wiecznie wyteżoną w celu zwiększenia wydajności swej pracy i osłony swej roboty mrówczej przed niepożądanym wzrokiem argusowym nie tylko zielonych, żandarmów lub policji, lecz i plotkarzy małomiasteczkowych.

Najkomiczniejszą jego „ofiara” był tłusty oberżysta zakordonowy, który mu służył jako pośrednik przy otrzymywaniu bibuły z zagranicznych składów. Na razie, skaptowany jakimś drobnym prezencikiem, proszony był o wypisanie paru posyłek na swoje imię – nie książek, broń Boże, lecz jakiejś zwyczajnej kontrabandy. Przyzwyczajony do tego rodzaju transakcji przez wielu mieszkańców pogranicza, zgodził się na to chętnie. Naturalnie, zamiast jakiegoś sukienka czy serwisu, przyszła bibuła, odpowiednio opakowana, z miasta, odpowiadającego tego rodzaju towarom.

Po kilku tygodniach nastąpiła nowa posyłka, na którą oberżysta zgodził się tym chętniej, że nasz towarzysz ułatwił mu przez swe stosunki kilka drobnych interesów na komorze rosyjskiej. Posyłki wkrótce zaczęły przychodzić coraz częściej, lecz oberżysta, widząc naszego towarzysza zawsze uśmiechniętego i pewnego siebie, oraz wiedząc dobrze, że mnóstwo rozmaitych towarów w ten sposób przechodzi granicę, zacierał tylko ręce, gdyż towarzysz nasz chętnie pomagał mu w tych interesach, jakie „ofiara” miała na pograniczu rosyjskim.

Wkrótce jednak twarz oberżysty ogromnie się wydłużyła. Wypadkowo zoczył on, że tym towarem, dla którego używał swego pośrednictwa, była bibuła. Słyszał on o ruchu rewolucyjnym w Rosji, dochodziły doń przesadne wieści o okrutnych prześladowaniach, torturach i męczarniach, jakim podlegają wrogowie „porządku politycznego i społecznego” w Rosji, a zarazem miał wysokie pojęcie o potędze cara, który, zdaniem jego, mógł marnego oberżystę nadgranicznego zupełnie łatwo chwycić z obcego państwa, by wyrzucić na nim zemstę za knowania przeciwpaństwowe. W ogromnym więc strachu zrobił gorzką wymówkę naszemu towarzyszowi za takie narażanie „przyjaciela” i stanowczo odmówił pomocy swej nadal.

Towarzysz nasz nie dał się jednak zbić z tropu. Stosunek jego z oberżystą, gospodarzem miejsca na wpół publicznego, wydawał mu się bardzo wygodnym, bardziej zabezpieczającym transporty, niż jaki inny, tym bardziej, że handlowe interesy „ofiary” dawały doskonały pozór dla wielkiej ilości posyłek, nadchodzących do oberży. Postanowił więc wykorzystać strach swej „ofiary”, by ją przykuć do taczki na dłużej.

Przedstawił więc mu, że jego częste stosunki z „przyjacielem” nie są tajemnicą dla nikogo, że w razie odmowy jego będzie zmuszony urządzić interes inaczej, mniej pewnie, mniej bezpiecznie i prawdopodobnie się wsypie, a wówczas, naturalnie, stosunki dwóch „przyjaciół” nabiorą w oczach żandarmów rosyjskich innego znaczenia, wówczas dopiero grozić mu będzie prawdziwe niebezpieczeństwo.

Po długich targach biedna „ofiara” dała się przekonać, tym bardziej, że na poparcie tych argumentów otrzymała w prezencie piękny zegarek. Prosił tylko, by posyłki były mniej częste. Odtąd co miesiąc lub częściej biedny oberżysta ponawiał usiłowania wyrwania się z sieci i za każdym razem cofał się. Żył w wiecznym strachu, osobiwie, gdy leżało u niego więcej bibuły lub na granicy było nieco niespokojnie, drżał, gdy do jego oberży

wsuwał się który z zielonych lub innych urzędników rosyjskich. Dla uspokojenia „przyjaciela” towarzysz nasz musiał znosić najrozmaitsze jego kaprysy – musiał się zgadzać na różne głupie kombinacje, którymi biedny oberżysta starał się zabezpieczyć siebie i „przyjaciela”. Miał więc określone godziny, kiedy się mógł zgłaszać do oberży, musiał często zmieniać sposób opakowania bibuły, sprawić jakąś nadzwyczajną szafę z podwójnymi ściankami, jako schowanka bibuły itd.

Pomiędzy innymi oberżysta ogromnie się wystrzegał, by ktokolwiek nie zobaczył naszego towarzysza w prywatnym jego mieszkaniu. Razu pewnego wynikła z tego powodu zabawna scena. Po milionach ostrożności, przysłanianiu okien, wciskaniu towarzysza X. do kąta w każdej chwili, gdy kto przechodził przed oknami mieszkania, oberżysta pozwolił wreszcie zajrzeć do tajemniczej szafy, gdzie był wpakowany świeży transport bibuły. Niestety chciało, że gdy towarzysz nasz był zajęty segregowaniem bibuły i pakowaniem jej w odpowiedni dla przeniesienia przez granicę sposób, a oberżysta biegał po pokoju, na palcach podchodząc od jednego okna do drugiego, przy drzwiach rozległy się kroki i skrzypnęła klamka. Nim się nasz towarzysz obejrzał, barczysty oberżysta schwycił go za kołnierz, położył go na podłodze, przykrył go jakimś ubraniem i zatrzasnął szafę.

Jak się okazało, do pokoju weszła bratowa oberżysty, która miała jakiś interes do niego. Wystraszony mimowolny rewolucjonista nie mógł od razu zrozumieć, o co bratowej chodzi, i czynił rozpaczliwe wysiłki, by zasłonić swym ciałem miejsce, gdzie leżał nasz towarzysz, którego nieprzykryta noga sterczała spod płachty. Wreszcie, widząc, że wszelkie usiłowania są daremnymi i że bratowa uparcie patrzy na ową nieszczęśliwą nogę, podskoczył do zdziwionej kobiety i wyrzucił ją za drzwi. Po tym wypadku oberżysta był w rozpacz, tym bardziej, że nasz towarzysz zgromił go ostro za takie zachowanie się, które więcej, niż co innego, zwrócić może uwagę otoczenia na ich stosunek. Lecz oberżysta uspokoił się nieco dopiero wtedy, gdy jakąś dziwną kotarą odgrodził kąt w pokoju i umieścił w nim szafę z bibułą. Nasz towarzysz natychmiast po wejściu do pokoju był wpychany za kotarę, gdzie w mroku i ciasnocie mógł już gospodarzyć swobodnie.

Po dwóch latach takiej niewoli oberżysta nie wytrzymał tej katorgi i porzucił swą oberżę. Wyniósł się do spokojniejszych stron, w głąb kraju, lecz przez cały ten czas oddał nieobliczone usługi wrogom caratu.

Inna „ofiara” naszego towarzysza, już więcej świadoma i zdająca sobie sprawę z tego, co czyni, była żoną jednego z urzędników komorowych w tej okolicy.

Pani Z\* pochodziła z niemieckiej, spolszczonej już rodziny i jako guwernantka w bogatym urzędniczym domu, wyszła za mąż za krewnego swego pryncypała, Rosjanina i urzędnika celnego. Pan Z\*<sup>1</sup>, gdy go los zetknął na polskiej ziemi z naszym towarzyszem, był już zupełną ruiną człowieka. Wyniszczyły go zupełnie choroby – skutki hulaszczego życia w młodości. Może był niegdyś niegłupim, lecz w owym czasie był to zidiociały szkielet człowieka, który z ludzkich funkcji zachował bodaj tylko zdolność trawienia i leniwego poruszania się z miejsca na miejsce. Trzymano go na urzędzie jedynie dlatego, że ze względu na krewnego, wysokiego urzędnika w Petersburgu, chciano mu pozwolić na wysłużenie emerytury. Małżeństwo miało córkę kilkunastoletnią, która się kształciła w jakimś zakładzie naukowym w Warszawie.

Pani Z\*, związana z człowiekiem pół-trupem, zdala od córki, do której była przywiązana całym sercem, nie znajdowała w swym otoczeniu, składającym się z nieokrzesanych, często pijanych urzędników, nic takiego, coby mogło zapełnić jako tako jej życie. W tym czasie przybył w owe okolice towarzysz X. Znajomość zawiązała się wypadkowo. Towa-

---

<sup>1</sup> Z\* – Witte, daleki krewny ministra Witte’go.

rzysz X. wyjeżdżał w interesie fabryki do Warszawy i był proszony o dostarczenie córce państwa Z\* prezenciku od rodziców. Wrócił z listem córki i znajomość została zawarta. Po pewnym czasie nasz towarzysz zdecydował się na zużytkowanie dla sprawy tej nowej znajomości.

Na razie powiedział pani Z\*, że jakiś znajomy z Warszawy prosił go o dostarczenie mu kilku książek niecenzuralnych, a że w jego kawalerskim mieszkaniu mogły wpaść one w oko komuś ze służby, prosił o przechowanie książek do czasu oddania ich w należyte ręce. Gdy pani Z\* się zgodziła, przyniósł jej kilka, specjalnie w tym celu wypisanych, tomików poezji polskich i parę książek historycznych. Było to zrobione, naturalnie, w celu oswojenia „ofiary” z nielegalną książką i wysondowania, czy nie wywoła to strachu. Pani Z\* okazała się odważną i nie tylko przechowała książki, lecz i przeczytała je. Wkrótce, jak i u owego oberżysty, liczba książek, przechowywanych u pani Z\*, zaczęła wzrastać, treść ich zaczęła nabierać określeńszej barwy, a gdy to nie zrażało pani Z\*, towarzysz nasz narazie zwierzył się jej, że należy do organizacji, walczącej z rządem carskim, i zaproponował jej od czasu do czasu pomagać mu w robocie.

Dla pani Z\* znajomość z naszym towarzyszem oraz interesy z bibułą były zapełnieniem przerażającej pustki życiowej, a zresztą czuła ona pewnego rodzaju litość dla sympatycznego chłopca, który dla idei narażał się na widoczne niebezpieczeństwo. Zgodziła się więc na propozycję i oddała swe mieszkanie oraz swoje siły na usługi naszemu towarzyszowi. Dla niego pomoc ta była bardzo cenną. Mieszkanie państwa Z\* znajdowało się w dużym murowanym domu, gdzie się mieściło kilka rodzin urzędniczych, więc samo miejsce było swego rodzaju tabu dla zielonych, a w dodatku towarzysz X. mógł używać nieraz pomocy pani Z\*, a przez nią i jej męża, dla osłony poważniejszych transportów w głąb kraju.

Jeden z towarzyszków, który brał udział w przewiezieniu takiego poważniejszego transportu, opisywał swoje przejścia w tym wypadku w następujący sposób.

\*\*\*

– Miałem przywieźć do Warszawy świeży numer „Przedświtu”, mniej więcej dwa pudy bibuły. W tym celu musiałem jechać do miasteczka, oddalonego od granicy o kilka mil, gdzie towarzysz X. miał mi oddać już przetransportowany „Przedświt”. Randka miała nastąpić u jakiegoś znajomego X. Przyjechałem szczęśliwie, zastałem X., lecz bibuły nie było.

– Nie przywiozłem nic – oświadczył mi X., – bo mam na myśli coś większego. Dzisiaj pod wieczór oczekuję czcionek dla naszej drukarni, więc dobrze byłoby, gdybyś zabrał wszystko od razu – czcionki i „Przedświt”.

– Ależ do diabła! – zaprotestowałem, – cóż ty mnie chcesz obładować, jak osła! Dwa pudy bibuły, a tego metalu tyleż, czy więcej. Jak, u licha, ja to powiozę?

– Już ty się nie bój, – śmiał się X., – już ja ci to urządzę, obmyśliłem już wszystko. Tylko śpieszmy. Mamy kilka godzin czasu do przyścia transportu, a wtedy muszę być w domu. Jazda, brachu!

Jak jazda, to jazda! Ruszyliśmy, konie były już przygotowane. W drodze X. zasypywał mnie pytaniami o znajomych towarzyszach, o robocie partyjnej.

– Ach, mój drogi! – powtarzał raz po raz, – dla mnie przyjazd każdego z was to bal prawdziwy. Siedzę tutaj, jak na wyspie bezludnej, ani do kogo porządnie przemówić, ani wiem, co się tam u was dzieje. Licho bierz takie życie!

I z wielkiego rozczulenia ścisnął mi ręką kolano.

– Wam tam wesoło – prawil, – macie życie, ruch, a tu br!... wiecznie albo kłamiesz, albo kogoś na coś naciągasz. Nic masz wyobrażenia, – ciągnął dalej, zapalając się w skardze, – ile ja tu o każdego z was się niepokoję. Wciąż myślę – a może tego lub owego już nie ma? Wy tam z ludźmi macie do czynienia, to tego nie rozumiecie. Oj! wyłby każdy z was na moim miejscu, wył. Bibuła, nuda i wieczna komedia! Ale, pal liko! – otrząsał się z melancholii, – cóż tam słyszeć z „Robotnikiem”? Przywiozłeś mi może świeży numer?

I znowu, przeskakując z przedmiotu na przedmiot, z imienia na imię, wyciągał ze mnie wszystkie nowiny partyjne. Przy tem od czasu do czasu, wyjmując z kieszeni zegarek, mrucał: „Hm, hm, czy zdążę?”

Wreszcie zdala zabielały mury kościoła w miasteczku pogranicznym, a w pobliżu przy skrócie drogi ukazały się czarne ściany kordonu z zielonym wojakiem na warcie. Trochę w bok od miasteczka ukazał się malutki komin fabryczny, oddzielony od zabudowań miejskich wąskim strumieniem. Była to siedziba towarzysza X.

– Słuchaj! – zawołał nagle X. – przyszło mi na myśl, że lepiej będzie, gdy nas razem nie będą widzieć w miasteczku. Kto wie, co będzie, może transport z czcionkami nie przejdzie szczęśliwie, może przemytnika złapią, może wyśpiewa od razu, że niósł mnie, po co i ty masz być w to zamieszany. Nie, nie chcę tego! Urządzimy tak. Ja zajadę do miasteczka... Nie, lepiej ty jedź do miasteczka, zapłać woźnicy zaraz w początku zabudowań, tam będzie uliczka na lewo, raczej droga... o, widzisz, stąd ją widać, – prowadzi do fabryki. A może jeszcze lepiej jedź od razu do pani Z\*, to dla ciebie najbezpieczniej. Co? Ale dla niej niewygodnie, będzie potem musiała kłamać przed ludźmi i ja jej nie uprzedzałem, że ktoś u niej być może...

I kręcił się niespokojnie na wozie, mrużąc: „może lepiej nie zaczepiać? co?” – pytał sam siebie. Widocznie tłoczyły mu się w głowie kombinacje w takiej ilości, że nie mógł się zatrzymać na żadnej z nich.

– Jak myślisz? – pytał. – Najlepiej chyba będzie jechać razem, jeszcze nie dasz sobie rady, zabłądzisz...

– Ależ daj spokój! – przerwałem, – widzę przecie tę drogę, o której mówisz, opowiedz więc, co mam dalej robić. Do pani Z\* w istocie zajeżdżać niezręcznie.

– Tak mówisz! – uspakajał się X., który poczuwał się widocznie do obowiązku opiekowania się przyjezdnymi towarzyszami. – Tak mówisz! no, to dobrze. Jedziesz do miasteczka, płacisz woźnicy, a nie dawaj mu tylko dużego napiwku, tak 10 kopiejek, to dosyć. Jeszcze gotów pomyśleć, że jakaś sprawa nieczysta! Idź tą drogą na lewo, trafisz wprost do fabryki. Tam wal przez bramę na podwórze, nikt cię zatrzymać nie będzie, a i robota dziś w sobotę już się skończyła. Na lewo będą dwa domki, jeden piętrowy, drugi z facjatką, więc do tego z facjatką, na schody i na strychu na lewo, tam mieszka N. N., idź do niego.

– Nie do ciebie? Czemu?

– Już ty mnie słuchaj! – mówił prosząco, – tak lepiej, bo widzisz, a nuż co się zdarzy. Tam dadzą ci herbaty i zjeść cokolwiek, już go uprzedziłem.

– Cóż to za małpa ten N. N.? Jak z nim mam mówić?

– Małpa głupia, jak stołowe nogi, ale poczciwa. Gadaj najlepiej o płci pięknej. Pytać cię o nic nie będzie. No, więc trafisz? Co? Pamiętaj zaraz w miasteczku droga na lewo do fabryki, tam drugi dom z facjatą.

– Dobrze, dobrze, rozumiem – uspakajalem go. – A ty tam przyjdiesz? Kiedy?

– Już cię nie opuszczę, nie zje cię małpa. Aha, N. N. wie o mnie, ale to nic, on złoty chłopiec. No, na mnie pora, stąd dojdę pieszo. Stój! – zawołał na woźnicę.

Konie stanęły, X. wysiadł, ścisnąwszy mi czule rękę i patrząc mi w oczy tak, jak gdyby za chwilę jeden z nas miał być powieszony. Gdy odjechałem parę kroków, usłyszałem wołanie: „Zaczekaj, stój!”. X. znowu dopadł do wozu i szeptał mi do ucha:

– Ale, słuchaj, w razie, gdyby cię jaki strażnik lub żandarm zapytał, kto ty i poco – to się zdarza – powiedz od razu, że do mnie. Dobrze? Bo, widzisz, najlepiej byłoby, najbezpieczniej dla ciebie powiedzieć, że do pani Z\*, to dobra marka. Ale kto wie, jak dalej będzie? Po co mamy bez potrzeby wciągać panią Z\*? Co?

Zgodziłem się i na to, jeszcze raz uściskaliśmy się i ruszyliśmy w różne strony. Przy wjeździe do miasteczka zatrzymałem woźnicę, opłaciłem go i poszedłem według wskazówek X. do fabryki. Nikt mnie nie zatrzymywał, spotkałem na drodze tylko konnego zielonego, który nie zwrócił nawet na mnie uwagi. Po chwili byłem już koło domu z facjatką. W dosyć ciemnej sieni znalazłem schody, prowadzące na strych. Schody były strome, karkołomne, bez poręczy. Wdrapałem się na strych i, po omacku już idąc, na lewo znalazłem jakieś drzwi. Zapukałem. Otworzyła mi drzwi jakaś senna, pulchna figura, która na zapytanie, czy z panem N. N. mam do czynienia, zaprosiła mnie do pokoiku.

– Proszę, proszę, panie dobrodzieju, – flegmatycznie cedziła figura. – Pan X. mię uprzedzał, a jakże. Proszę, czekam z herbatką, niech pan siada.

Usiadłem. W pokoju było duszno, w nosie nieprzyjemnie łechtano od zapachu jakiejś strasznie taniej i strasznie obskurnej perfumy. Na ścianach były poprzybijane korespondentki i obrazki, przedstawiające przeważnie na pół lub zupełnie rozebrane niewiasty w różnych pozach. Na komodzie rozłożony był cały arsenał grzebyków, szczoteczek, mydełek i flakoników. Sam zaś gospodarz, był to wyblakły, puciołowaty blondynek, o sennych oczach i flegmatycznych ruchach, z głupekowatym, nieco zażenowanym uśmiechem.

– Co, u diabła, za konspiracje może mieć X. z taką małpą? – myślałem.

N. N. nalał mi herbaty, podał mi chleb, masło i jakąś przestarzałą wędlinę i czekał cierpliwie na rozpoczęcie rozmowy, nie pytając mię o nic.

Próbowałem nawiązać rozmowę z różnych beczek; rozpytałem dokładnie mego gospodarza o warunkach pracy na fabryce, o cenach na produkty spożywcze, o przestrzeni, dzielącej fabrykę od granicy i od różnych miejsc zamieszkałych w okolicy. Na wszystkie pytania otrzymywałem jednosylabowe, monotonnym głosem wyrzeczone odpowiedzi. Wreszcie zabrakło mi tematu. Zamilkłem. Milczał i gospodarz. Na szczęście przypomniałem sobie radę X. – gadaj o płci pięknej.

– Pan był w Warszawie? Nieprawdaż? Zauważył pan zapewne, że w Warszawie dużo ładnych niewiast?

Gospodarz ożywił się nieco. Westchnął, jak wieloryb, a na twarzy zakwitł uśmiech błogi.

– Co pan mówi – ładne... co to jest ładne? Piękne, powiadam panu, piękne! Przecie to nasza sława!

Rozmowa odtąd nie urywała się. N. N. mówił dużo i z zapalem. Słuchałem pół-uchem, wciąż pytając siebie, jak ten wioskowy Don Juan mógł się stać pomocnikiem naszej sprawy.

Wreszcie nie wytrzymałem i spytałem, przerywając jego dowodzenie o wyższości warszawianek nad krakowiankami.

– Pan dawno zna pana X.?

– Ja? – odpowiedział pytaniem. – Czy dawno? Nie, pół roku temu. O! to bardzo porządny, bardzo dobry człowiek! – mówił z przekonaniem. – Takich ludzi niewiele na świecie. Pan może sądzi, że ja nie czuję? Nie, ja czuję!

Co właściwie czuł pan N. N., tego mi nie wyjaśnił, widocznym jednak było, że czuł w istocie, bo twarz mu się zmieniła i jak gdyby nabrała pewnego wyrazu.

Nagle do pokoju wpadł sam X. Rzucił kapelusz na łóżko, zajrzał nie wiem już po co, do kątów i wreszcie siadł koło mnie.

– Pijesz herbatę, – mówił wesoło, kładąc mi rękę na ramieniu. – Cóż, zmęczony jesteś? Możebyś zdrzemnął? Czekają nas jeszcze dziś wieczorem prace.

Wstał znowu, przewrócił parę gratów na stole i klepiąc dobrotliwie po ramieniu gospodarza, mówił:

– Pewnie o kobietach rozprawialiście, co? Oj! panie N. N., zgubił pan kiedyś te kobiety! A co słyhać tu u nas?

– Stare dzieje, panie dobrodzieju, stare! – mówił znowu flegmatycznie gospodarz. – Pan wie, przyjechał znowu brat pana dyrektora.

– Nie wie pan, po co? – zapytał żywo X.

– Ma jakoby jechać na kilka dni do Krakowa, a potem wraca do Warszawy.

X. zamyślił się, parę razy przeszedł wzdłuż pokoju i wreszcie rzekł:

– Może mu co wsunąć, gdy będzie wracał? Powiem mu, że to prezent dla córeczki pani Z\* – szeptał mi do ucha. – Ty zajdziesz do niego, mieszka na Marszałkowskiej, przedstawisz się, jako krewny pani Z\*, i odbierzesz. Co? On człowiek dyskretny, nie otworzy pakunku... Nie, nie, to na nic! Ty możesz nie być w tym czasie w Warszawie, posyłka będzie u niego leżała długo. Jeszcze gotów sam zanieść na pensję. Ładny byłby obrazek, zamiast prezentu – bibuła! To na nic!

Zamyślił się znowu.

– Ale prawda, zapomniałem, żeś mi przywiózł „Robotnika” i listy zagraniczne. Po co będę tym obciążał swego pośrednika? Ten pan jedzie do Krakowa, niech zawiezie tam. Dam mu adres. Jak sądzisz, – zwrócił się do mnie, – czy można mu dać adres? – wymienił mi nazwisko jednego z towarzyszy krakowskich. – Znajdzie może „Naprzód” u niego na stole i gotów posadzić kogo z nas o socjalizm. Lepiej zapytam, gdzie się zatrzyma w Krakowie i napiszę do faceta, by zaszedł i odebrał. Tak będzie nawet grzeczniej, nie będę go fatygował. Tak zrobię! Ot, jeszcze jeden interes będzie załatwiony!

Gospodarz, widząc, że X. coś mi szeptem do ucha, dyskretnie się usunął na bok.

– Ja mam mały interes do załatwienia – mówił, biorąc czapkę. – Zostawię tu panów. Do widzenia!

– Nie, nie, panie. Niech pan zaczeka – zaprotestował X. – Jeszcze pół godzinki i ja pana uwolnię. Już wieczór się zbliża.

Odciągnął mnie w kąt i zniżonym głosem mówił:

– Widziałem swego przemytnika, przeniósł już w nocy czcionki, lecz zdawało mu się, że jest za nim pogoń, zakopał więc pudełka w krzakach. Dzisiaj o zmroku ma to mi przynieść. Muszę czekać na niego, ale na wszelki wypadek ty posiedź tu chwilę jeszcze, a w razie, gdybym za godzinę nie wrócił, idź z N. N. do miasteczka i już bez ceremonii wal do pani Z\*. Każdy w miasteczku wskaże, gdzie ona. Z nią się już umawiaj o dalsze sprawy, tylko tu nie wracaj, bo, w razie mojej wyspy, mogą zacząć i N. N. No, bywaj!

Ścisnął mi mocno rękę, patrząc na mnie znowu tak, jak gdybyśmy się rozstawiali na zawsze albo na bardzo długo.

Wyszedł, a N. N., odprowadziwszy go do drzwi, wrócił, mrużąc:

– Biedny człowiek, nigdy spokoju, ani chwili spokoju!

Nie chciało mi się rozpoczynać raz jeszcze „kwestii kobiecej”, milczałem więc, patrząc w okno, przez które widać było gasnącą zwolna wieczorną zorzę.

Było mi trochę smutno. Nie dręczyły mnie, co prawda, żadne złe przeczucia. Wiedziałem dobrze, że dzielnemu X. tyle już przedsięwzięć się udało, iż nie było żadnej racji oczekiwać, by za tym razem powinęła mu się noga. Ale... kto wie, może za chwilę, gdy ja tu będę jeszcze spokojnie siedział, tam, wśród tej miłej i cichej przyrody, przy tej pogodnie gasnącej zorzy, rozegra się jeden z dramatów granicznych, które przecież kończą się nieraz śmiercią.

Czas włókł się leniwie, niecierpliwość moja wzrastała. Spojrzałem na zegarek – minęło zaledwie 20 minut od rozstania się z X. Więc jeszcze 40 minut czekania.

N. N. siedział na łóżku i zdawał się wsłuchiwać w wieczorną ciszę. Po pewnym czasie prawie wesoło zawołał:

– Idzie! panie dobrodzieju, idzie!

W istocie usłyszałem pod oknem ciężkie kroki i lekkie gwizdnięcie. Później słychać było krótką, urywaną rozmowę szeptem, odmykanie i zamykanie okna, wreszcie kroki zaczęły się oddalać.

– No, gotowe! – zawołał po chwili X., wpadając do pokoju i zacierając ręce. – Teraz chodź do mnie – mówił, ciągnąc mnie za rękaw. – Teraz i pan wolny – dodał, zwracając się do pana N. N.

Zeszliśmy znowu po karkołomnych schodach na dół i X. wprowadził mnie do swego pokoju na parterze, pod pokoikiem N. N. na facjatce.

Pokój był nieduży, bardzo skromnie umeblowany. Stół przy oknie, na nim trochę rozrzuconych papierów i rachunków fabrycznych, łóżko po jednej stronie stołu, po drugiej kanapka, kilka krzeseł – oto całe umeblowanie.

Gdyśmy weszli, w pokoju było ciemno. X. natychmiast zamknął za sobą drzwi na klucz, spuścił gęstą roletę i zapalił lampę. Na łóżku leżały dwa drewniane pudełka.

– Spróbuj podnieść. Oj, ciężkie cukierki! – żartował wesoło.

Były to czcionki, któreśmy wypisali dla dopełnienia inwentarza swej drukarni.

– Trzeba pudełka rozbić, przeniesiemy do pani Z\* czcionki w kieszeni. Do pracy! A ciekaw jestem, czy przysłali ozdóbki. Prosiłem o to Londyn specjalnym listem.

Ozdóbki w pudełku się znalazły, z czego X. cieszył się, jak dziecko.

– Będzie chłopcom w drukarni niespodzianka! Ale – zachnął się nagle – przeglądałem wasze zamówienia bibuły. Nie rozumiem, czemu wypisujecie tak mało; np. tak poczytnej broszury, jak „Ojciec Szymon”, tylko 300. Przecie to wam wystarczy tylko na miesiąc, dobrze – jeśli na dwa. Nie, mój drogi, wybacz, ale ja wasz obstalunek przerobię.

– Ależ – protestowałem – nie przebieraj miarki, po co wypisywać za dużo, żeby bibuła nam była kulą u nogi.

– Et, gadanie! – oburzył się X., – nie możecie jej trzymać u siebie, to niech leży u mnie. U pani Z\* mam wspaniały skład, mógłbym tam cały londyński skład wpakować. Zobaczysz! Jak sobie chcesz, a do waszego obstalunku coś niecoś dopiszę. Ale my tu gadu, gadu, a już iść trzeba, już pół do dziesiątej. O tej porze pan Z\* spać się kładzie. Spieszmy!

Czcionki leżały na łóżku w kolumnach, zawiniętych w gruby papier. Było tego na wagę do trzech pudów. Wsuwaliśmy kolumny do kieszeni spodni, kurtki i paltotu. Ciężar czcionek od razu ściągnął ubranie ku ziemi, poczułem pewną niezręczność i brak swobody swych członków przy takim opakowaniu siebie.

– Czy daleko iść mamy? – zapytałem.

– A co? może ci za ciężko, daj mi jedną kolumnę. Ja do tego rodzaju spacerów jestem już przyzwyczajony. Będziemy szli jakie pół wiorsty.

Nie zgodziłem się jednak na dodatkowe obciążanie przyjaciela, który tym czasem, świecąc sobie lampą, oglądał uważnie łóżko i podłogę koło stołu.

– Zgubiłeś co? – pytałem. – Trudno ci będzie nachylać się, znajdziesz potem, po powrocie.

– Nic nie zgubiłem, – odparł, – ale na wszelki wypadek oglądam, czy co się z pudełek nie wysypało. O! widzisz, trzeba zabrać deseczki od pudełek. U mnie one zwrócą uwagę stróża, zaniosę je pani Z\*, spali je w kuchni.

Rzucił raz jeszcze badawcze spojrzenie na pokój i zgasił lampę.

– Idźmy! – rzekł. – Trzymaj się mnie; na dworze ciemno, a będziemy szli wąską ścieżką i kładką nad strumykiem.

W istocie było ciemno, lecz mój przewodnik znał widocznie doskonale drogę. Szedł krokiem pewnym, od czasu do czasu ostrzegając mnie, bym nie zawadził o co. Gdyśmy wyszli z pomiędzy zabudowań fabrycznych i zdala zamigotały światełka miasteczka, mój przyjaciel zwrócił się do mnie:

– Słuchaj, tu zapal papierosa i rozmawiajmy głośno, jak ludzie, co nie mają powodu ukrywać się. Ten kawałek drogi do miasteczka niezupełnie bezpieczny. Zieloni tu się włóczą często. Mnie raz zatrzymali przy kładce, widocznie oczekiwali kontrabandy owej nocy. No, ale mnie znają tu, więc żołnierz, poznavszy mnie, puścił, a miałem przy sobie prawie pud bibuły.

Według wskazówek towarzysza szliśmy, gawędząc głośno, nawet hałaśliwie. Rozmawialiśmy, naturalnie, o rzeczach postronnych. Droga była uciążliwa, czcionki obciągały odzienie, szelki wpijały się w ciało, pakunki w kieszeniach od palta biły po biodrach, na nierównej ścieżce, pomimo ostrzeżeń przewodnika, raz po raz wpadałem na pień lub kamień. Odetchnąłem więc lżej, gdy, zlany potem, wszedłem za moim przewodnikiem w wąską uliczkę miasteczka, – byliśmy prawie u celu.

– U pani Z\* świeci się – mówił X., wskazując na okno na pierwszym piętrze, z którego płynął łagodny blask na uliczkę. Chwała Bogu, pan Z\* już się położył. Bylibyśmy zmuszeni w przeciwnym razie chodzić tu i czekać. Raz, tak obciążony, czekałem pół godziny, myślałem, że mię diabli wezmą.

– Czemu nie wchodzisz przy nim, przecież go znasz?

– A bibuła, która ci zewsząd sterczy, a służąca, która, nim się pan nie położy, nie usunie się z mieszkania! No, teraz cicho, możliwie cicho! – szepnął mi, wchodząc na schody. – Nie stukaj butami!

To drapanie się na schody, stąpanie na palcach nóg z ciężarem w kieszeniach i ze strachem w duszy, że się skądś wyłoni ktoś z mieszkańców domu, – było chyba najprzykrzejszym przejściem, jakie miałem w życiu. Drewniane schody w dodatku skrzypiały od czasu do czasu. Człowiek by chciał, by w tym czasie grzmiało na dworze, wyła zawierucha i zagłuszała te nieznośne skrzypnięcia.

– Za kogoby nas wzięto, – myślałem, – gdyby tak nas kto zoczył wkradających się, jak złodzieje, do cudzego domu? I ten człowiek przebywa tę drogę kilka razy na tydzień!...

Nareszcie jesteśmy na galeryjce, wiodącej do mieszkań urzędniczych. Czyżby trzeba było po tej galeryjce pod drzwiami się przekradać?

Nie, na szczęście mój towarzysz zatrzymał się przy pierwszych drzwiach i lekko zapukał. Drzwi natychmiast się otworzyły – widocznie nas czekali. U progu stała niemłoda, szczupła blondynka ze smutnym, lecz łagodnym wyrazem twarzy. Palec położyła na



ustach i wskazała pokój na lewo. Jak cienie, wsunęliśmy się do pokoju, gdzie mój towarzysz wziął mnie za ramię i doprowadził do jakiegoś łóżka. Siedliśmy na nie.

– Jeszcze nie zasnął, – szepnął mi do ucha, – może i służąca jest.

W istocie – usłyszeliśmy kobiece głosy w przedpokoju. Jak tylko drzwi za galeryjką skrzypnęły, mój towarzysz podskoczył, jak piłka, i na palcach nóg szybko podbiegł do drzwi pokoju, – nasłuchiwał, po chwili wrócił do mnie.

– Jeszcze nie – szeptał, – słyszałem, jak pani Z\* mówiła, żeby służąca podrzuciła węgli do samowaru – chce gości poczęstować herbatą.

Nareszcie po kwadransie siedzenia w ciemnym pokoju ujrzeliśmy panią Z\*, która z lampą w ręku weszła do nas.

– Oswobodzę już panów z niewoli – mówiła z uśmiechem, podając rękę memu przyjacielowi.

– Towarzysz z Warszawy – przedstawił mnie X.

– Proszę na herbatę, pewnieście zmęczeni.

Chcieliśmy się wymówić, lecz wreszcie ustąpiliśmy gospodyni. W następnym pokoju na stole szumił samowar, stały szklanki, talerze i przekąska.

Jedliśmy i piliśmy w milczeniu; drzwi do dalszego pokoju były otwarte. Stamtąd od czasu do czasu dawało się słyszeć jakieś chrapanie, zgrzytanie zębami, niewyraźne mruczenie. Ani pani Z\*, ani mój przyjaciel nie zwracali na to najmniejszej uwagi.

Po kolacji wróciliśmy do pokoju, do któregośmy weszli z przedpokoju. Był to, jak mi wytłumaczył mój towarzysz, pokój córki państwa Z\*.

– To mój skład główny – mówił mi X. z dumą. – Spójrz!

Wyjął z kieszeni wiązki kluczyków i otwierał szuflady komody. Były napełnione bibułą.

– No, teraz pakować! Jutro pojedziesz z panią Z\*. Ona jedzie do Warszawy. Ja odprowadzę was do stacji kolejowej. Dla powagi i ochrony weźmiemy z sobą tego kiepskiego wariata, pana Z\*. Jego nikt nie ruszy! Tym razem pojedziesz, jak wielki pan, nie jak biedny rewolucjonista, chowający się przed wzrokiem każdego ugwiażdżonego durnia moskiewskiego. Ale za to zabierzesz niemało. Wpakuję ci oprócz „Przedświtu” i czcionek jeszcze pudzik bibuły agitacyjnej. Zgoda? Przecie tej brak wam zawsze.

Wysunął na środek koszy i parę waliz. Składaliśmy w nie książki, czcionki położyliśmy na sam spód kosza. Szuflady w komodzie powoli wypróżniały się. Mój towarzysz zacierał rękę i mruczał, robiąc od czasu do czasu notatki.

– Sto „Ojca Szymona”. No, no! Nic już u mnie nie zostało. A widzisz, że trzeba wypisać pięćset, nie trzysta, jak wy chcecie! Dwadzieścia „W kwestji żydowskiej”. Choć Marks pisał, ale rzecz nudna, – wystarczy dwadzieścia. Co?

Kiwnąłem głową na znak zgody.

– Sto „Katolika”, – mruczał, biorąc do ręki związaną paczkę broszury „Czy socjalista może być katolikiem”. – Słyszałem, że w Radomskim tej broszury wiele idzie. Może dać ci jeszcze pięćdziesiąt? Taka cieniuchna!

– Dosyć i sto, mamy tego jeszcze na składzie. Czy masz jeszcze „Pańszczyzny?”<sup>1</sup> Tej nam zabrakło.

– A co! mówię wam zawsze, że za mało wypisujecie. Mam jeszcze u siebie kilkadziesiąt – mówił nieco smutnym tonem, – ale czy to wystarczy?

– Wypisaliśmy już ją na granicę Y-ka. Na razie wystarczy i kilkadziesiąt. Dawaj!

---

<sup>1</sup> Broszura Michała Luśni (Kazimierza Krauza) „Czy teraz niema pańszczyzny”, przeznaczona dla chłopów.

– Et, kiedy to przez Y-ka przejdzie! Wiem, zjedzą tam bibułę myszy, nim stamtąd wyciągniecie. Słuchaj, dodam do obstalunku jeszcze setkę lub dwie „Pańszczyzny”. Jak sądzisz?

Nareszcie skończyliśmy. Obejrzałem się po pokoju. Wszędzie było pełno książek, małych i dużych, w różnokolorowych okładkach. Na środku stał kosz, do połowy naładowany temiż książkami, walizki otwarte, lecz pełne bibuły, a nad tym wszystkim schylony człowiek z błogim uśmiechem na ustach. Drzwi do sąsiedniego pokoju były wpół-otwarte i stamtąd dolatywały ciche, lekkie kroki pani Z\*, która chodziła po pokoju, i chrapliwe mruczenie śpiącego gospodarza domu. Do tego ja sam, bezimienny towarzysz z Warszawy, gospodarzący w pokoju kilkunastoletniej panny, nieznanej mu wcale.

Dziwaczny ten obrazek z życia ludzi, których związał los i idea, zostanie w mej pamięci na zawsze.

Pożegnaliśmy panią Z\* po uprzątnięciu z pokoju rozrzuconych książek. Nazajutrz rano mieliśmy przyjść do niej na śniadanie i zaraz po śniadaniu ruszać w drogę.

Znowu te przekłete schody, po których schodziliśmy tak samo ostrożnie, jak przed paru godzinami wchodziliśmy na nie. Wyszliśmy na uliczkę i skierowaliśmy się ku fabryce.

– Słuchaj! – rzekłem – ciebie tu prawdopodobnie podejrzewają o romans z panią Z\*? Bo jak ludzie sobie wytłumaczyć mogą te częste stosunki twoje z nią, a nie bez tego, żeby cię kto nie widział wkradającego się do niej wieczorami.

– Nie wiem, – odpowiedział zażenowany, – może. Ale cóż ja na to poradzę? U siebie przechowywać bibuły nie mogę. W razie złego wypadku ze mną, zostanie przynajmniej bibuła, już przeciągnięta na tę stronę. Nic na to nie poradzę, – powtórzył. – Pocieszam siebie tym, że za rok najdalej to się skończy, mąż jej otrzyma już emeryturę, no i, naturalnie, wyjadą stąd. Jak ja wówczas urzędę się ze składem, doprawdy nie wiem. Z pewnością nie będzie tak wygodnie.

– Wygodnie! Ależ niech cię pioruny biją, człowieku! Co ty nazywasz wygodnym? Czy nie te skrzypiące schody do pani Z\*?

– Schody, jak schody, – odpowiedział z rezygnacją mój towarzysz, – ale bezpieczeństwo bibuły zupełne i względna łatwość wywiezienia jej stąd. Ja nie mogę sobie pozwalać na częste wyjazdy – zwraca to uwagę i mam zresztą służbę. Pani Z\* łatwiej to uskutecznia. A oprócz tego pani Z\* nie tchórzy i to moja największa wygrana. Wolę iść nocą na trzecie piętro po takich schodach do człowieka, który się nie boi, niż mieć do czynienia z bałwanem, opanowanym drzączką. Miałem tu takiego idiotę!

– Wyobraź sobie, – mówił z wzrastającym oburzeniem, – co ten bałwan mi urządził!? Trzymam się tej zasady, żeby u siebie bibuły nie mieć. Praca w fabryce i służba w P. P. S. zmusza mnie do częstego wychodzenia z mieszkania, nieraz muszę kogokolwiek z interesantów zostawić u siebie w pokoju. Nawet porządniejszych książek legalnych u siebie nie trzymam, a cóż dopiero bibułę! Nim więc nie urządziłem składu u pani Z\*, musiałem rozsyłać pakunki do różnych znajomych. A ten idiota – był to mój krewniaczek, sprowadziłem go nawet umyślnie na praktykanta do fabryki, no i do P. P. S. – wiedział o mojej robocie, okazywał współczucie. Dałem mu dwa czy trzy pakunki do przechowania. Akurat nie było mnie w domu – wyjeżdżałem wówczas do Warszawy – przyjechał tu do miasteczka prokurator z żandarmem. Jak się potem okazało, przyjechali zrobić rewizję u chłopca okolicznego, który gdzieś po pijanemu wylał cara. A u mego krewniaczka od razu wszystkie pchły pozdychały ze strachu. Miał u siebie bibułę, więc był przekonany, że to właśnie dla niego przyjechał żandarm. Opanowała go taka idiotyczna drzączka, że pod wieczór wyniósł pakunki do lasu i zakopał, a ze strachu zapomniał potem, w którym miejscu. Teraz

wciąż się boję, że ktokolwiek wypadkiem na bibułę zakopaną natrafi, dojdzie to do władzy i zwrócą uwagę na nasz kąt.

– I wiesz, – dodał ze złością, – ta logika tchórzów! Pytam go, czemu lepiej nie spalił bibuły? Powiada, że był przekonany, iż przyjechali do niego, więc się bał palić, by dym z komina go nie zdradził. Idiota – bał się dymu, a nie bał się wieczorem włóczyć z pakunkami tam, gdzie go jako kontrabandzistę złapaćby mogli.

– Idiota! – powtórzył raz jeszcze X., widocznie nie mogący strawić zawodu, doznanego z powodu krewniaka.

– Myślałem, gdyś zaczynał, – mówiłem mu, – że będziesz mówił o N. N. ...

– Głupi jest, ale nie tchórz – żywo przerwał mi mój towarzysz. – Nie, nie tchórz.

– Ale powiedz mi, jak się dostałeś do serca tego śmierdzącego perfumą ananasa? Nie przez kobietę przecie?

– Przez kobietę? Nie! – śmiał się X., – ale to jest zacny chłop. Wy tam w stolicy przyzwyczajeni jesteście do ludzi mądrych. Jak wam który nie będzie za panią matką, Marksem, powtarzał pacierza o walce klas i materialistycznym pojmowaniu dziejów, to już dla was jest do niczego. Ja tu przebierać nie mogę. N. N. o materializmie historycznym nie słyszał nigdy, a gdyby i usłyszał, to go nie zrozumie. Ale wie, że na świecie jest źle, że ludziom krzywda się dzieje. Sam się czuje również pokrzywdzony: raz – jako Polak, dwa – jako najemnik w fabryce. Ojciec jego zginął w powstaniu. A i te kobiety! Sądzisz, że którkolwiek skrzywdził, uwiódł? Broń Boże! Zabawny człowiek! Tego jestem zupełnie pewny. Względem mnie ma pewne obowiązki. Mnie pan dyrektor trochę ceni i szanuje, a tego biedaka maltretuje; bronię więc go, jak mogę.

Podchodziliśmy już do fabryki. Mój towarzysz był zmęczony i wyczerpany, lecz widocznie był stęskniony do pogawędki z człowiekiem, bliskim mu ideą, związanym z nim wspólnością pracy, – nie chciał się ze mną rozstać.

– Może jesteś zmęczony? – pytał trochę niespokojnie, – jeśli chcesz się wyspać, idź na górę do N. N. Może nawet będzie to bezpieczniej. Co? Ja przeczytam jeszcze „Robotnika”, jeszcze nie zasną!

– Nie, – odparłem, – wolę nocować u ciebie. Pogadamy jeszcze.

– Jak chcesz, jak chcesz! – mówił uradowany, – przyznam ci się, że i ja wolę być z tobą. Ale pamiętaj! – przestrzegał, – jutro obudzę cię rano, przed przyjściem stróża, który sprząta u mnie. Wyprawię cię na górę do N. N. na herbatę. Lepiej będzie, gdy ciebie razem ze mną nie będą widzieć.

Prawie do świtu trwała cicha nasza rozmowa o sprawach partyjnych. Mój towarzysz interesował się każdym szczegółem pracy, wymuszał na mnie opowiadania, rozpytywał o każdą osobę, biorącą udział w ruchu, i raz po raz powtarzał:

– Pamiętaj, gdy kto się tam u was skompromituje i będzie musiał uciekać za granicę, przysyłajcie go do mnie. Już ja go przeprawię szczęśliwie na tamtą stronę! Nazajutrz po przyjeździe do mnie będzie już w Krakowie. A może kto z was tam zanadto jest zmęczony, mogę urządzić tu wakacje. Mam tu znajomego szlagona. Dawno myślę, by u niego urządzić przytułek letni dla naszych. Odpoczną sobie chłopcy na trawce. Mówisz, że M. – wymienił mi nazwisko jednego z towarzyszy – jest zdenerwowany i przemęczony. Przysyłajcie go, odpocznijcie tutaj.

Wreszcie, zmęczeni, zasnęliśmy. Lecz już koło siódmej obudziło mię wołanie X.

– Wstawaj prędzej, za chwilę przyjdzie stróż! Już cię pewno N. N. czeka z herbatą. Umyjesz się u niego. No, ruszaj się, śpiochu!

Po chwili byłem już u N. N. i wdychałem mdły zapach tanich perfum. N. N. był już na nogach i flegmatycznie przyrządzał herbatę.

– Mało pan spał! nie wyspany pan jest, panie dobrodziejku? – cedził z wolna. – Ja to wiem, ja to rozumiem. Wielkie rzeczy państwo robicie, wielkie, panie dobrodziejku! Tyle książek, a każdą ktokolwiek przeczyta, z każdej coś będzie, panie dobrodziejku! Ja to rozumiem.

Wydał mi się nawet sympatycznym ten pulchny blondynek, nie zdający sobie sprawy z materialistycznego pojmowania dziejów, a narażający siebie i swą swobodę dla niejasnego, niewyraźnego: „Ja to rozumiem”. Uścisnąłem mu serdecznie rękę na powitanie po umyciu się i zacząłem odczuwać pewnego rodzaju przywiązanie, jakie miał X. dla swych „ofiar”-pomocników.

– Więc wszystko dobrze, – powiedział N. N., – słyszałem, jakżeście państwo wracali z miasteczka wczoraj wieczorem. Pan X. stanowczo zanadto się naraża, panie dobrodziejku! Niech pan zwróci jego uwagę. Pan jego przyjaciel i potrafi to zrobić. O nim już tu w okolicy gadają.

– Co gadają? – pytałem zaniepokojony.

– Za dużo się kręci, panie dobrodziejku, za dużo! To sam wyjeżdża, to ktoś do niego – ot, jak pan – przyjedzie. O! i pan dyrektor wczoraj wieczorem mnie pytał: „Kto to ten pan, co do X. przyjechał?”

– Cóż pan na to? przecie przyjechałem niby do pana.

– Toż to właśnie! I ja to dyrektorowi mówiłem. Kuzyn, panie dobrodziejku, mówię, kuzyn z Częstochowy. Ale czy uwierzy i czemu odrazu pana X. posądzał? Ciekawi tu u nas ludzie, panie dobrodziejku, ciekawi. Radziby sąsiadowi do garnka zajrzeć, co je. A cóż dopiero nowy, nieznamy człowiek!? Zaraz: skąd? po co? do kogo? – A pan X. gorączka, byle więcej, byle prędzej. Niech pan z nim pomówi, niech pan wpłynie. Zgubi siebie ten człowiek!

N. N. ani razu nie wspomniał o sobie i o niebezpieczeństwie, które mu grozić mogło z powodu stosunków z X. i jego przyjezdnymi towarzyszami. Widocznie nie bał się w istocie. Obiecałem mu solennie, że się z X. rozmówię.

– Jak skończymy herbatę, pójdziemy. Pan X. mi mówił rano, że bym pana odprowadził do miasteczka, żebyśmy razem koło okien pana dyrektora przeszli. Już mu opowiadałem, że pan dyrektor pytał o pana. U dyrektora dzisiaj rano wstają, brat wyjeżdża do Krakowa. Pan X. pewno tam jest.

Po herbacie wyszliśmy i według rozkazu X. przechodziliśmy koło okien dyrektora. Zatrzymaliśmy się nawet przy nich, żeby pan dyrektor zdążył obejrzeć nas, idących razem i rozmawiających, jak dobrzy i dawni znajomi.

O dziewiątej stanąłem przed domem, gdzie mieszkała pani Z\*. Przekłete schody już mnie nie straszyły, szedłem po nich śmiało, nie zważając na to, czy deski skrzypią pod moimi stopami. W przedpokoju spotkała mnie pani Z\*.

– Witamy pana, czekamy na pana ze śniadaniem, pan X. już jest. Proszę!

Wszedłem do następnego pokoju, gdzieśmy poprzedniego dnia pili herbatę. Przy stole siedzieli: mój towarzysz X. i pan Z\*, szczupły, wymizerowany mężczyzna z osowiałym, prawie nieprzytomnym wzrokiem.

– Mój mąż, pan S...ski – naprędce skomponowała mi nazwisko pani Z\*.

Podaliśmy sobie ręce. Pan Z\* nie zapytał mnie o nic, nawet nie spojrzął. Oczy jego pożądliwie spoglądały na stół, zastawiony różnego rodzaju jadłem.

– Niech pan siada! – zapraszała pani Z\*. – Zaraz po śniadaniu jedziemy, by zdążyć na pociąg. Obiada pewnie jeść nie będziemy, niech więc pan się posila.

W ogólnej rozmowie, którą prowadziliśmy przy stole, pan Z\* nie brał udziału wcale. Od czasu do czasu, gdy usłyszał jaką nazwę miasta lub miasteczka, przerywał jedzenie, głupkowato oglądał obecnych, namyślał się widocznie nad czymś i nagle wypalał:

– *Libawa – kurlandskiej gubernii. Wiem, morze jest’...*

– *Łódź – pietrokowskiej gubernii. Wiem... fabryki jest’...*

Była to, zdaje się, jedyna dziedzina, w której umysł pana Z\* był czynnym. Spostrzegłem, że mu sprawiał przyjemność taki udział w gawędzie, starałem się więc w rozmowie używać możliwie wiele nazw miejscowości. Pani Z\* spostrzegła to i obdarzyła mnie wdzięcznym spojrzeniem.

Nareszcie śniadanie zostało skończone, usłyszałem turkot powozu przed domem. Do pokoju wszedł woźnica, który zniósł, stękając, ciężki kosz i walizki na dół. Po chwili i my byliśmy gotowi. Pan Z\*’, jak manekin, dał się pokornie ubrać we wszystkie urzędowe godła i sprowadzić do powozu; nie pytał o nic, zdawał się nie zwracać uwagi na otoczenie. Siedliśmy do powozu, konie rącho unosiły nas w głąb kraju, oddalając od granicy.

Jechaliśmy w istocie, jak przepowiadał X., jak panowie. Zieloni i strażnicy przy spotkaniu powozu, widząc w nim pana Z\*’, o którym powszechnie wiadomo, że jest krewnym nieledwie ministra w Petersburgu, oddawali nam honory, nie domyślając się wcale, iż w powozie ukrytych jest mnóstwo rewolucyjnych wydawnictw. A mimowolny sprawca tych honorów, gwarantujący bezpieczeństwo naszej wyprawie, kiwał się bezmyślnie w powozie, wyrzucając niekiedy z siebie:

– *Busk? Kieleckoj gubernii... Tam wody jest’...*

– *Czenstochow? Pietrokowskiej gubernii... Tam monastyr’<sup>1</sup> jest’*,

\*\*\*

Tak mniej więcej wyglądają partyjne biura transportowe.

Widocznym jest dla każdego, że kierowanie takim biurem polega przede wszystkim na ciągłym wyzyskiwaniu każdej nadarzającej się okoliczności, na łączeniu różnych okazji w pewien system, na misternej robocie kombinowania drobiazgów i szczegółów z życia całego otoczenia.

Tylko przy takich warunkach i przy uzdolnieniu do takiej właśnie roboty można produkcyjność granicy doprowadzić do wyższych rozmiarów i zabezpieczyć przetransportowaną już bibułę od wpadnięcia w ręce żandarmów i zielonych. Zapomniana na stole broszura, źle wybrana pora wyjazdu, niedostrzeżenie jakiegokolwiek zmiany w systemie strzeżenia granicy przez zielonych, nieprzyjęcie pod uwagę osobistych zalet lub wad ludzi wchodzących w grę przy transportach – wszystkie te drobnostki stanowiąc mogą o powodzeniu roboty, wszystkie doprowadzić są w stanie do zwrócenia uwagi na człowieka lub rzeczy, z nim związane, a każda z nich sprowadzić może wyspę granicy i aresztowanie jej kierownika.

Jeżeli do tego dodamy, że warunki życia osobistego są zazwyczaj wcale nieszczególne, albowiem większa część granicy państwa – to wiejska lub miałomiasteczkowa pustynia kulturalna, połączona z najgłupszymi plotkami, z niskim poziomem oświaty i życia towarzyskiego – zrozumiemy, jak trudnym jest stanowisko towarzyszków, którzy tej pracy się poświęcają. Wieczna czujność i zwracanie uwagi na najmniejsze drobiazgi jest ich

---

<sup>1</sup> Klasztor.

obowiązkiem, ciągle granie komedii i udawanie jest ich cnotą, a nudy, brak towarzystwa i rozrywki jest najczęściej ich udziałem.

Nic dziwnego, że praca taka nuży ludzi śmiertelnie, wyczerpuje szybko ich siły nerwowe. Zdaniem moim, na idealnego transporciarza trzeba się urodzić. Nie dosyć bowiem poznać dokładnie stosunki pograniczne w ogóle i warunki lokalne w szczegółach, nie dosyć mieć wytrzymałe nerwy i zdolność do zachowania spokoju wobec nieraz pozornego, lecz zupełnie widocznego niebezpieczeństwa, trzeba jeszcze posiadać specjalne dane, specjalne odpowiedniki w duszy, by umieć zlewać się niejako z otoczeniem, lecz zlewać się świadomie, trzymając wiecznie rękę na pulsie, słabo, co prawda, tętniącego, ale na swój sposób złożonego życia na pograniczu. Rzecz prosta, o takich ludzi nie łatwo, nie łatwo tym bardziej, że tacy szwarcownicy z urodzenia wychodzą najczęściej ze środowiska odpowiedniego, z pogranicza, a jak już nieraz wskazywałem, pogranicze z wyjątkiem kilku punktów należy do miejscowości najbardziej głuchych i zatem najmniej przystępnych dla propagandy i organizacji rewolucyjnej.

Ze wszystkich zadań, które ma na swej głowie transporciarz, najtrudniejszym do systematycznego zorganizowania jest wywiezienie bibuły, już przetransportowanej przez granicę, dalej – w głąb kraju. Gdyby chodziło jedynie o przeniesienie bibuły przez granicę i ukrycie jej na czas pewien w bezpiecznym względnie miejscu, to prawdopodobnie przyływ bibuły z krajów swobodnych do Polski byłby kilka razy większym, niż obecnie. Lecz bibułę nie po to się sprowadza, by leżała w składzie nadgranicznym. Trzeba ją stamtąd wywieźć, by doszła ona do rąk jej konsumentów.

Nie będę tu wchodził w szczegóły co do przeszkód, jakie bibuła i ludzie, ją przewożący, mają do zwalczenia na tej drodze – będzie to treścią następnego rozdziału. Zatrzymać się jednak muszę na stosunku biur transportowych ze światem partyjnym, bo te właśnie stosunki ogromnie utrudniają ich robotę. Sam transporciarz lub jego pomocnicy są przywiązani do miejsca. Będąc zmuszeni zachowywać wszelkie pozory, nie mogą oni poruszać się swobodnie i ich rzadkie wyjazdy nie są w stanie zapewnić większej produktywności granicy partyjnej. Koniecznymi więc są przyjazdy postronnych ludzi dla zabrania nagromadzonej bibuły. Rzecz prosta, że zwraca to uwagę otoczenia i nasuwać może myśl o kontrabandzie, fachowo przez przejezdnych uprawianej. Naturalnie, przy szczęśliwym zbiegu okoliczności, gdy łatwo upozorować częstsze zjawianie i znikanie obcych ludzi, granica może przetrwać długo. Najczęściej jednak tak nie bywa i granice zużywają się: zużywają się i przez wyczerpanie sił towarzyszków-transporciarzy, i przez obawę nadużycia jej.

Stąd pochodzi wieczna pogoń za granicą, wieczne wyszukiwania nowych dziur w chińskim murze, opasującym imperium cara; stąd konieczność użytkowania z granic, źle urządzonych lub działających tylko sporadycznie; stąd wreszcie często odczuwamy głód bibulasty – brak jej w tym lub owym miejscu, w tym lub owym czasie. Granica, dobrze urządzona, dokładnie funkcjonująca, jest tym ideałem, do którego się wiecznie dąży i który ustawicznie z rąk się wymyka, a staranie się o nią i jej urządzenie stanowi jedną z najważniejszych trosk partyjnych.

## TRZECIA LINIA GRANICZNA

Trzecia linia graniczna jest jedną z oryginalnych, najzupełniej swoistych rosyjskich instytucji, wprawiających każdego Europejczyka w poniżające dla Rosji zdumienie; zdumienie, jak dla pomysłowości i bezwzględności rządu rosyjskiego; tak zarówno dla uległości ludzi, pozwalających czynić nad sobą najdziwaczniejsze w świecie eksperymenty. Opisywałem w poprzednim rozdziale urządzenie i działalność straży pogranicznej na pierwszych dwóch liniach. Druga linia, linia kordonów, odgranicza neutralny, że tak nazwę, pas ziemi, stanowiący właściwe pogranicze. Już nawet ta druga linia, przesiewająca raz jeszcze to, co przesiała linia pierwsza, stanowi pewną anomalię i świadczy o nieufności rządu względem ludności pogranicznej, tak zarówno i o sprawności tej pierwszej linii. Lecz w każdym razie ta druga linia ma jakieś logiczne i zrozumiałe usprawiedliwienie.

W istocie mieszkańcy pogranicza są pod niektórymi względami uprzywilejowani w porównaniu do reszty ludności państwa. Stosunki z zagranicą mają ułatwione w ogromnym stopniu. Mieszkańcy pogranicza mają prawo na tzw. półpaski lub przepustki.

Wydawane są one na osiem dni, a nawet na szereg tygodni bezpłatnie. Służą one jako legitymacja, nie na wielką, co prawda, przestrzeń, bo zaledwie na trzy mile w głąb obcego państwa. Lecz że najczęściej ani Austriacy, ani Prusacy nie obciążają siebie zbyt dużą dla nich kontrolą pod tym względem, można uważać półpaski jako istotne paszporty zagraniczne. Oprócz tego półpaski mają tę zaletę, że szczęśliwy posiadacz takiego dokumentu może przechodzić granicę tam i z powrotem niezliczoną ilość razy w ciągu trwania przepustki bez zmiany jej za każdym przejściem granicy.

Przeciwnie, paszporty zagraniczne dalszych okolic żadnych z wyliczonych zalet nie mają. Są drogie i służyć mogą tylko na jednorazowy przejazd granicy tam i z powrotem. Mając takie przywileje, mieszkańcy pogranicza są związani z zagranicą znacznie ściślej, znacznie więcej mają z nią stosunków, niż ludzie, odsunięci geograficznie od niej. Więc wobec tego zrozumieć jeszcze można, że rząd, strzegąc tak pilnie swej granicy, mógł oddać pod specjalny niejako dozór tę właśnie uprzywilejowaną część swych poddanych, mógł skrepić takim lub innym ograniczeniem ich wolności, wzamian za przywileje, im nadane. Dla trzeciej linii żadnego usprawiedliwienia znaleźć nie można.

Na czym jednak polega ona i w jaki sposób spełnia swą rolę stróżów państwa od inwazji niepożądanych dla tych czy innych powodów produktów zagranicy?

Na trzeciej linii służbę carską pełnią, tak samo, jak na drugiej, wojskowi i cywilni zieloni. Specjalną ich funkcją jest śledzenie ruchu publiczności i towarów po drogach, kolejach i szosach w pasie ziemi, oddanym im pod dozór. Ten pas ziemi sięga głęboko wewnątrz państwa i u nas obejmuje całe prawie Królestwo Polskie i ogromną część Litwy. Wszystkie bez wyjątku stacje i przystanki kolejowe, wszystkie stacje poczty konnej na szosach w tym pasie są udekorowane zielonymi wojakami i cywilami.

Obowiązki ich są dosyć liczne i skomplikowane. Przyjeżdżający na stację są przez nich bacznie obserwowani; muszą oni intuicyjnie odgadnąć, czy w bagażu takiego pasażera nie ma czasem czegoś zakazanego, jakiejś kontrabandy. Naturalnie, na stacjach, bliższych do granicy państwowej, baczność ta jest zdwojona. Więcej nawet, bo posterunki te stanowią w tych punktach zazwyczaj nowy kordon, przetrząsający bez ceremonii bagaże

tychże pasażerów bez względu na to, czy jadą od samej granicy, czy też z najbliższych do tej stacji lub przystanku okolic. Im dalej jest stacja od granicy, tym dozór ten jest słabszy, tym więcej się robi wyjątków wśród przejezdnych. Chociaż nawet o sto i więcej kilometrów od granicy, nigdy nie można być pewnym, czy „zielonemu” twarz lub pakunek pasażera nie wyda się podejrzanym i czy nie poprosi on lub brutalnie nie każe otworzyć pakunku dla rewizji.

I nie trzeba sądzić, że tylko linie kolejowe, biegnące wprost od granicy, są poddane takiemu dozorowi. Oto np. linia nadwiślańska, łącząca Wołyń i Ukrainę z Warszawą, nigdzie w swym biegu nie dotyka granicy, a jednak cała oddana jest pod opiekę zielonych. Oto linia, łącząca Warszawę z Wilnem, która najbliżej podchodzi do granicy pod Białymstokiem, gdzie granica jest oddalona 90 kilka kilometrów, cała jest udekorowana w zielony, celny kolor. Linie, idące wprost od granicy, są tylko pilniej strzeżone, lepiej obsadzone.

Drugim obowiązkiem zielonych jest włączenie się po wagonach pociągów w biegu i wybieranie ofiary dla przejrzenia u niej rzeczy. Zresztą, należy być sprawiedliwym: ten proceder praktykowanym jest jedynie w najbliższych granicy okolicach i w pociągach, idących wyraźnie od granicy. Taki zielony żołdak wchodzi do wagonu trzeciej klasy, rzuca okiem na każdego pasażera, na rzeczy, ustawione na półkach, zagląda pod ławki, szpera po kątach i od czasu do czasu pyta:

– Czyje to rzeczy ?

– Moje – odzywa się ktoś z pasażerów.

– Proszę otworzyć – brzmi dalszy rozkaz – i brutalna łapa żołdaka przerzuca po chwili zapakowane w walizce lub koszyku rzeczy.

W wagonach drugiej i pierwszej klasy robi to nieraz oficer straży pogranicznej albo wezwany przez zielonego żołnierza żandarm kolejowy.

Lecz najbardziej rażącym, najbardziej brutalnym jest ten dozór na stacjach kolejowych, w większych miastach – Częstochowie, Piotrkowie, Warszawie, Białymstoku, Grodnie, Wilnie i Kownie. Tutaj, oprócz zwyczajnych stupajek, zielonych żołnierzy, stoją i dozorują specjaliści dozorców celni. Tutaj przy ogromnym ruchu pasażerskim niepodobna rewidować wszystkich, niepodobna robić wyjątków, zrozumiałych dla otoczenia całego. I te nagłe napaści na wybraną z mnóstwa przechodzących ofiarę, to szybkie przerzucanie wobec całej publiczności rzeczy podróznego, to czyhanie z kątów i skośne spojrzenia, rzucone na pakunki i podrózników, sprawiają dziwnie dzikie wrażenie, rumieńcem wstydu oblewają twarze rewidowanych, wywołują zdziwienie u wszystkich, nieprzygotowanych do tej napaści.

I wszystko to się robi na chybił trafił, bez żadnego pytania, czy kto jedzie od granicy, czy też z okolic, o setki mil nieraz od granic państwowych położonych. Wszystko to się dzieje o kilkanaście mil od granicy, gdzie olbrzymia większość ludzi, stosunków i interesów nic wspólnego z granicą nie ma. Więcej nawet, wszystko to się dzieje nie na podstawie jakiegoś ogólnie znanego prawa, lecz na mocy zwyczajnego rozkazu gabinetowego ministra. I jeszcze bardziej, bo wbrew prawu, które o takich rewizjach mówi, że muszą one być usprawiedliwione jakimś rzeczowym podejrzeniem co do wyraźnej osoby.

Tym czasem tutaj to podejrzenie powstaje w danej chwili w głowie głupiego żołdaka, podejrzenie względem osoby, o której on nic nie wie, nigdy przed tym jej nie widział i o niej nie słyszał.

W tych warunkach można sobie wyobrazić podróż jakiegoś „pechowca” z Zagłębia Dąbrowskiego do Warszawy w sposób następujący.



Wyjeżdża on z Dąbrowy, miasteczka o osiem kilometrów od granicy. Przychodzi na stację i, już wiedząc zawczasu, że tu jest kordon celny, tak, jak gdyby przekraczał on granicę państwa, otwiera walizę, w której mu dobrotliwie, lecz pospiesznie, rozrzuca rzeczy ręką zielonego żołdaka. No, nareszcie pociąg jest, formalność celna odbyta, jazda!

Pociąg ruszył, nasz „pechowiec” zadrzemał błogo, lecz ma pecha, twarz jego nie spodobała się kontrolującemu pociąg zielonemu.

– *Czji wieszczy?*<sup>1</sup> – rozlega się brutalny okrzyk nad jego uchem.

– Gdzie? co? – zrywa się biedny pasażer. – Aha, moje, przecie nie ukradłem, a co?

– *Otworitie!*<sup>2</sup> – rozkazuje lakonicznie zielony.

Nie ma rady. Postawa i mina zielonego nie wróży nic dobrego, lecz pasażer nic w rzeczach nie ma, więc myśli – et, co tam szkodzi otworzyć, trochę fatygi, a lepiej z tymi draniami nie zadzierać, jeszcze do kozy wpakują.

Znowu rzeczy, ledwie ułożone po dąbrowskiej rewizji, są rozrzucone w walizce.

Lecz nasz pasażer ma po drodze zatrzymać się dla interesów w Częstochowie i Piotrkowie.

– Częstochowa! dziesięć minut, bufet! – krzyczy konduktor pod oknem.

Nasz pasażer wysiada. Czasu ma mało, bo wieczór się zbliża, biegnie z walizką w rękę.

– *Ej, gaspadin, stojcie, wieszczy!*<sup>3</sup> – słyszy krzyk za sobą.

Lecz rzeczy ma w ręku, więc nie sądzi, by się to jego tyczyło. Idzie szybko dalej. Podejrzenie zielonego, naturalnie, wzrasta. Już przy wyjściu z dworca łapie on brutalnie pasażera za ramię.

– *Stoj! Czort!* – łaje – *otworitie! Nieboś, kontrabanda jest!*<sup>4</sup> – mówi zielony, robiąc złośliwą minę.

Pasażer próbuje się bronić, ale groźna i stanowcza mina zielonego odbiera mu odwagę. Walizka otwarta, rzeczy przerzucone raz jeszcze.

Wyjeżdża z Częstochowy. Inny zielony stoi mu na drodze.

– *Halt!* Znowu *wieszczy*.

To samo akurat spotyka go w Piotrkowie przy wjeździe i wyjeździe.

Nareszcie – Warszawa. Lecz i tu z kąta wysuwa się figura i bardzo grzecznie, jak na stolicę przystało, prosi zrozpaczonego „pechowca” o łaskawe pozwolenie na zajrzenie z obowiązku służby do rzeczy.

Piękna podróż! Nieprawdaż? Piękna i zupełnie możliwa do sprawdzenia i wypróbowania na własnej skórze.

To przeglądanie i rozrzucanie rzeczy wyjeżdżających i przyjeżdżających podróźnych nie daje się porównywać z mytem, pobieranym w wielu miastach – pomiędzy innymi i w Galicji. Tutaj celnicy miejscy pobierają opłatę od produktów spożywczych, które zresztą każdy ma prawo przywieźć z sobą. Określonym jest i produkt, obłożony mytem, i rozmiar opłaty. Każdy o tym wie, bo prawo jest wyraźne, więc, pomimo uciążliwości takich celnych granic wewnątrz państwa, nie ma w nich nic przypadkowego, nic samowolnego i nic hańbiącego. Zieloni rosyjscy o setkę i więcej kilometrów od granicy podejrzewają człowieka o zbrodnię kontrabandy i na podstawie podejrzenia o postępek, karany więzieniem, napastują mnóstwo ludzi, nie mogących mieć nic wspólnego z kontrabandą, chociażby dlatego, że są oddzieleni od granicy państwowej ogromną przestrzenią. Jest to to samo,

---

<sup>1</sup> Czyje rzeczy?

<sup>2</sup> Otwórzcie.

<sup>3</sup> Hej, panie, zatrzymaj się, rzeczy!

<sup>4</sup> Stój! Diable!... otwórzcie! Pewnie kontrabanda jest.

gdyby np. w Galicji, w Nowym Sączu, Jaśle, Lwowie, Stryju i Stanisławowie, nie mówiąc już o pogranicznym Krakowie, zaczęto przetrząsać na chybił trafił przez dziesiątego rzeczy podróżnym w celu wynalezienia pruskiego cygara lub herbaty rosyjskiej, z groźbą osadzenia w więzieniu tego, u kogo ten zagraniczny produkt się znajdzie.

I czy sądzicie może, szanowni czytelnicy, że tak delikatny interes jest poruczony specjalistom wykwalifikowanym? Nie! w ogromnej większości takim psychologiem, mającym z pomiędzy setek ludzi, wysiadających z wagonu, wyczuć tych dwóch lub jednego, który przybywa z nadgranicznej miejscowości, jest najzwyczajniejszy chłop rosyjski, żołnierz, przywieziony z głębi Rosji, który w życiu swoim nigdy nie widział pruskiego cygara, lub sukna, czy płótna, który najczęściej czytać w swoim ojczystym języku nie umie, a którego tym bardziej posądzać nie można o trafność obserwacji tłumu, złożonego z zupełnie nieznanymi i obcych mu ludzi.

Rozmawiałem raz pewnego z takim żołnierzem. Jechałem z Wilna do Warszawy i wypadkowo naprzeciw mnie usiadł młody żołnierz. Jego szeroka, z wydatnymi kośćmi policzkowymi twarz, jego małe, nieco skośne oczy, jego niekulturalne, z grubą wyciosane rysy twarzy zdradzały wyraźnie jego pochodzenie. Był to chłop, wyrwany nie więcej, jak rok temu, z dalekiej, głębokiej Rosji, z okolic, gdzie sąsiedztwo Baszkirów, Kałmuków lub innych mało kulturalnych ludów wycisnęło swe piętno nie tylko na twarzy mego towarzysza podróży, lecz i na zdolnościach do zrozumienia złożonego, pstrego pod względem narodowościowym środowiska, w którym się znalazł. Żołnierz nucił pod nosem jakąś wielkorosyjską piosnkę.

Zagadnąłem go pytaniem, skąd pochodzi, z jakiej gubernii.

– *Ufimskoj, barin*<sup>1</sup> – odpowiedział ze szczerym, szerokim uśmiechem.

Zacząłem go szczegółowo rozpytywać o rodzinę jego, stan materialny, urodzaje itp. rzeczy. Żołnierz coraz bardziej się rozczulał wspomnieniami o dalekiej zauralskiej wiosce. Wreszcie zapytałem go o służbę. Okazało się, że mój zielony wojak skończył swe godziny służbowe na stacji wileńskiej i jedzie na odpoczynek zasłużony do koszar, zbudowanych przy następnej stacji.

– Cóż ty robisz na stacji wileńskiej? – pytałem. – Pilnujesz czego, czy pracujesz tam?

– Jaka tam praca! – odparł pogardliwie żołnierz. Stoję, jak głupi, nuda śmiertelna, oczy wybałuszysz na tłum, że spać się chce.

– A po cóż ciebie tam stawia? przecie nie po to, byś na ludzi patrzył.

Żołnierz śmiał się i robił do mnie filuterne oczy.

– Nie, nie patrzeć! Kontrabandę łowim, ot co. Kontrabandę, panie. My – straż pograniczna.

– Jaką kontrabandę? Skąd się ona tu weźmie, kiedy granica daleko?

– Widocznie jest – odparł z filozoficznym spokojem żołnierz – jest, kiedy nas „naczalstwo”<sup>2</sup> stawi, żeby ją łapać.

– Jakżeż ty, chłopcze, poznasz, kto tę kontrabandę wiezie, czy wam może dają znać o tym, że kontrabanda idzie?

– Nie, my nic nie wiemy! Ot, stoisz, stoisz i z nudów do kogokolwiek przystąpisz – pokaż pan rzeczy. Do pana jakiego, naturalnie, wstyd i podejść, ale do Żyda, czy tam naszego brata, chłopca, to czemu nie. Ale „naczalstwo” tego mało. Oj! źle bywa, gdy nasz komendant na stację przyjdzie. Stanie sobie w kącie, a oczami tak świdruje, ciągle mruga do nas, by do kogo się zbliżyć, a zawsze czort wybierze jakiego pana, do którego nam, chłopcom, straszno i zagadać. Po co to, nie wiem. Pewnie potrzeba, kiedy „naczalstwo” tak

---

<sup>1</sup> Ufańskiej, panie.

<sup>2</sup> Władza.

każe – uspakajał się po chwilowym gniewie na narażającego go widocznie na przykrość komendanta.

– A czy ty wiesz, co to jest kontrabanda? – pytałem.

– Co z zagranicy bez prawa wiozą, wiem! – odpowiedział z dumą żołnierz.

– A jak ty odróżniasz rzeczy zagraniczne od krajowych? – pytałem dalej.

– No! Jak bez plomby co jest, albo napis nierosyjski, albo dużo książek – płatał zakłopotany żołnierz, najwidoczniej w świecie nie zdający sobie sprawy z tak mądrych rzeczy.

– A czytać przynajmniej umiesz? – pytałem, rozśmieszony naiwnością syna pól i stepów zauralskich.

– Nie bardzo! Uczą nas, ale to trudna sprawa. U nas we wsi w naszej gubernii szkół mało. Od naszej wsi szkoła o dziesięć wiorst (wiorsta trochę więcej niż kilometr).

– Więc jakże? – pytałem. – Otworzę ci walizkę, spojrzysz i co?

– Jak co nowego i bez plomby, albo butelka bez napisu, książki, tak ja do „naczalstwa”. Książki – tak żandarm, na to on uczony! Inne rzeczy – tak nasze „naczalstwo”. To już ich sprawa. Mnie co! Kazano, ja patrzę – mówił, spostrzegając mój uśmiech.

– I złapałeś co kiedykolwiek? – pytałem niezrażony.

– Nie! rok już minął, jak służę, nic mi się nie trafiło. Ot tak, to się zarobić zdarza.

– Jak to, tak?

– A ot i dzisiaj. Stoję i patrzę – po pociągu zagranicznym, Żyd wlecze jakiś worek. Ciężki, bo aż się pochylał na bok. No, ja do niego: co tam masz, rozwiąż! Rozwiązuje. Szukam, jakaś butelka. Co to jest? – pytam. On ni to, ni sio. Ocet – mówi. Ja na niego. Ocet! ot „naczalstwo” zobaczy, jaki to ocet! Dał dwadzieścia kopiejek, puściłem go, blisko nikogo z „naczalstwa” nie było.

– Może i ocet był – dodał po chwili namysłu, – kto go wie. Napisu nie było.

Oto, z jakich ludzi składa się przeważnie instytucja rządowa, z istic moskiewską bezwzględnością gospodarującą na naszych kolejach i drogach.

Dozorcy celni, o których mówiłem, stojący na dworcach kolejowych w znaczniejszych miastach Polski i Litwy, są, naturalnie, nieco bardziej wykształceni i nie tak naiwni, jak mój zielony towarzysz podróży. Przeważnie są oni dobrani z szeregów teźże straży pogranicznej, z liczby podoficerów wysłużonych i bardziej sprytnych. Ci bez wątpienia są bardziej niebezpieczni i zarazem bardziej wykwalifikowani, jako detektywi kontrabandy. Chociaż i oni z istoty swej dzikiej służby kierować się muszą nie jakimś rzeczowym podejrzeniem, lecz zewnętrznymi, zawsze zwodniczymi cechami twarzy, ruchów i pakunków u przejezdnych. To teź rzec można z zupełną pewnością, że na sto, a może i więcej zaczepek z ich strony zaledwie jedna okaże się skuteczną – taka lub inna kontrabanda będzie złapana. Ja przynajmniej z obserwacji własnej i innych tak wnoszę. Widziałem mnóstwo wypadków i przechodziłem sam parę razy przez łapy szanownych dozorców, lecz nigdy nie spostrzegłem, by ta brutalna i niczym, oprócz dzikiej samowoli, nieusprawiedliwiona napaść doprowadziła do przyłapania czegoś zakazanego. Słyszałem jednak o wypadkach, gdy w ten sposób właśnie łapano i kontrabandę zwyczajną i bibułę.

Z powodu tej trzeciej linii miałem niegdyś rozmowę z niemieckim kupcem, rozmowę, która mi utkwiła w pamięci.

Jechałem ze Żmudzi przez Kowno do Wilna. W Kownie wsiadłem do nocnego pociągu pośpiesznego, nie mającego trzeciej klasy, a więc pociągu możnych i bogatych. Pasażerów było niewielu, los, jako sąsiada, dał mi niemieckiego kupca z Królewca, który po raz pierwszy przekroczył granicę posiadłości wschodniego despoty-cara. Ćmiąc ustawicznie cygareto, opowiadał mi o grzeczności komorowych urzędników rosyjskich, którzy przed

paru godzinami przeglądali mu rzeczy na pogranicznej stacji – Wierzbołowo. Rozpytywał mnie o Wilno, do któregośmy się zbliżali i do którego po drodze do Rygi miał wstąpić.

Nareszcie stanęliśmy w Wilnie coś koło 5 godziny rano, gdy zaledwie poczynało szarzyć na niebie. Oprócz nas – mnie i kupca z Królewca – wyszło z pociągu jeszcze dwóch pasażerów, za którymi, jak i za nami, tragarze nieśli nasze ręczne bagaże. Mego Niemca nie opuszczały wesołość i zachwyty nad porządkami w państwie cara. Przypuszczam, że wyjeżdżał do Rosji ze zwykłym u Europejczyków przekonaniem o barbarzyństwach moskiewskich. Był nieco w strachu, gdy się zetknął z tą carską Rosją, i nie mógł dotąd prze-trawić przyjemnej niespodzianki, jaką mu przez swą grzeczność sprawili urzędnicy w Wierzbołowie. Nastąpiła jednak inna niespodzianka, mniej przyjemna, co prawda, lecz bardziej zgodna z istotą rządów carskich.

Zaledwieśmy, gawędząc, otworzyli drzwi stacyjne i weszli do korytarza, prowadzącego do restauracji kolejowej, gdy zagroziła nam drogę banda zielonych. Było ich sześciu tęgich drabów - dozorców celnych. Rozdrażnieni widocznie nocnym czuwaniem i chłodem porannym, rzucili się, jak głodne wilki, na nasze rzeczy.

– *Otworit'! Otworit'!*<sup>1</sup> – brzmiały pośpiesznie rzucane rozkazy, a jeden z dozorców brutalnie schwytał niewielki neseserek podróżny, który był w ręku mego Niemca.

Napaść była tak gwałtowna, ruchy dozorców tak drapieżne, a oczy tak wymowne, że mój Niemiec wypuścił z ust cygaro i bezradny, ogłupiały kręcił się na miejscu.

– *Was ist das? Was wünschen Sie?*<sup>2</sup> – pytał raz po raz, zwracając się to do mnie, to do zielonych.

Tłumaczyłem nieszczęsnemu kupczykowi, że ci panowie poszukują u niego szwarcowanych rzeczy, a jeden z dozorców, widocznie nieco umięjący po niemiecku, potakiwał mi.

– *Ja, ja! kontrabandu iszczem*<sup>3</sup> – powtarzał na pół po niemiecku, na pół po rosyjsku.

Przetrząsnęto rzeczy wszystkich przyjezdnych, nic nie znaleziono i nareszcie wyszliśmy z rąk oprawców.

Mój Niemiec po tej operacji był zgnębiony i przybity. Pił zamyślony piwo w restauracji i widocznie nie mógł spokojnie myśleć o tym, że jego, poważnego kupca z Królewca, można było posądzać o tak zdrożne rzeczy, jak szwarcowanie towarów.

Zniżonym głosem – bo stracił swą pewność siebie – zaczął się tłumaczyć przede mną, pytając o wyjaśnienia. Przecie przyjechał z zagranicy, rzeczy oglądano mu na komorze, dano mu nawet jakiś znaczek, czemu więc go tu napastują? Może była jaka kradzież znaczna w pociągu – ale i w tym wypadku bez poważnych podejrzeń nie można przecie narażać człowieka spokojnego na przykrość i rewidować go, jak złodzieja.

Wyjaśniłem mu raz jeszcze cel rewizji i powiedziałem, że tak się u nas zawsze dzieje, że nie jest to ani specjalnie dla nas zrobiona niespodzianka, ani nawet specjalne względem nas podejrzenie.

Niemiec nie przestawał się dziwić, milczał, widocznie żuł myśl jakąś. Wreszcie z pewnym tryumfem uderzył mnie po kolanie.

– Tak! U nas by tego ludzie nie ścierpieli! Nie, u nas to byłoby niepodobieństwem!

Czułem, że się rumienię ze wstydu. Niemiec miał rację - jedynie niewola, jedynie codzienne przyzwyczajanie do znoszenia wszelkich kaprysów władzy może utrzymywać przy życiu takie wybryki i pomysły carskich urzędników, jak trzecia linia pograniczna.

---

<sup>1</sup> Otworzyć, otworzyć.

<sup>2</sup> Co jest? Czego chcecie?

<sup>3</sup> Kontrabandy szukamy.

Przypatrywałem się potem nieraz działalności trzeciej linii pogranicznej w różnych miejscach i na różnych pograniczach państwa cara. Nie istnieje ona wcale koło Petersburga, istnieje, ale działa bardzo słabo, jakby od niechcienia, na morskiej granicy, gdzie mieszkają Niemcy i Łotysze, również nieznaczna jest jej działalność na pograniczu podolskim i wołyńskim, gdzie rząd i Rosjanie czują się prawie zupełnie u siebie, w domu. Lecz w Polsce i na Litwie trzecia linia szaleje. Tu, w tym domu niewoli par excellence, nigdy rząd i jego poszczególny agent nie liczy się ani z wygodą, ani z potrzebą mieszkańców. Żle to zarazem świadczy o odporności naszego społeczeństwa.

Jestem przekonany, że gdyby każde wkroczenie zielonego, wkroczenie, które, jak mówiłem, jest bezprawne nawet wobec praw rosyjskich, spotykało się z protestem, nawet zupełnie legalnym, z żądaniem protokołu oględzin rzeczy, ze skargą sądową w razie niezalezienia w rzeczach poszukiwanej kontrabandy – gdyby, jednym słowem, nasza publiczność była nieco odważniejszą, nieco więcej dbałą o swą godność, trzecia linia pograniczna istniećby długo nie mogła. Lecz tak nie jest. Każdy zaczepiony śpieszy otworzyć swe bagaże, boi się narazić na gniew najmarniejszego stupajki. Nie należy więc się dziwić, że wobec tego to barbarzyństwo istnieje.

Rzecz prosta, że trzecia linia pograniczna działa w kierunku najmniejszego oporu. Oszczędza dobrze ubraną publiczność, zaczepia średniaków, napastuje chłopów i biednych, a rzuca się, jak głodne zwierzę, na Żydów. Ci są główną jej ofiarą, głównym obiektem prześladowań.

Towarzysze nasi, chcąc się zorientować w sytuacji, badali nieraz kwestię: jakie właściwie cechy człowieka lub pakunku ściągają na się uwagę dozorców. Naturalnie więc przede wszystkim wynikające z powyższego. Lecz poza tym trudno coś określonego powiedzieć. Zdaje się jednak, że ciężkie pakunki i rzeczy, zawinięte w papier, szczególnie irytują zielonych. Lecz poza tym zwracają oni uwagę na wyraz twarzy, na poruszenia człowieka, gdyż te ostatnie mogą zdradzić przenoszących taką lub inną kontrabandę na sobie pod odzieniem. W ogóle zaś napaściami zielonych rządzi taka przypadkowość, że niepodobna je przewidzieć i jedynym bodaj ogólnym prawem, mało zresztą mówiącym, jest: chcąc uniknąć zaczepki zielonych, trzeba się starać o możliwe niewyróżnianie się z otoczenia.

Zatrzymałem się tak długo na opisie trzeciej linii, bo stanowi ona przeszkodę dla bibuły, nie tylko dla przychodzącej z nad granicy, lecz i dla wędrującej z miejsca na miejsce, dla cyrkulacji jej w kraju. Bo wobec tego, że dozór zielonych obejmuje kraj cały, cały prawie teren działalności polskich rewolucjonistów, bibuła wszędzie, bez względu na to, czy idzie z granicy, czy też nawet odwrotnie, spotkać się może z napaścią i zaczepką zielonych. Dosyć sobie przedstawić, że na każdej stacji kolejowej w Polsce i Litwie każdy pakunek może być obejrzanym przez dozorcę celnego, a zrozumiałem się stanie, jakie stałe niebezpieczeństwo wisi nad głową towarzyszków, rozwożących bibułę, jak w każdym miejscu można się wsypać, tj. być aresztowanym. A zważywszy wszystko, com powiedział wyżej o działalności trzeciej linii, łatwo pojąć, że często prosty wypadek, zupełnie niemożliwa do przewidzenia okoliczność ściągnąć może uwagę i napaść zielonego.

Widzimy więc, że bibuła po przejściu przez pierwsze dwie sieci pograniczne nie jest jeszcze bezpieczną. Musi się prześlizgnąć przez trzecią. Zwykle nie używa się żadnych nadzwyczajnych środków dla uniknięcia niebezpieczeństwa. Bibułę pakuje się do walizki lub kosza, naturalnie, tak, by pakunek nie był zbyt ciężkim, a przy spotkaniach z zielonymi przechodzi się koło nich spokojnym krokiem, z podniesioną głową. Najczęściej to wystarcza. Zdarzały się jednak wypadki przeciwne.

Jeden ze znajomych towarzyszków opowiadał mi, jak go zatrzymano w N. N. na dworcu kolejowym, gdy przywiózł tam dwie ciężkie walizy bibuły.

– Wsiadłem już do dorożki — mówił mi, – gdy nagle podszedł do mnie dozorca celny i grzecznie poprosił mnie o otwarcie walizek, musi bowiem obejrzeć moje rzeczy. Zapytałem go, z jakiej racji to robi. Mówiłem dość grzecznie, lecz nieco wyniosłym tonem i po rosyjsku. Zielony, który był w cywilnym ubraniu, oświadczył mi, że jest dozorcą celnym i ma podejrzenie, że w mych walizkach ukryta jest kontrabanda.

Oburzyłem się na to ogromnie i krzyknąłem nań z góry, że to jest obraza, że nie ma on prawa mnie napastować, że oskarżę go przed jego władzą.

Zielony nie odczepiał się i coraz natarczywiej domagał się otwarcia walizek. Spostrzegłem, że żandarm kolejowy, który usłyszał widocznie hałas, zbliżał się do nas.

– Jestem urzędnikiem – zawołałem na zielonego, – i ty durniu, nie masz prawa mnie rewidować. Siadaj zaraz ze mną i jedź do urzędu celnego.

Dozorca posłusznie siadł obok mnie i ruszyliśmy w kierunku komory.

W drodze zacząłem straszyć dozorcę, że tej sprawy nie puszcze płazem. Przy rewizji nic się u mnie nie okaże i będę go skarżył. Wypadkowo przypomniałem sobie jedno nazwisko wyższego urzędnika celnego w Warszawie i wskazałem dozorcę na niego, jako swego znajomego. Dozorca, usłyszawszy z ust moich nazwisko swego naczelnika, struchlał i zaczął mnie przeproszać.

Udawałem jednak zagniewanego i dalej wymagałem, by jechał ze mną do komory. Dozorca coraz bardziej tracił rezon, coraz bardziej zdradzał chęć wycofania się z interesu. Przeproszał mnie coraz goręcej i skarżył się na ciężki obowiązek zaczepiania publiczności.

Wreszcie zapytałem go, czy jest żonaty. Okazało się, że ma żonę i dzieci. Ma się rozumieć, że skorzystałem z tej szczęśliwej okoliczności, by okazać wystraszonemu dozorcę swą wspaniałomyślność.

– No! – rzekłem, – niech tak będzie, nie chcę gubić twej rodziny. Ruszaj sobie!

Dozorca nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać. Zatrzymał dorożkę, wyskoczył z niej i pożegnał mnie wojskowym ukłonem.

Odetchnąłem lżej. Widocznie dorożkarz moje westchnienie usłyszał. Odwrócił się do mnie z uśmiechem.

– Ależ udało się panu – rzekł do mnie, – przeląkł się, głupi!

Innym razem, jak mi opowiadano, wpadł w ręce zielonego opryszka Żyd, robotnik, którego nieopatrznie, wobec specjalnych względów zielonych dla Żydów, wysłano z bibułą do sąsiedniego miasta. Nasz towarzysz bibułę zapakował do starej walizki bez zamka i obwiązał ją sznurami w bardzo gruntownie zaplątany sposób. To właśnie zbawiło go.

Przy wyjściu z wagonu na dworcu miejskim zatrzymał go zielony i kazał otworzyć walizkę. Towarzysz powoli zaczął rozplątywać węzły i węzélki na sznurach. Zielony – widocznie był to zwyczajny stupajka, typu, opisanego przeze mnie wyżej – znudzony tym długim rozwiązywaniem, obejrzał naszego towarzysza i widocznie z ubrania osądził, że nawet dwudziestu kopiejek zeń nie wydusi.

– *Nu, czort s tobój!* – zawołał, – *idi, żydok! Stupaj!*<sup>1</sup>

Niekiedy jednak oczka sieci pogranicznych z powodów rozmaitych zaciskają się gwałtownie. Zieloni stają się nerwowi, baczność się zwiększa. Wówczas uciekać się trzeba do najuciążliwszego i najbardziej kosztownego sposobu – do przewożenia bibuły na ludziach. Są najrozmaitsze sposoby opakowywania człowieka i technika transportowa wynalazła wiele środków do zwiększenia zdolności transportowej żywej tary dla bibuły. Naj-

---

<sup>1</sup> No, niech cię diabli wezmą, idź, Żydku, idź!

dealniejszą pod tym względem jest silna, dobrze zbudowana kobieta. Wyzyskawszy wszystkie skrytki damskiej garderoby, obłożywszy siebie najstaranniej bibułą, kobieta, gdy ma do tego odpowiednią siłę fizyczną, może unieść na sobie, bez zwracania na się uwagi, trudną do uwierzenia ilość bibuły. Opowiadano mi pod tym względem o fakcie następującym.

Partia musiała likwidować jedną ze swych granic, była bowiem obawa, że nastąpić może wsypa z powodu naprężonych w tym miejscu stosunków granicznych oraz wypadkowego podejrzenia, jakiemu uległ w oczach zielonych towarzyszy, prowadzący granicę.

Niebezpieczeństwo wydało się tak groźnym, że z likwidacją śpieszono. A na składzie nad granicą leżało moc bibuły, której główną częścią było kilka setek książki Bebla „Kobieta”<sup>1</sup>. Książka ta gruba, ważąca prawie funt i jako taka należy do najtrudniejszych dla techniki transportowej. Wobec wzmocnionego dozoru nie można było wywieźć bibuły walizkami, zwyczajną drogą. A że granicę likwidowano i już nie bardzo się liczone z wymaganiem konspiracji granicznej, by zbyt często nie zjawiać się na pograniczu, postanowiono raz po razie wysyłać towarzyszeki dla zabrania bibuły na sobie.

W tych wyprawach brało udział pięć towarzyszek, pomiędzy którymi wobec pośpiechu, jakiego wymagała sprawa, rozwinęło się współzawodnictwo. Kto więcej przyniesie? – oto było pytanie. Swego rodzaju rekord w tym oryginalnym sporcie rewolucyjnym został ustanowiony przez pewną towarzyszkę<sup>2</sup>, która na sobie przywiozła siedemdziesiąt pięć egzemplarzy „Kobiety”.

Siedemdziesiąt pięć! wynosi to na wagę prawie 2 pudy papieru, ułożonego w dodatku pod ubraniem, więc w sposób ogromnie krępujący i męczący. Nigdy nie miałem na sobie tyle bibuły; zdarzyło mi się jednak parę razy nieść jakieś marne 15–20 funtów i muszę wyznać, że mię to wcale nie zachwyciło. Bibuła zewsząd mnie dusiła, gnioła, łaskotała; czułem, że muszę przybierać niezupełnie naturalne pozy, które mię męczyły ogromnie. A przecie od moich 20 funtów daleko do dwóch pudów – stanowi to cztery razy większą wagę i objętość.

Mąż owej dzielnej towarzyszki, który razem z nią odbył tę wyprawę, opowiadał mi, że będąc tak opakowaną, żona jego przejeżdż musiała pieszo trochę więcej, niż kilometr, przetrząść się w wagonie kilka godzin i wreszcie jechać dorożką nie mniej, niż pół godziny.

– Gdyśmy wsiedli już do wagonu – mówił on, – zająłem czym prędzej dwie króciutkie ławki, aby nikt nie siedział obok nas. Bałem się, by wypadkowe dotknięcie nie zdradziło bibuły, będącej pod ubraniem. Pociąg był nocny i gdy ruszył, moja żona, zmęczona podróżą, wrażeniami i spacerem kilometrowym z takim ciężarem na sobie, zadrzemała. Nagle usłyszałem cichy jej jęk.

– Co ci jest, – spytałem, nachylając się nad nią. – Boli cię co ?

Odpowiedzi nie otrzymałem. Żona spała, oparta głową o ścianę wagonu, i od czasu do czasu jęczała z cicha. Byłem przekonany, że to skutek zmęczenia lub niewygodnego siedzenia przy takim niesłychanym wypchaniu siebie książkami. Zadrzemałem wreszcie i sam.

Przed samym celem podróży, gdy pociąg już zwalniał biegu, obudziła mnie żona – była blada i łzy się jej kręciły w oczach. Widocznie coś jej mocno dolegało.

– Złamał mi się gorset – mówiła, zaciskając zęby od bólu, – brykłe wjadają mi się w ciało. Wiesz, może nie potrafię przejść przez dworzec.

---

<sup>1</sup> Popularne dzieło Augusta Bebla „Kobieta i socjalizm” – jedno z najobszerniejszych wydawnictw agitacyjnych, rozpowszechnianych przez P. P. S. (przeszło 300 str. dużej 8-ki).

<sup>2</sup> Żona Józefa Piłsudskiego, Maria z Koplewskich.

Lecz obawy były płonne. Opierając się o moje ramię i sycząc nieledwie z bólu, żona moja doszła do dorożki. Gdyśmy nareszcie znaleźli się w domu i żona się rozebrała, okazało się, że ma pokrwawione i poszarpane bryklami boki. Ze dwa tygodnie po tej wyprawie żona moja gorsetu nie mogła włożyć.

Jakim jest rekord męski pod tym względem, nie wiem dokładnie. Słyszałem jednak o charakterystycznej przeróbce znanej pieśni filareckiej, którą ułożono w kółku towarzyszków, uprawiających con amore walkę z caratem na polach nadgranicznych. Przytaczam ją tu:

Gdy pakowność cnota znana,  
Pakowniejszy kto nad Jana ?  
Więc, panowie, jego zdrowie:  
Wiwat tęgi Jan!

Naturalnie, jak to już powiedziałem, przemienianie towarzyszków i towarzyszek w walizki czy kosze nie może być stałym zjawiskiem. Pociągałoby to za sobą zbyt dużo kosztów, pochłaniałoby zbyt dużo sił, zużywałoby ludzi zbyt prędko. Od czasu do czasu jest ono jednak konieczne. A wobec tego z prawdziwym uznaniem podnieść należy zasługi dzielnych towarzyszek, które dla walki z caratem ofiarowują swe wątle nieraz siły fizyczne dla pełnienia uciążliwej funkcji, zwanej żartobliwie w żargonie rewolucyjnym dromaderowaniem.

Wspomniałem poprzednio, że rząd do niedawna nie przedsięwierał żadnych specjalnych środków dla walki z wzrastającym z rokiem każdym dopływem bibuły. Walka z kontrabandą polityczną była tylko częścią walki z kontrabandą ogólną, ze szwarcowaniem koronek, zegarków, spirytusu, herbaty itd. Jak mnie zapewniano z kompetentnych źródeł, rząd w wielkim stopniu dopiął swego: szwarcowanie towarów zwykłych, nie politycznych, jakoby znacznie się zmniejszyło.

Jeśli tak jest w istocie, to zostało to osiągnięciem przez stałe pogarszanie warunków życia ogromnej ilości ludzi, nic wspólnego z kontrabandą nie mających. Z każdym rokiem sypią się nowe ograniczenia, coraz bardziej krepujące ludność, z każdym rokiem stosunki pod tym względem się pogarszają i wyznać należy, coraz jest trudniej urządzić porządnie działające biuro transportowe na granicy.

Dozór na samej granicy jest zwiększany z rokiem każdym. Stałym jest również zjawiskiem ograniczanie liczby osób, mających prawo do półpasków, przepustek. Nareszcie trzecia linia graniczna jest instytucją względnie nową, stale w dodatku wzmacnianą, jest siecią, której oczka coraz bardziej maleją. Znający stosunki zapewniali mi, że w ciągu ostatnich lat dziesięciu warunki transportowe tak się pogorszyły, że niepodobna porównywać obecnych z dawnymi: co było łatwym wczoraj, staje się trudnym dzisiaj.

Jedynym, lecz za to poważnym ułatwieniem jest wzmożenie się ruchu rewolucyjnego, przeniknięcie ducha rewolucji, ducha opozycji, do szerokich mas ludowych. Tego wpływu, rozkładowego dla potęgi rządowej, nie uniknęła i ludność pograniczna. Jeśli więc trudności techniczne przy transportach wzmagają się, to natomiast ułatwionym jest wynajdywanie ludzi, chętnych do tego rodzaju pracy.

Niedawno pisma doniosły, że w Petersburgu obradowała komisja w celu znalezienia środków dla zmniejszenia dopływu bibuły do Rosji. Co tam uradzono przy udziale – jak pisano – żandarmów z Królestwa, nie wiem. Jedyne, co doszło do mnie, to wyasygnowanie środków dla żandarmerii w celu utrzymywania agentów-szpiegów wśród ludności nadgranicznej. Bez wątplenia, szpicle nad granicami mogą utrudnić znacznie robotę, osobliwie,



gdy będą sprytnie dobrani z pomiędzy ludności rzeczywiście miejscowej. Lecz niebezpieczeństwo to nie wydaje mi się tak groźnym.

Główną podstawą dla działania rewolucjonistów na granicy państwa, jak to przedstawiłem, jest podmycie tej granicy przez ludność pograniczną, zanik jej dla niej. Do wytworzenia mętnej wody na pograniczu w ogromnym stopniu przyczyniają się właśnie ci, co mają granicy pilnować, ci, co najbardziej są względem całego otoczenia uprzywilejowani. Do takich uprzywilejowanych będą, naturalnie, należeć i nowi dygnitarze państwowi na granicy – owi agenci żandarmerii. Lecz gdy dotychczasowi dygnitarze najczęściej są zupełnie obcy, są przybyszami, którzy po pewnym tylko czasie stają się zależnymi w mniejszym lub większym stopniu od otoczenia, to projektowani agenci żandarmów, pochodząc z ludności miejscowej, tę krepującą zależność odczuwać będą znacznie silniej. Więc własne ich grzechy graniczne – szwarcowanie na własny użytek towarów zagranicznych – przyczynią się do zwiększenia mętów i w wielu wypadkach zwiążą im ręce. Tym bardziej, gdy się zważy, że szpieg, pomimo wielkiego jego znaczenia dla rządu, tak jest pogardzanym przez ludzi, że szeregi ich mogą być rekrutowane jedynie z pomiędzy najbardziej nisko pod względem moralnym stojących ludzi.

Drugą podstawą dla kontrabandy rewolucyjnej w Polsce jest silne, chociaż często nie bardzo świadome poczucie niechęci wszystkich ludzi w stosunku do rządu. Niechęć ta, tak ułatwiająca agitację rewolucyjną w Polsce, na pograniczu wzmacnia się jeszcze bardziej przez solidarność fachową – solidarność szwarcowników, którymi, jak to wykazałem, są w pewnym stopniu wszyscy absolutnie mieszkańcy pogranicza. Czy więc rząd przez ustanowienie agentów żandarmskich potrafi już nie rozbić, lecz choćby poważnie zachwiać tą podwójną solidarnością? Co do mnie, znając kraj i stosunki pograniczne, innej odpowiedzi na to pytanie, jak negatywnej, daćbym nie mógł.

## TAJNE DRUKARNIE

Mniejszą, lecz bodaj z każdym rokiem wzrastającą częścią bibuły, kursującej w Polsce, stanowi bibuła, w samym kraju wytworzona, wyprodukowana pod okiem wiecznie niespokojnej i trapiącej buntowników policji carskiej. Bibuła taka, w postaci ulotnego pisma czy odezwy, albo też mniej więcej periodycznie się ukazującego pisma partyjnego, ma ogromne znaczenie dla każdej organizacji rewolucyjnej, chcącej szerszy wpływ na ludzi wywierać. Bibuła zagraniczna, wyprodukowana za żelaznym pierścieniem bagnetów, opasującym państwo cara, ma w wielu wypadkach tę niedogodność, że się opóźnia, że wobec kapryśnych warunków nadgranicznych nie daje się całkowicie opanować przez organizacje. Ten brak precyzji, brak, że tak powiem, elastyczności bibuły zagranicznej, rozpatrywanej, jako narzędzie rewolucyjne w rękach organizacji, zmuszał nieledwie każdą grupę rewolucyjną w państwie cara do prób tworzenia bibuły krajowej, produkowania jej na miejscu.

Najbardziej pierwotnym, studenckim, że go tak określe, sposobem jest hektograf. Urządzić go łatwo, zajmuje on bardzo mało miejsca, zniszczyć lub usunąć go z widoku nie trudno, do pracy z nim nie trzeba prawie żadnych kwalifikacji – jednym słowem, byłby on wspaniałym i niekłopotliwym sposobem, gdyby nie małe „ale” – wytwórczość hektografu jest bardzo niewielką, mogącą zadowolić najwyżej 30–40 osób, a produkty jego są nieczytelne. A jednak dzikie kagańce, nałożone przez rząd carski na wszystko, co ze świetnym wynalazkiem Gutenberga jest związane, tak są krępujące, że umożliwiają dotąd konkurencję marnego hektografu z drukiem.

Spotykałem wydawnictwa w Rosji, wydawnictwa, hektografowane w języku rosyjskim, ogromnej objętości, że wymienię tu np. „Tkaczów” Hauptmana albo „Spowiedź” Tołstoja. Ile szalonej, żmudnej pracy w taki tom zostało włożone przez wydawców, ile oczu popsutych i zażawionych u czytelników tych wydawnictw! Byłem, doprawdy, zdumiony tą cyklopową pracą.

Lecz takie większe rzeczy, odbite na hektografie, są rzadkością, białymi krukami bibliograficznymi, które kiedyś w muzeach świadczyć będą o dzikim okrucieństwie caratu. Częstymi jednak są dotąd krótkie hektografowane odezwy rewolucyjne i pisma ulotne. Nawet w Polsce, nieco kapryśnej pod tym względem w porównaniu z rdzenną Rosją i przyzwyczajonej do hardziej europejskiego i cywilizowanego druku, zdarzają się często wypadki używania hektografu dla celów rewolucyjnych. Osobliwie często ucieka się do tego środka młodzież szkolna; dlatego też nazwałem ten sposób – studenckim. Najtrudniej zaś daje się hektograf zastosować do ludu pracującego. Tutaj, gdzie nieraz samo czytanie stanowi poważną pracę, błękitne rozlane literki hektografu często są zupełnie bezużytecznymi.

W ostatnich czasach zaczęto ulepszać ten studencki sposób tworzenia bibuły krajowej. Przystosowano do hektografu maszyny piszące, wprowadzono mimeografy, cyklostyle itd. Lecz pomimo tych ulepszeń, zwiększających produktywność pracy oraz zmieniających na lepsze czytelność bibuły, niepodobna porównywać tych sposobów z drukiem. Zbyt dużo zajmują one czasu, zbyt dużo zużywają papieru, by można było zadowolić szersze wymagania przez takie środki. Dobrymi być one mogą dla produkcji, jak ją nazy-

wamy żartobliwie, rzemieślniczej w rewolucji. Dla wielkiego przemysłu rewolucyjnego nic dłużej zastąpić nie zdoła.

Wobec tego nie jest wcale dziwnym, że dla każdej poważniejszej organizacji rewolucyjnej ideałem jest posiadanie tajnej drukarni. Dwie najsilniejsze organizacje w przeszłości – rosyjska Narodna Wola i polski Proletariat – były uzbrojone w tę broń nowoczesną. Pierwsza za czas swego istnienia w kilku drukarniach, raz po raz wykrywanych przez policję, wydała kilka odezwo oraz 10 numerów swego pisma. Druga oprócz odezwo i paru broszur wydała pięć numerów „Proletariatu”.

Po rozbiciu tych organizacji w 1871 i 1885 ll. nastąpiła w państwie cara cisza rewolucyjna. Roboty rewolucyjne szły dalej nieprzerwanie, lecz przeważnie były to roboty „rzemieślnicze”, dłuwanie, najczęściej nieskoordynowane, po różnych kątach. W ogromnej większości umysłów rewolucyjnych wytworzył się nawet pewnego rodzaju nastrój, który tu nazwę przeciwromantycznym, nastrój, dający się streścić w słowach: „nasze czasy; to nie czasy szerokich planów i zadań”.

Drukarnia tajna, pismo partyjne – należały do tych szerokich „romantycznych” planów i zadań rewolucyjnych, względem których szanujących się „pozytywnych” rewolucjonistów obowiązywał pewnego rodzaju sceptycyzm i uśmiech niedowierzania. Lecz jeśli w stosunku do planów „szerokich” przeważał w owych czasach nastrój „pozytywny”, to w stosunku do środków dla wykonania tych planów powszechnym był nastrój „romantyczny”, powiedzmy raczej – dziecinny.

Nastrój ten da się scharakteryzować przez zabawną anegdotę, którą słyszałem o kijowskich rewolucjonistach z końca ósmego dziesiątka lat zeszłego stulecia.

Do Kijowa przyszedł transport bibuły – kilka pudów – który na razie został umieszczony gdzieś na przedmieściu. Chodziło o przeniesienie bibuły do miasta samego. Interes ten poruczono trzem towarzyszom z organizacji ówczesnej. Oto, jakim było ich rozumowanie:

Nieść bibułę we dnie – niedobrze, zbyt jest to widoczne, – lepiej w nocy. Brać dorożkę niebezpiecznie – dorożkarz będzie widział, – lepiej iść pieszo. Po drodze nie jest dobrze – lepiej tyłami zabudowań.

I oto nasi „romantycy” ruszyli w nocy po ową bibułę, wpakowali ją w worki i z tajemniczymi, odpowiednio do chwili, minami ruszyli nie drogą, lecz przez płoty i ogrodzenia. Naturalnie, skutek był żałosny - psy, zbudzone z drzemki, zaczęły gwałtownie ujadąć, ludzie z domów przedmieścia wypadli i zabrali biednych towarzyszy, jak złodziei, do cyrkułu. Tam sprawę wyjaśniono, lecz, rzecz prosta, osadzono niefortunnych romantyków w więzieniu.

Ta tradycja „romantycznych” środków rewolucyjnych, zostawiona w spuściźnie głównie przez Narodną Wolę, ciążyła w owe czasy nad ludźmi równie silnie, jak „pozytywny” nastrój umysłów. Pozytywiści, gdy krytykowali „romantyczne” plany, krytykowali je nie „pozytywnie”, lecz „romantycznie”, biorąc z ubogiej skarbnicy doświadczenia rewolucyjnego różne dziwactwa i śmieszności, jako dowody contra temu lub owemu „szerokiemu” planowi, a więc pomiędzy innymi i contra planom drukarnianym.

Dla rozbicia tej tradycji, dla przewyciężenia tego nastroju potrzebni byli nowi ludzie – romantycy co do planów, pozytywiści co do środków. Takimi okazali się założyciele Polskiej Partii Socjalistycznej, których działalność dla krajowej produkcji bibuły stanowi epokę również dobrze, jak i dla rozpowszechnienia bibuły zagranicznej.

W lipcu (dnia 12) 1894 r. z tajnej drukarni P. P. S. ukazał się pierwszy numer „Robotnika”, którego dotąd wyszło 52 numery, tj. pięć razy więcej w porównaniu z Narodną Wolą, organem najsilniejszej z doby powstaniowej organizacji rewolucyjnej w państwie

cara do niedawnych czasów. Dotąd jedynie organizacja żydowska Bund poszła w ślady P. P. S. i potrafiła urządzić tajną produkcję bibuły w kraju. Inne organizacje, tak polskie, jak rosyjskie, od czasu do czasu robią próby w tym kierunku, próby rzadkie, z efektem krótkotrwałym. Do takich prób należy „Pochodnia” narodowo-demokratyczna, kilka rosyjskich pisemek rewolucyjnych, wysypujących się zwykle przy trzecim czy czwartym numerze. Druki pochodzenia krajowego dotąd są prawie monopolem P. P. S.

Stąd właśnie pochodzi fakt, że przy wypadkach, obchodzących ogół opinii publicznej, jak przyjazd cara, odsłonięcie tego lub owego pomnika, większe strajki lub poruszenia ludowe – najczęściej daje się słyszeć jedynie głos P. P. S. Inne organizacje – oprócz, jak powiedziałem, Bundu wśród Żydów – nie są w stanie sprostać temu zadaniu, nie są w stanie wypowiedzieć się publicznie z powodu tego lub owego zdarzenia w tym właśnie czasie, gdy zajmuje ono umysły ludzkie.

Fakt istnienia drukarni w kraju, stałe ukazywanie się różnych wydawnictw – „Robotnika” i odezów – wywarł w swym czasie głębokie i silne wrażenie na wszystkich, co czuli jakąkolwiek chęć do walki z uciskiem rządowym.

Wśród sceptyków i „pozytywistów” panowało pewnego rodzaju zdumienie i oczekiwano z dnia na dzień wpadnięcia drukarni w ręce żandarmów. Wśród samych założycieli drukarni i „Robotnika” panował taki nastrój, że, jak opowiadał mi jeden z nich, nie oczekiwano, by można było bez wsypy dość do dwunastego numeru pisma. Lecz bodaj nie omylę się, gdy powiem, że najpowszechniejszym uczuciem było pewnego rodzaju entuzjazm i uznanie dla śmiałego przedsięwzięcia.

Opowiadano mi, że organizacja zecerów w Warszawie zaproponowała w razie braku sił technicznych wybrać z pomiędzy nich ludzi. Dodano przy tym, że każdy z nich zgadza się, by mu zawiązano oczy, wsadzono do powozu i odwiązano dopiero w drukarni, skąd każdy z nich obowiązywał się nie wychodzić ani na chwilę i nie patrzeć przez okno dla zachowania konspiracji zupełnej. W Dąbrowie, w Hucie Bankowej, robotnicy proponowali złożyć w drukarni zaoszczędzone przez siebie dla przyszłego strejku fundusze. Sam na własne uszy słyszałem propozycje towarzyszy, by ich wzięto do drukarni, chociażby do najzwyklejszych posług. Nawet menterzy Narodowej Demokracji, tak wrogo obecnie względem socjalizmu usposobieni, byli nieco podnieceni nadzwyczajnym powodzeniem „Robotnika”. Jeden z nich przy rozmowie ze mną w 1896 r. mówił, że „drukarnia wasza i „Robotnik” to nadzwyczajny fakt, wspaniałe zjawisko, którego waszej partii powinszować można”. Naturalnie, zapatrywał się on na znaczenie tego faktu w specjalny sposób: „jak to żandarmów wściekać musi!”

W istocie żandarmi wściekali się ze złości i urządzali formalne polowania na nieuchwytnego „Robotnika”. Sadząc z ciekawych pamiętników znanego szpiega Wiśniewskiego<sup>1</sup>, wydanych przez P. P. S., żandarmi warszawscy próbowali okłamywać siebie i wyższą władzę twierdzeniem, że „Robotnik” jest wydawany za granicą, a druki, rzekomo krajowego pochodzenia, są przeszwarcowane z za kordonu. Mądry pułkownik Utgoff znalazł nawet, że papier, na którym wydrukowany jest „Robotnik”, zdumiewająco jest podobny do londyńskiego papieru, używanego do zagranicznych wydawnictw P. P. S. Lecz wreszcie musiano się pożegnać z tą iluzją, raz po raz bowiem w numerach „Robotnika” znajdowały się nowiny z dnia wczorajszego, które fizycznie nie mogły tak prędko przebiec granicę i wrócić stamtąd w postaci zadrukowanego papieru.

Wówczas drukarnia „Robotnika” stała się głównym celem nagonek żandarmskich. W przyszłości zapewne będzie znanym, jak mądre plany budowano w zarządach żandarmerii

---

<sup>1</sup> Antoni Wiśniewski – publicysta polski, bliski „Głowski”, szpieg, którego pamiętnik wydała P. P. S. w Londynie w 1901 p. t. „Dziennik szpiega”. Zabity później przez Organizację Bojową P. P. S.

dla wykrycia drukarni. Obecnie jednak, sądząc tylko z przejawów tych polowań, trzeba przyznać, że polowania te mocno przypominały rozjuszonego byka, rzucającego się na czerwoną płachtę i spotykającego pod rogami pustą przestrzeń. Tą płachtą dla żandarmów były odezwy. Pojawiły się w Radomiu – jazda do Radomia w poszukiwaniu drukarni; były w Białymstoku – marsz na Białystok, tam bowiem ukrywa się drukarnia; są w Dąbrowie i oto w głupich głowach żandarmów kręci się myśl, że drukarnia musi być ukryta gdzieś w zarzuconym szybie. Przed samym zaarrestowaniem drukarni w Łodzi żandarmeria warszawska była już na „pewnym” tropie. Drukarnia miała być ukryta u jakichś bardzo bogatych i możnych ludzi i żandarmi poszukiwali ich śladów przez... modne i drogo sprzedające siebie kokoty.

Jeśli żandarmi suszyli sobie nieraz mózgi nad tym zagadnieniem z obowiązku, to mnóstwo ludzi łamało sobie głowy nad nim z prostej i zrozumiałej ciekawości. Koło tej niepochwytniej drukarni tworzyły się legendy i hipotezy. Jedni umieszczali ją w piwnicach, inni – na strychach, wielu słyszało w zamieszkałych przez siebie kamienicach szmery, mające świadczyć o istnieniu drukarni itd. – wszyscy zaś osłaniali tę tajemniczą drukarnię różnymi romantycznymi szczegółami.

Wreszcie w lutym 1900 r. pieczęć absolutnej tajemnicy, która gęstą mgłą otaczała drukarnię, została zdjęta. Żandarmeria łódzka, dzięki prostemu przypadkowi, wykryła ową drukarnię w Łodzi, przy Wschodniej ulicy, na pierwszym piętrze domu pod nrem 19.

Tryumf żandarmerii był ogromny. Zdawało się im, że raz nareszcie opanowano ruch, który im tyle kłopotów sprawiał, a przynajmniej, że zmuszono ten ruch do milczenia. Jeden z żandarmów, który piszącego te słowa właśnie w sprawie drukarni badał, szeroko tłumaczył, jak wielki cios został zadany partii przez aresztowanie drukarni.

– Niełatwo – mówił mi pan rotmistrz – zdobyć się raz jeszcze na taki wysiłek, niełatwo zorganizować podobną rzecz na nowo.

– Ależ, panie rotmistrzu! – zawołałem na to z uśmiechem – jestem przekonany, że w tej może chwili już się drukuje następny numer „Robotnika”. Niech mi pan wierzy, że dla P. P. S. nie stanowi to nic tak bardzo trudnego.

Nie wiedziałem wówczas, zamknięty w murach cytadeli warszawskiej, że moje słowa odpowiadały rzeczywistości. W kilka dni po tej rozmowie ukazał się trzydziesty szósty numer „Robotnika” z nowej drukarni, założonej przez partię<sup>1</sup>.

Odkryta w Łodzi drukarnia nie mieściła się ani w piwnicy, ani na strychu, ani nie była otoczona jakąś nadzwyczajną tajemniczością. Redakcja i drukarnia znajdowała się w zwykłym mieszkaniu, takim, jakich tysiące jest w każdym większym mieście. Jak wspomniałem, była ona na pierwszym piętrze. Była to, jak mi mówiono, inowacja. Dotąd bowiem wystrzegano się umieszczania drukarni na piętrze. Obawiano się, by pewien szum, sprawiany przez maszynę drukarską, nie był słyszany przez mieszkańców parteru.

Co do mnie, gdy mnie poruczono redakcję „Robotnika” i urządzenie drukarni w Łodzi, nie znalazłem na parterze mieszkania.

Zaryzykowałem wziąć mieszkanie na piętrze, tym bardziej, że w tym domu parter był zajęty przez skład bawełny i pończoch. Mieszkanie nasze składało się z czterech pokoi i kuchni. Z frontowych schodów wchodziło się do korytarza, z którego na prawo drzwi prowadziły do pokoiku niewielkiego – w tym jadałszy obiad. Na lewo z korytarza było dwoje drzwi – jedno, najbliższe od wejścia, do pokoju sypialnego, drugie – do saloniku. Wprost z korytarza były drzwi do kuchni i z kuchni wreszcie na tylne schody. Za saloni-

---

<sup>1</sup> Właściwie nr 36 „Robotnika”, zredagowany (tak samo, jak i nr 37) przez Stanisława Wojciechowskiego w Londynie, został odbity tamże na maszynie, zakupionej dla nowej drukarni krajowej „Robotnika”, umieszczonej zaraz potem w Kijowie, gdzie „Robotnik” był drukowany od nru 38.

kiem był pokój duży, w którym postanowiliśmy umieścić drukarnię, a który był zarazem dla ludzi postronnych gabinetem moim dla pracy.

Jaką była ta praca, nie mówiłem nikomu, pozostawiając otoczeniu tworzenie takiej lub innej hipotezy co do rodzaju mego zajęcia. Liczyłem na to, że w Łodzi, mieście przemysłowym i handlowym, musi być mnóstwo osób, żyjących przy tym przemyśle i handlu, a nie mających ścisłych godzin pracy poza domowej, ani zupełnie wyraźnego zajęcia dla otoczenia. Chciałem jednak imitować zajęcie techniczne, które, jak mi się zdawało, więcej odpowiadało charakterowi miasta. Tym czasem, jak się potem okazało, stróż i służba uważali mnie za prawnika, prowadzącego jakieś interesy. Zdaje się, pogląd ten wyrobił się z tego, że często widziano mnie piszącego.

Podpułkownik Gnoiński, który nas aresztował, również był tego zdania, że jestem adwokatem, bo przy rewizji jednym z pierwszych pytań jego było: „Pan jest prawnikiem?” Zresztą co do stróża, to jego pojęcie o adwokaturze było dosyć zabawne. Żona moja rozpytywała stróżową o lokatorów domu, w którym mieszkaliśmy. Otóż stróżowa twierdziła, że nad nami mieszka adwokat.

– Adwokat? – pytała żona.

– A tak, proszę pani, on całymi dniami w domu siedzi, a na noc wychodzi – odpowiedziała stróżowa.

Różnica więc pomiędzy mną a moim sąsiadem z góry była tylko ta, że ja na noc nie wychodziłem. Różnica ta nie przeszkodziła stróżowej uważać i mnie za adwokata.

Lecz wracam do urządzenia drukarni. Umebłowanie gabinetu-drukarni składało się z biurka redakcyjnego, w którego szufladach złożone były rękopisy i różne wydawnictwa, potrzebne do redakcji; z otomany, w którą chowaliśmy papier; kosza, do którego szły różne odpadki produkcji, stopniowo potem spalane w piecach mieszkania; szafka składanej, w której się mieściła w górnej części maszyna drukarska, a w dolnych jej szufladkach kaszty z czcionkami i wreszcie z kilku krzesel. Oprócz tego stały dwie lampy, jedna z nich wysoka, japońska, druga na biurku. Oświetlały one nam pokój przy wieczornej robocie.

Praca zaczynała się o dziewiątej rano, gdy przychodził do nas towarzysz Rożnowski<sup>1</sup>, były student uniwersytetu moskiewskiego, a wówczas nasz technik drukarski i mój wobec służącej i stróża pomocnik. W saloniku stał pod oknem mały stolik japoński, a na nim bożek buriacki, którego przywiózł z Syberii. Podstawa bożka była wydrążona i tam z wieczora, po skończonej robocie, kładliśmy klucz od drukarni. Rożnowski brał rano klucz i przyprawdzał do porządku zewnętrznego pokój, tak, by służąca sprzątać go mogła.

W tym czasie, gdyśmy z Rożnowskim pili herbatę, żona pod pozorem, że ja nikomu oprócz niej nie pozwalałem dotykać się papierów na biurku, pomagała służącej sprzątać w gabinecie. Służąca nie widziała w gabinecie nic prócz mebli, a przy żonie, naturalnie, nie ośmielała się badać ich zawartości. Zresztą rozrzucone na biurku papiery i książki świadczyły o jakiejś inteligentnej pracy, niezrozumiałej dla niej.

Służąca w mieszkaniu, przeznaczonym na drukarnię, była to również inowacja, dotąd w tajnych drukarniach nieznaną. Tradycja rosyjska w tych wypadkach nakazywała brać, jako służącą, towarzyszkę, wtajemniczoną we wszystkie szczegóły interesu. Tradycja polska wskazywała na służące przychodnie, jako na wyjście należyte. Co do mnie, postanowiłem wziąć służącą na stałe. Było to bez wątpienia bardzo uciążliwe i wymagało wielkiej baczności, lecz miało i dobre strony.

Przed wszystkim dziwnym byłoby, gdyby w porządnym, burżuazyjnym mieszkaniu nie było stałej sługi, osobliwie, gdy praca ich tak marnie jest opłacana, jak w Łodzi. Na-

---

<sup>1</sup> Członek P. P. S. (pseudonim „Karol”, „Karolek”), który po zdobyciu fachu zecerskiego w drukarni partyjnej w Londynie składał „Robotnika” w Łodzi i został aresztowany po wykryciu jego drukarni.

stepnie towarzyska, jako służąca, nie uśmiechała mi się wcale. Sługi w domach miejskich stanowią swego rodzaju klub czy stowarzyszenie, znają się wzajemnie i utrzymują stały stosunek ze stróżami. Bałem się jakiegokolwiek niezręczności ze strony towarzyski, której zadaniem byłoby udawać sługę, niezręczności, która mogłaby zwrócić na nasze mieszkanie uwagę, zrobić je przedmiotem gawęd i podpatrywać. Natomiast byłem zupełnie przekonany, że pierwsza lepsza służąca, wzięta z biura, zawsze może być utrzymana przez gospodarzy w przyzwoitym oddaleniu od tego lub owego punktu mieszkania.

Tak się też stało u nas w Łodzi. Odrazu zapowiadało się służącej, że miejsce jej jest w kuchni, że „pan” nie lubi, gdy służąca bez potrzeby wchodzi do pokojów „pańskich”. Przy tym dawało się im dużą swobodę – chętnie udzielaliśmy naszym sługom urlopów na wieczory.

Przez pół roku mieliśmy dwie sługi. Jedna z nich sprytna, nieco zepsuta przez miasto, Józia. Tej musieliśmy się strzec ciągle – miała jednak tę dobrą stronę, że lubiła korzystać i nawet nadużywać urlopów. Pomimo swego sprytu nie domyśliła się niczego, nawet stosunku serdecznego, jaki nas łączył z towarzyszem Roźnowskim, do którego przy służce zawsze mówiłem nieco protekcyjnie. Wobec tego Józia uważała go za równego sobie.

Pewnego razu, gdyśmy z żoną wyjechali do Warszawy, zostawiliśmy Roźnowskiego w mieszkaniu na gospodarce, Józia zaś daliśmy pieniądze na obiady dla niej i Roźnowskiego – czyli pana Karola, jak się tam nazywał – na czas naszej nieobecności.

Sądziliśmy, że Józia skorzysta z tego czasu, by wylatać się po mieście, że więc Roźnowski będzie miał możliwość pracować. Okazało się jednak, że sprytna Józia zagięła parol na p. Karola i rozpoczęła z nim flirt.

Gdy dała mu obiad, przyszła do pokoju, usiadła przy nim, odgrywając rolę gospodyni. Żartowała z p. Karola, który jej się wydał nieśmiałym.

– Pan zapewne przy nich – mówiła do niego – z wielkiej nieśmiałości nie dojada przy obiadach. Niechże pan teraz je dobrze. Nie trzeba ich żałować, mają dosyć – uświadamiała p. Karola, który się wściekał z takiego obrotu sprawy.

Znacznie mniej uświadomioną była druga nasza służąca, Władzia, która zastąpiła Józję. Ta była cicha, spokojna dziewczyna, zahukana i nieśmiała. Gdy spotkała tu raz ludzkie i łagodne obejście, przywiązała się ogromnie do mojej żony. Natomiast miała złe strony – umiała czytać i nie chciała, pomimo propozycji, jej czynionych, korzystać z urlopów. Przy Władzi chowaliśmy skrzętnie wszystkie nielegalne druki. Przy niej aresztowano nas. Biedna dziewczyna zanosila się od płaczu. W głowie jej nie mogło się pomieścić, że mogą zabrać i panią domu.

– Pana, jak pana – powtarzała z płaczem, – ale po co panią zabierać?

Swoją drogą muszę przyznać, że służąca, nie wtajemniczona w interes, jest ogromnym ciężarem w drukarni. Okoliczność ta wymagała ustawicznej czujności, ciągłego pilnowania każdego poruszenia sługi. Cały ten ciężar spadał na barki gospodyni domu – mojej żony, która od chwili, gdy służąca wchodziła do „pokoju”, nie odstępowała jej ani na krok. W rzadkich chwilach, gdy żona wychodziła z domu, zastępowałem ją w tym obowiązku i przenosiłem swą pisaninę lub siadałem z książką w rękę w pokoju stołowym.

Zaraz po rannej herbacie ja z Karolem wynosiliśmy się do gabinetu, do roboty. Robota nasza polegała na pisaniu, składaniu i odbijaniu na maszynie. Pierwsze należało do mnie, drugie do Roźnowskiego, trzecie było naszą wspólną funkcją. Urządzaliśmy się w ten sposób, że od chwili, gdy robota nad numerem „Robotnika” została rozpoczęta, nie przerywaliśmy jej, dopóki nie została skończona. Dwunasto-stronicowy numer kosztował nas zwykle 15–16 dni pracy, pracy dosyć uciążliwej, trwającej przeciętnie 9–11 godzin dziennie.

Środki nasze techniczne składały się z pewnej ilości czcionek. Petitu mieliśmy na dwie i coś stronicie i garmondu na sześć. Oprócz tego pewną ilość liter tytułowych oraz tłustego petitu i garmondu. Mieściło się to w kasztach i w związanych stronicach, pozostałych z dawniejszej roboty, – kaszty i stronicie leżały w szafce i otomanie.

Poza tym w szafce stała maszynka drukarska angielskiego systemu „Model-Press”. Maszynka niewielka, ważąca coś około 7 pudów, z ramą małą, mieszczącą zaledwie jedną stronicę „Robotnika”. I taka właśnie maszynka, używana za granicą, w krajach z cywilizowanymi prawami dla słowa drukowanego, jedynie do odbijania niewielkich ogłoszeń i biletów wizytowych, – taka maszynka stanowiła nadzwyczajny postęp w porównaniu z przed P. P. S-ową techniką drukarską w organizacjach rewolucyjnych pod caratem.

Na maszynie, jak powiedziałem, można było odbijać odrazu tylko jedną stronicę naszego pisma i dopiero po odbiciu jednej można było przystąpić do następnej. W ciągu jednej godziny odbijaliśmy od 300 do 400 egzemplarzy. Szybkość zależała głównie od tego, czy można było w danej chwili sprawić więcej hałasu, czy nie. W celu zmniejszenia hałasu maszynka była wszędzie, gdzie się różne jej części stykały przy pracy, oklejona gumą, rzemykami i sukniem. I raz po raz trzeba było przerywać robotę, by to lub owo w niej naprawić – przykręcić śrubkę, dolać oliwy na osie, przykleić pasek jakiegokolwiek materiału zamiast tego, który odleciał przy robocie. Co pięćdziesiąt egzemplarzy trzeba było rozsmarować farbę na talerzu i baczyć przy tym, by farby nie było za dużo, bo w tym wypadku arkusiki papieru, złożone po odbiciu jeden na drugim, ogromnie się brudziły i druk stawał się nieczytelny. Gdy, przeciwnie, brało się farby za mało, to przy małej presji, jaką rozwinąć można było przy tym systemie drukarskim, druk wychodził blado, co na petitowych osobliwie stronicach czyniło druk równie niedogodnym do czytania i niewyraźnym, szczególnie dla ludzi, nieprzyzwyczajonych do czytania, a ci przecie stanowili większość czytelników naszego pisma.

Licząc więc wszystkie przerwy w produkcji, na każdą godzinę pracy wypadało przeciętnie 250–280 egzemplarzy. A że biliśmy wówczas 1900 egzemplarzy pisma, więc samo odbijanie jednej stronicy zajmowało nam 8 godzin pracy. Gdy się zaś doliczy czas, zużyty na przygotowanie do pracy, zabijanie stronicy w ramę, zrobienie korekty i wreszcie usunięcie śladów roboty, będziemy mieli 9 co najmniej godzin tańca koło maszynki dla odbicia jednej stronicy „Robotnika”. Była to nasza dzienna produkcja.

Co się tyczy hałasu, sprawianego przez robotę, to przy ostrożnym odbijaniu, gdy się niejako trzymało w garści całą maszynkę i zwracało uwagę na najmniejsze jej kaprysy, największy hałas sprawiała czynność brania z kupy papieru jednego arkusika w celu położenia go na maszynkę. Szelest papieru – oto najgłośniejsza procedura! Nic dziwnego, że w czasie samej roboty służąca z nieodstępną od niej moją żoną mogły sprzątać w sąsiednim pokoju, nie słysząc z gabinetu-drukarni żadnego podejrzanego szmeru.

Muszę jednak przyznać, że odbijanie należało do najprzykrzejszych, najnudniejszych robót, jakie znam.

Chwytasz arkusik papieru, przymierzasz go tak, by upadł akurat w odpowiednim miejscu naprzeciw czcionek; przyciskasz rączkę maszynki – kłap! Paszcza się zamknęła, papier dotknął się do czcionek, wałki pobiegły na talerz; podejmujesz rączkę do góry – paszcza się otworzyła, odkładasz zadrukowaną stronę na lewo i znowu dalej w kółko. I gdyby nie było żadnych przeszkód, gdyby można było nie zwracać uwagi ani na hałas, sprawiany przez maszynę, ani na to, co się w sąsiednich pokojach dzieje, gdyby można było zlać się niejako z tą maszynką, zastosować się zupełnie do jej poruszeń i kłapać sobie spokojnie, myśląc o czym innym. Ba! zapomniałeś się, a już słyszysz okrzyk towarzysza pracy, który dłubie przy kaszcie.



– Cholera! Maszyna zanadto huczy! Może podlać oliwy?

Albo słyszysz ostrzegawcze nucenie żony, co oznaczało, że służąca jest w pokojach, że należy bić ciszej, ostrożniej obchodzić się z kapryśną maszyną.

Karolek, gdy pracował przy maszynie, lubił pogawędzić, pożartować; co do mnie – zawsze byłem zły i milczący, gdy dotykałem żelaznej, chłodnej rączki maszyny. Niecierpliwym okiem rzucałem spojrzenia na powoli zmniejszającą się kupę papieru po prawej stronie – papieru, który jeszcze przez maszynę tego dnia przejść musiał, złościłem się na każdą przeszkodę, co mnie zmuszała do uważniejszego traktowania klekoczącej maszyny.

Maszynka wysoka była dwie trzecie metra, szerokość jej była znacznie mniejszą – nie więcej nad trzecią część metra. Z łatwością więc wchodziła do niskiej szafki, której ścianki mogły być wyjmowane przy robocie i wkładane po skończeniu pracy. Jeden człowiek nie mógł podnieść maszyny i w razie konieczności przenoszenia jej z miejsca na miejsce trzeba było do niej dwóch ludzi. Gdy zaś był przy niej tylko jeden człowiek, musiał ją przesuwać, podnosząc z kolei to jeden, to drugi koniec maszyny. Przy przenosinach i przewożeniu z mieszkania do mieszkania, lub zmianie miasta, maszynkę rozbierano na części różnej wielkości – największą była podstawa, ważąca połowę wagi całej maszyny, – pakowano do koszów, zapełniano puste miejsca sianem lub pościelą i jazda w świat.

Maszynka, która ze swej paszczy wyrzuciła przed aresztowaniem setki tysięcy różnych wydawnictw, która przez dłuższy czas stanowiła cel poszukiwań ogromnej zgrai szpiegów i żandarmów, której dłuższe istnienie było naigrawaniem się z potęgi rządu carskiego, – maszynka stała zupełnie odkryta na swej zwykłej podstawie, z pierwszą stroną trzydziestego szóstego numeru w swej ramie, gdy w noc lutową wpadli do nas żandarmi. Oglądano ją z pewnym podziwem i szacunkiem. Szpicle z ciekawością dotykali się żelaza, dziwiąc się, że taka drobnostka tak duże znaczenie mieć może. Odbito na papierze stronicę, zabita w ramy. Podpułkownik Gnoiński przeczytał półgłosem, dyktując protokół rewizji:

– Trzydziesty szósty numer „Robotnika”, data dwudziesty piąty luty. Artykuł wstępny „Tryumf swobody słowa”.

„Orłow, szef żandarmów „żandarma Europy”, Mikołaja I, odprowadzając raz u pewnego swego znajomego, odjeżdżającego za granicę, prosił go o załatwienie tam małego interesu. Gdy będziesz pan w Norymberdze – mówił mu – zajdź pan pod pomnik Gutenberga, wynalazcy druku, i pluń mu pan ode mnie w oczy. Od niego całe zło na świecie pochodzi!”

– *Wot wam i Gutienberg!*<sup>1</sup> – zwrócił się do mnie podpułkownik z sarkastycznym uśmiechem, wskazując na otaczających mnie i żonę policjantów. – *Da, kak widitie, ot nie-wo wsio zło!*<sup>2</sup>

Artykuł wstępny traktował o zniesieniu w Austrii stempla dziennikarskiego i o zamiarze naszych towarzyszy w Galicji wydawania codziennego pisma „Naprzód”. Tam był tryumf, tu porażka swobody słowa, pohańbienie wielkiego wynalazku Gutenberga.

Przyznam się, że pomimo wielu niewesołych chwil, spędzonych przy maszynce, pomimo, iż nieraz wściekałem się na nią przy robocie, wymyślając jej od „starego klekota”, „głupiego bydłęcia” i „cholery”, ścisnęło mi się serce, gdy tę „cholere” zobaczyłem w plugawych łapach szpicli w chwili przenoszenia jej z szafy do kosza. Gdy na kosz Gnoiński kładł pieczęcie, stałem zgryziony, jak gdyby zapadało wieko trumny nad kimś bliskim, serdecznie kochanym. Tyle nadziei, tyle miłości, tyle poświęcenia było związane z tym kawałkiem żelaza, skazanym oto na milczenie i bezczynność!

<sup>1</sup> Ot, ma pan Gutenberga.

<sup>2</sup> Tak, jak pan widzi, od niego całe zło.

Wybaczą mi czytelnicy liryczne odstępianie od rzeczy. Jestem przekonany, że wyraziłem w nim nie swoje jedynie uczucie, uczucie człowieka, który z tą maszynką splótł swe losy. Takimi uczuciami był przejęty i niejeden ze stałych czytelników „Robotnika”, gdy go doszła wieść o wzięciu przez żandarmów drukarni. Opowiadano mi, że niektórzy robotnicy rzewnymi łzami oplakiwali stratę partyjną, że powszechnie wiadomość o łódzkiej katastrofie sprawiała wstrząsające wrażenie.

Oprócz składania i odbijania druków na maszynie mieliśmy jeszcze jedną techniczną robotę – obcinanie papieru. Arkusik papieru zwykłego jest za długim dla formatu „Robotnika”. Trzeba go skrócić. Przy biciu odez w trzeba również dopasować papier do wielkości odezwy. Robota to przykra, gdy się ją wykonywa zwykłym nożem. Karolek po niej zawsze miał spuchniętą rękę i pokaleczone palce. W dodatku, jako odpadek od tej roboty, pozostawały obrzynki papieru w ogromnej ilości. Chowaliśmy je na razie do kosza. Następnie zaś korzystaliśmy z każdej okazji, by je zniszczyć – spalić w piecu. Specjalnie w tym celu kazaliśmy palić w piecach wieczorami, gdy łatwiej było uniknąć oka służącej.

Wówczas z kosza wyciągało się kupę obrzynków i pakowało się je do pieca. Naturalnie, korekty, rękopisy zużytkowane i wszelkie niepotrzebne papierki niszczyliśmy natychmiast. Codziennie wieczorem przed zejściem z roboty i rano przed jej rozpoczęciem oglądaliśmy wszystkie kąty drukarni, czy nie ma gdzie zapomnianego papieru lub czcionki, czy nie została gdzie plama od farby lub oliwy.

Przechodząc teraz do roboty redaktorskiej, zauważę przede wszystkim, że wątpię, by był jakikolwiek redaktor na świecie, który w takiej jest zależności od zecera i techniki, jak redaktor „Robotnika”. Robota nad numerem zaczyna się od środka, zwykle od działu: korespondencje. Nie można inaczej postąpić, bo przecie robota ma trwać parę tygodni, mogą zajść różne wypadki, wymagające wypowiedzenia się pisma albo w artykułach, albo w kronice, kończącej numer. Odbija się stronę jedną w ciągu dnia i, rzecz prosta, z tego, co już jest wydrukowane, niepodobna nic wyrzucić, choćby nadeszły świeże, większego znaczenia, dane. Następnie wobec braku czcionek i sił technicznych wciąż trzeba się liczyć z czasem zecera, pisać to, co on w obecnej chwili składać może.

Wreszcie przekłeta robota dopasowywania swej myśli do tej lub owej szpalty do tej lub owej przestrzeni na papierze, pozostawionej do druku. Oto napisałem wstępny artykuł, do którego od środka zbliżyła się robota. Napisałem go, wkładając weń wszystko, co leżało na dnie duszy, myśląc wobec braku miejsca nad każdym słowem, dopasowując je do duszy i myśli przyszłego czytelnika. Następne artykuły już są wydrukowane, zecer składa i oblicza. Już złożył trzy czwarte wstępnego, gdy po obliczeniu wypada, że artykuł jest o osiem lub dziesięć wierszy za długi. Kładź go na łożo Prokrusta, doszukuj się słów zbytecznych, możliwych do wyrzucenia bez zmiany sensu, bez nadwyreżenia treści.

Albo np., co się nieraz przy petitowych stronicach zdarzało. Jedna strona petitowa odbija się, drugą Karolek składa. Pod wieczór oświadcza mi, że mu zabrakło litery „r”.

– Wiecie – odzywa się do mnie, – możebyście mi z parę tych „r” wyrzucili z rękopisu, będzie z tym mniej kłopotu, niż przy jutrzejszej korekcie.

Materiału do teki redaktora napływa dosyć dużo, lecz przeważnie jest to materiał do działu: korespondencje. Tych jest mnóstwo. Można by nimi cztery takie numery zapelnąć i jeszcze zostałyby trochę do piątego. Pisane ręką najczęściej niewprawną, nieraz bez ładu i składu, przeważnie rozwlekłe, zawierają one skargi i bóle tysięcy ludzi, którzy szukają dla nich ujścia w swym skromnym piśmie. Szare to, monotonne, jak nędza ludzka; gdzie nigdzie przebija szczerzy humor, wzrok się zatrzyma na dosadnym, ludowym określeniu, które skwapliwie redaktor podkreśla czerwonym ołówkiem, by je zachować, jak perłę, w piśmie. Znowu notatka, śpieszną, wprawną ręką skreślona na marginesie:

– Proszę o zamieszczenie, potrzebna w robocie!

To któryś z menerów, prowadzących robotę, notuje tak korespondencję. Widocznie świeży stosunek lub ma tam nastąpić strejk, czy inne wystąpienie. Odkładasz tę korespondencję na stronę.

Gdzie indziej znowu naiwne zakończenie korespondencji: „Przepraszam redakcję za styl, ale proszę wydrukować, dużo u nas ciemnych, może ich oświeci”. To agitator fabryczny lub warsztatowy, biedzący się gdzieś wśród otoczenia biernych, mało mu współczujących ludzi, prosi o pomoc słowa drukowanego.

Przeczytujesz te dokumenty, wsłuchujesz się w to pasmo jęków i skarg. Umieścić wszystkiego nie można. Wiesz dobrze, że korespondencja, o ile jest czytana chciwie przez robotników fabryki, która tam jest opisana, o tyle nie wzbudza żadnej prawie ciekawości w reszcie czytelników. Wybierając z pomiędzy mnóstwa korespondencji część – resztę usuwasz na bok. Teraz trzeba te korespondencje przerobić, skrócić, lecz skrócić tak, by zachować w jakikolwiek sposób piętno duchowe, wyciśnięte na niej przez autora. Doszukujesz się więc w korespondencji jakichkolwiek określeń, frazesów, słów charakterystycznych, by je zachować w druku.

Wreszcie dział „korespondencje” skończony. Nowy kłopot z kroniką i artykułami. Pismo ma charakter pisma codziennego, a zarazem wychodzi rzadko, raz na miesiąc albo i rzadziej. Proszę w dziesięciu stronicach zmieścić miesięczne albo dwumiesięczne wypadki, proszę wśród tej mnogości zatrzymać się na jednych, odrzucić inne, proszę wynaleźć tematy dla artykułów, tematy, o tyle żywotne, o tyle będące na czasie, by z pisma, a raczej numeru, zrobiły organ żywy, odpowiadający nastrojowi i potrzebom chwili. Nie wiem, jak inni redaktorowie, lecz ja nieraz suszyłem sobie głowę nad tym wszystkim, nieraz z jednego kłopotu, polegającego na tym, że nie ma o czym pisać, nie ma tematów, przechodziłem do drugiego – *embarras de richesse* tematów i zagadnień. W dodatku cała robota redaktorska prowadzona jest urywkami, obok codziennej, cztero lub pięcio-godzinnej pracy przy maszynie, która to robota z powodów konspiracyjnych i technicznych jest główną, dominującą przy rozkładzie pracy.

Lecz wreszcie robota nad numerem ma się ku końcowi. Znamionuje ten upragniony koniec przybycie tzw. „ostatnich wiadomości”, dla których pozostawia się dwie stronicę pisma, lub nawet, jeśli w czasie pracy nad numerem był jakiś przyptyk danych ze świata partyjnego, jedna ostatnia stronica. Dla dostarczenia ostatnich wiadomości posyła się któregoś z towarzyszków do drukarni, albo też jeden z pracujących w niej wyruszyć musi po nie. Następuje uroczysta chwila, gdy ostatnia strona idzie pod prasę.

Wyteżona kilkotygodniowa praca skończona. Za kilka godzin świeży pocisk rewolucyjny wyruszy w świat, by poruszyć żywiej serca tysięcy wiernych towarzyszków pracy, budzić śpiących, pokrzepiać strudzonych, złożyć raz jeszcze świadectwo niespożytej energii ruchu, urągającego w żywe oczy piekielnej potędze cara i sług jego.

Nastrój wśród pracowników jest dobronny, nieco podniecony i gorączkowy. Zmęczenie i kłopoty są zapomniane. W pokoju brzmi śmiech, padają z ust żarty i dowcipy. Ile to razy chciało mi się sfotografować pracowników drukarnianych właśnie w tej radosnej chwili, gdy robota jest na ukończeniu.

Na biurku, z którego usunięto wszystko, leżą dwie duże kupy zadrukowanego papieru. Są to arkusiki, zawierające po cztery stronicę „Robotnika”. Trzecia kupa leży na stoliku obok maszyny, świeci ona jedną białą stronicą – ostatnią, mającą pójść w tym numerze pod prasę. Jeden z nas staje do bicia. Oto rozlega się suchy szelest papieru, lekkie skrzypnięcie maszyny, arkusik wyskoczył z paszczy. Drugi z nas ze złożonymi już dwoma in-

nymi arkusikami czeka. Oto ostatni arkusik już dopasowany i pierwszy egzemplarz nowego numeru gotów. Takim pójdzie w świat.

Robota na chwilę się przerywa. Oglądamy numer tak, jak gdybyśmy nie widzieli już dziesięć razy każdej literki, z których on się składa. W całości jednak to inaczej wygląda. Zapalamy papierosa, przerzucamy stronicę, dyskutujemy nad wrażeniem, jakie ta lub owa część numeru wywołać może, omawiamy techniczne braki.

– Cholera! – wołam, spostrzegając błąd korektorski, – że też wy, Karolku, tak często to „e” do góry nogami przewracacie. Żleście studiowali zecerkę, moi drodzy! Jeżeli tak było z waszymi studiami nad przyrodą, to diabła warta wasza nauka.

– No, no! – śmieje się basem Karolek, – to już rzecz korektora, pewnieście to „e” przegapili. To się wam zdarza! W ogóle fuszer z was! – odcina się, – o! patrzcie, na siódmej stronicy, jak rozlany jest petit, pewnieście według swego zwyczaju machnęli za dużo farby!

Oglądamy ową nieszczęsną siódmą stronicę. W istocie, za dużo było farby. Pocieszamy siebie tym, że te braki techniczne są niezbitym dowodem produkcji krajowej, która przecie zawsze jest niższa od zagranicznej pod względem wykonania.

– Oddamy te pięćdziesiąt egzemplarzy z powalaną stronicą do Warszawy – proponuje Karol, – tam ludzie są wprawniejsi do czytania, niż na prowincji.

– Albo – dodaję – wyślemy te egzemplarze za granicę. Niech zagraniczni studenci psują sobie oczy.

– Ale my tu gadu, gadu – woła Karol, – a pociąg na nas czekać nie będzie. Data już wydrukowana, cofać się niepodobna.

Po chwili słycać znowu miarowy szelest papieru i lekki zgrzyt żelaza, kupka papieru po lewej stronie maszynki, papieru w całości już pokrytego czarnymi, świecącymi jeszcze od farby punkcikami, zwiększa się coraz bardziej.

– Można już falcować! – mówi Karolek, – nadażę z biciem.

Z biurka biorę notatki, porównywan z innymi. W notatkach jest oznaczona ilość egzemplarzy, wymaganych przez poszczególne organizacje lokalne. Lwią część, bo więcej niż trzecią, zabiera Warszawa, serce i przodownik kraju. Dalej idzie Łódź, Zagłębie, Wilno i inne punkty, objęte ruchem, gdzie dziesiątki i setki ludzi z niecierpliwością wygląda świeżego zwiastuna uporczywej walki o swobodę i szczęście. Kładę skorygowaną ostatecznie notatkę przed sobą, zabieram kupkę odbitego ostatniego arkusika i zaczynam falcować.

Raz, dwa, trzy – trzy arkusiki trzymam w ręku, wstrząsam nimi, równam i wreszcie załamuję przez pół, przyciskam palcem; rozczłonkowany dotąd numer, zbity w jedną całość, pada na podłogę. Za nim drugi, trzeci. Kupa na podłodze rośnie z każdą chwilą. Pracujemy jednak nie w milczeniu. Radość z powodu zakończenia pracy nie pozwala milczeć. Raz po raz zagląda do pokoju żona i paru urywanymi słowami bierze udział w naszej uroczystości. I dla niej praca, wyczerpująca jej nerwy, praca pilnowania służącej, kończy się dzisiaj. Wszyscy promieniejemy z radości.

Mąci nieco radość konieczność pośpiechu. Trzeba zdążyć na pociąg, na określoną godzinę, bo już wszystko w Warszawie jest umówione. W oznaczonym z góry terminie „Robotnik” musi być dostarczony na umówione miejsce, skąd w tej samej chwili częściami będzie wyniesiony do ludzi, już przygotowanych do tej chwili, ludzi, którzy tegoż dnia rozdadzą go pierwszym odbiorcom pisma. Opóźnić się więc nie można bez naruszenia sprawności całej maszynierii kolporterskiej.

Raz po raz któryś z nas spogląda na zegarek, mrużąc: „Czy zdążymy?”

– Dla Warszawy egzemplarze już gotowe – odzywam się, oglądając ogromną kupę papieru, leżącą obok krzesła. – Czy nie za ciężka będzie walizka z tą masą bibuły? Trzeba spróbować.

Walizka, wyciągnięta na środek pokoju, otwarta. Układam po 50 egzemplarzy, oddzielając jedną kupkę od drugiej wąskim paskiem papieru. Tam przy podziale bibuły ludzie muszą się śpieszyć, trzeba im ułatwić robotę. Podnosimy wreszcie walizkę, oceniając jej wagę. Prowadzimy spór o to, czy można jeszcze cokolwiek dołożyć do niej.

Przy obiedzie umawiamy się o przyzwoite obstawienie wyjazdu. Służąca musi być usunięta z mieszkania na tę chwilę lub też żona musi pójść do kuchni i zająć ją przez czas wynoszenia pakunków. Mówiliśmy o sprawach, które wyjeżdżający załatwić musi. Wyjeżdżającego ogarnia stopniowo „Reisefieber”, odczuwa on, obok pewnego niepokoju o powodzenie zbliżającej się podróży, przyjemność wyjścia na świeże powietrze, pozbycia się na czas pewien kłopotu i obowiązków, związanych z drukarnią.

Wreszcie wszystko zapakowane, ułożone. Ubieramy się szybko, bierzemy w ręce pakunki i świeży numer „Robotnika” opuszcza drukarnię, puszczając się na niepewną podróż do rąk stałych odbiorców pisma. Chwila pożegnania, zaturkotały koła dorożki. Jeden z nas powraca do domu z lekkim niepokojem w sercu, drugi, trochę wzruszony, duma w dorożce nad przejściem przez dworzec wiedeński w Warszawie, dworzec, mocno obsadzony szpiclami i „zielonymi” dozorcami.

\*\*\*

Oto jak wygląda nasza drukarnia w Łodzi. Tak samo mniej więcej muszą i musiały wyglądać drukarnie z czasów przed-łódzkich i po niej. Główna różnica polega nie na zewnętrznym wyglądzie, lecz na osobach. W łódzkiej pracował Józef i Karol (który zresztą na chrzcie świętym otrzymał imię Kazimierza), w innej jacyś ikсы i igreki, z innymi nieco zaletami i wadami, którzy, zależnie od swej psychiki oraz warunków mieszkania i miasta, potworzą sobie inne, odmienne prawidełka postępowania, inny rozkład pracy.

Opowiadano mi np. o jednym z redaktorów „Robotnika”<sup>1</sup>, który był spokojnym tylko wówczas, gdy okno parterowego mieszkania było zamknięte. Z chwilą, gdy dla przewietrzenia lokalu otwarto okno, kręcił się niespokojnie po pokoju, przypinając opuszczone story tak, by jak najszczelniej przylegały do ramy okna. Zwykł był wówczas powtarzać:

– Jeżeli nas co zgubi, to świeże powietrze. Jestem tego pewien!

Albo też wpadał na myśl, że gdy zapalka błysnie w pokoju w czasie roboty, przechodnie z chodników mogą dojrzeć wewnątrz pokoju z maszynką drukarską, wyciągniętą do roboty z szafy. Dla zapalenia więc papierosa wychodził do drugiego pokoju lub usuwał się za szafę. Gdy zaś kto wbrew zakazowi zapalał zapalkę bez żadnej ostrożności, strofował go.

– Nie rób iluminacji! – odzywał się ostro.

O innym towarzyszu, zajęтым w drukarni, opowiadano mi, że nie znosił, by na oknie leżała jaka drukowana książka. Żartowano z niego, że gwałtownie pożąda, by go otoczenie posądziło o analfabetyzm, lecz on, niezrażony, usuwał starannie każdy druk z okna, mówiąc na usprawiedliwienie:

– To jest konieczne! W ten sposób przyzwyczajam siebie i innych – tym „innym” był, naturalnie, jego mniej porządny i systematyczny współpracownik – do porządku. Dziś

---

<sup>1</sup> Dr Feliks Perl.

zostawi się na oknie jakiś druk legalny, a jutro się zauważy, gdy tam leżeć będzie numer „Robotnika” lub odezwa.

Inny znowu utworzył jakoby cały złożony system wieszania odzienia i ręczników w różnych miejscach, system, mający ubezpieczać i osłaniać maszynkę i zecera od możliwych spojrzeń z ulicy do pokoju. System polegał na tym, że wzrok przechodnia, rzucony wypadkowo na mieszkanie, zajęte na drukarnię, spotykał wszędzie jakąś naturalną i nie zwracającą uwagi zaporę.

Co do mnie osobiście, to wyznam, że wątpię, by te prawidełka miały rację bytu, by się przyczyniały do zabezpieczenia drukarni. Widzę w nich jedynie zupełnie zrozumiałe wytwór niepokoju tego lub owego towarzysza, niepokoju, który szuka jakiegoś ujścia, jakiejś roboty w celu usunięcia jego. Walka z „iluminacją” lub coś podobnego jest tym ujściem, tą robotą – uspokaja nerwy, daje pozór czynnego usuwania niebezpieczeństwa, wiszącego ustawicznie nad głową towarzyszy, pracujących w drukarni.

Ta świadomość niebezpieczeństwa wraz z bezsilnością wobec niego oraz poczuciem odpowiedzialności, leżącej na towarzyszach, pracujących przy drukarni, stanowi ogromnie ciężką, wyczerpującą nerwy stronę życia drukarnianego. Przy opisie biur transportowych zauważyłem, że stanowisko to należy do najtrudniejszych i najbardziej męczących w partii. Uogólniając to założenie, zastosować je należy do wszystkich „interesów” partyjnych: biur transportowych, druków, składów.

Wtedy, gdy towarzysze, zajęci agitacją i robotą organizatorską, tworzą w wielkim stopniu te warunki, wśród których pracują, biorą żywy udział w życiu, mają wrażenia i przyjemność czynnego życia – towarzysze, zajęci w „interesach” partyjnych, zależni są od pracy tamtych, przygwożdżeni są do tego lub owego miejsca lub mieszkania, skazani na brak wrażeń i towarzystwa, na monotonne życie i bezsilne oczekiwanie mogącego spaść na ich głowy piorunu w postaci najścia żandarmów. Spróbowałem tego życia i muszę wyznać, że nie uśmiechałoby mi się wcale przykucie siebie do taczki tego lub owego „technicznego interesu” P. P. S.

Z powyższego opisu drukarni łódzkiej widocznym jest, jak mało samo urządzenie drukarni ma „romantycznych” szczegółów, jak prostym i zwyczajnym jest ono. Każde nieledwie mieszkanie, trochę zabezpieczone od ciekawości otoczenia, może służyć, jako lokal dla drukarni. Trochę pozorów, przystosowanych do miejsca, wybranego, jako locum dla drukarni, wystarcza, by wśród ludzi, zajętych przeważnie swoimi interesami, ukryć istotny cel zamieszkania tego lub owego towarzysza. Jak najmniej tajemniczości, jak najwięcej pozorów zwykłego filisterskiego życia – oto zasada konspiracyjna, najbardziej zabezpieczająca drukarnię.

W tak zabezpieczonym mieszkaniu, mając odpowiednią maszynkę, możnaby wydrukować całe mnóstwo rzeczy, całe góry bibuły. Ograniczenia wytwórczości pochodzą przeważnie nie z wewnętrznych przyczyn, lecz z zewnętrznych – z konieczności ograniczania stosunków ze światem poza drukarnią. Te właśnie stosunki, o których przeważnie ludzie, starający się wyobrazić sobie tajną drukarnię, nie myślą wcale, te stosunki są najpoważniejszą przeszkodą produkcji i najbardziej zarazem niebezpieczną rzeczą dla wydawniczego „interesu” partii.

Niektóre stosunki są integralną częścią samej produkcji – jak np. dostarczenie papieru i farby drukarskiej. Inne zaś są koniecznym dopełnieniem drukarni, stanowiącym o celowości jej istnienia – są nimi stosunki ze światem partyjnym, otrzymywanie materiałów, danych i wskazówek dla redaktora oraz wywóz z drukarni wyprodukowanej przez nią bibuły.

Farbę sprowadza się z zagranicy lub też zdobywa się przez stosunki partyjne w tym czy innym miejscu. W tym więc wypadku w dostarczaniu farby drukarnia jest zależna od towarzyszków, zajętych przy innej pracy, i otrzymuje ją przy okazji razem z innymi rzeczami, dostarczonymi do drukarni. Lecz papier prawie wyłącznie jest kłopotem towarzyszków drukarnianych. I kłopot to nielada.

Zdawałoby się, cóż łatwiejszego? Pójść do sklepu, zamówić potrzebną ilość, wziąć na dorożkę i dowieźć do drukarni. Ba! Przede wszystkim papieru tego zużywa się w drukarni dosyć dużo. Każde większe zamówienie zwraca uwagę kupca, chociażby dlatego, że jest to interes, korzystny dla kupca, chcącego, naturalnie, zatrzymać dla siebie nowego klienta. Stąd przy większych zakupach naturalna ciekawość kupca. Przy pierwszym kupnie papieru w Łodzi, gdyśmy z Karolkiem wybierali papier, najodpowiedniejszy ze względu na format, grubość i cenę dla naszej produkcji, usłyszeliśmy od sprzedającego mocno przykre dla nas pytanie:

– Państwo mają drukarnię? – pytał z miłym, ujmującym uśmiechem kupiec.

Co do mnie, gotów byłem za to pytanie huknąć w kark pana kupca. Bo przecie pytanie, chociażby najgłupsze, wymaga odpowiedzi.

– Drukarnię? – odparłem. – Skąd znowu! Nie stać nas na to. Mamy sklep w Tomaszowie, proszę pana.

Wątpię, by odpowiedź bardzo zadowolila interpelanta, który prawdopodobnie lepiej, niż ja, znał okoliczne sklepy i sklepiki z papierem.

Zresztą unikałem w ten sposób innej, również krępującej, propozycji, z jaką się zwykle zwracają do zakupujących większą ilość towaru.

– Gdzie pan każe odesłać? – pyta grzecznie kupiec, z zadowoleniem i szacunkiem oglądając solidnego klienta.

Niech ich diabli porwą z tą grzecznością! Wykręcaj się znowu, znajdź jakąś głupią wymówkę.

To kupowanie papieru to jedna z najprzykrzejszych funkcji w drukarni. Z prawdziwą rozkoszą i przyjemnością patrzy w tym położeniu człowiek na kupca obojętnego, nie nadskakującego, nawet gburowatego.

I oto zbieraj papier, potrzebny dla produkcji, stopniowo, częściami, kalkuluj, czy nie zbyt często się zachodziło do tego lub owego sklepu, zbieraj dane o sprzedaży papieru w mieście, ściągaj nawet papier z miast innych. Licz się następnie z tym, że częste przywożenie pakunków do mieszkania nie należy również do rzeczy konspiracyjnych, że zwrócić to może uwagę otoczenia, zmusić do myślenia stróża, stójkowego, stojącego w pobliżu, służącej z sąsiedniego mieszkania, ciekawszego lokatora itd.

Znacznie przyjemniejsze są stosunki drukarnianych towarzyszków ze światem partyjnym. Stojąc zdaleka od wiru życia partyjnego, będąc przykuci do monotonnej, nużącej pracy, tęsknią oni zawsze do jakiegokolwiek wiadomości o ludziach, im bliskich, walczących pod jednym z nimi sztandarem. Każde zetknięcie się z tym światem partyjnym, czy to będzie przyjazd którego z towarzyszków do drukarni, czy też odwrotnie – wyjazd którego z więźniów drukarnianych w świat – stanowi swego rodzaju uroczystość. Informacje otrzymane zawsze wydają się zbyt skąpymi, rozmowy zbyt urwanymi, dane zbyt niedostatecznymi – tak mało odpowiadają one długim oczekiwaniom.

Głównie żył się przy tych zetknięciach się z ludźmi partii – redaktor. Miał on tysiące wątpliwości przy pisaniu i teraz wymaga rozstrzygnięcia ich.

– Wydaliście odezwę do robotników takiej i takiej fabryki – mówi, – dobrze, ja o tym muszę napisać. Lecz, u licha, nic nie wiem dotąd, jaki był skutek odezw!

Albo też, przerzucając dostarczone mu wydawnictwa, ze złością mówi:

– Znowu nie ma niemieckich wydawnictw. Chcecie, żebym zidiociał w tej dziurze. Nie wymagajcie ode mnie mądrych artykułów, jeśli nie umiecie dbać o moją mądrość.

Zarzuca pytaniami, jakie wrażenie ta lub owa część numeru wywarła, co o numerze mówili itd.

Niestety, pretensje redaktora są zbyt często zupełnie uzasadnione. Przekłęte warunki życia pod batem moskiewskim nie pozwalają na urządzenie porządnego informowania redaktora pisma partyjnego, a niepodobieństwo utrzymywania częstych stosunków z drukarnią uniemożliwia ściśle pozycie jego z ruchem partyjnym.

Te stosunki ze światem partyjnym, chociaż z natury rzeczy rzadkie, stanowią zarazem najpoważniejsze niebezpieczeństwo dla drukarni. Każdy z ludzi partyjnych może przyjść do drukarni, nie będąc „czystym” – jak określa techniczne słowo ludzi, nie mających za sobą ogona w postaci szpiega. Również i towarzysze drukarniani mogą przy wyjazdach „zabrudzić się”, ocierając się o „brudne” stosunki i „nieczystych” towarzyszków.

Naturalnie, niebezpieczeństwo stosunków drukarni ze światem partyjnym stawia poważną tamę produktywności drukarni. Nie ma sensu produkować, gdy towar z fabryki nie może być zabrany. I w tym właśnie kierunku jest zwrócony cały wysiłek maszynierii organizacji, chcącej zwiększyć produkcję swej fabryki bibuły krajowej.

Oprócz większych drukarni bywają urządzone mniejsze, podręczne, przeznaczone dla załatwiania spraw, wymagających szybkości. Do takich właśnie należała odkryta w tym roku drukarenka w Brześciu. Pod względem technicznym stoją one na poziomie przed P. P. S.-owego okresu, chociaż przy energii techników rozwijają niekiedy zdumiewającą czynność.

Jak mnie zapewniano, jedna z nich w przeciągu dwóch miesięcy wydała 29.000 egzemplarzy odezw rozmaitych.

Z jakimi trudnościami mają nieraz do walczenia towarzysze, pracujący w takich drukarniach, sądzić można z faktu następującego.

Gdy partia postanowiła wydawać odezwy żydowskie, sprowadzono trochę czcionek odpowiednich. Na razie jednak nie miano zecera, znającego żargon, a akurat wypadła potrzeba wydania odezwy żargonowej. Myślano długo, jak załatwić ten interes. Wreszcie jeden z towarzyszków wpadł na taki pomysł.

Kupiono alfabet żargonowy i pod każdą literą postawiono odpowiednią literę łacińską. Autor odezwy, napisawszy ją w żargonie, przepisał ją literami łacińskimi, zgodnymi z powyższym alfabetem. Biedny zecer, który nigdy dotąd nie widział dziwacznych liter żargonowych, nieprzyzwyczajony do odwrotnego składania, kładł do winkła literkę obok literki, nie rozumiejąc zupełnie, co robi. Nagle ku wielkiemu zdumieniu zabrakło mu litery „e”. Zdawało mu się, że cała sprawa jest na nic. Na szczęście, miano do czynienia z tak dziwnym językiem, jak żargon. Gdy w kłopotcie zwrócono się znowu do autora odezwy, ten przejrzał raz jeszcze rękopis, wykreślił w niektórych miejscach nieszczęsną literę „e”, zastępując ją jakąś inną i ułożył odezwę tak, by tego „e” wystarczyło na całość.

Z polskimi odezwaniami, naturalnie, tak gładko załatwić się nie można. Trzeba nieraz uciekać się do różnych środeczków zecerskich: przerabiać „e”, „ń” na „e” i „n”, fuszerować, dobierając litery z innego pisma. Widziałem nawet odezwę, z której połowa była złożona jednym pismem, druga zaś część innym. Wielu z czytelników sfuszerowanej odezwy wzrusza zapewne ramionami z powodu takiej drobnostki. Lecz ja pomimo woli obok jakiejś skaleczonej litery, obok fuszerki dostrzegam zakłopotaną, zbiedzoną twarz towarzysza, pracującego z mieczem damoklesowym nad głową w jakiejś izdebce, gdy sięgając po czcionkę do którejkolwiek przedziałki naprędce skleconej kaszty, wyczuje pod palcami pustkę. Trzeba przerwać robotę, obmyśleć sposób wyjścia, zaradzić brakowi. A tu z ro-



botą śpieszyć należy, bo odezwa spóźnić się nie może, termin odebrania jej z drukarni już jest umówiony, na określony już czas przygotowani są towarzysze, którzy odezwę rozpowszechnią.

Kończąc rozdział o drukarniach, chcę z prawdziwą przyjemnością zaznaczyć, że od czasu Łodzi technika drukarska zrobiła krok naprzód. Gdy przeglądam obecne numery „Robotnika”, widzę, że znacznie mniej w nim cech „krajowej” produkcji, niż dawniej. Mniej jest zabrudzonych i bladych, jak twarz suchotnika, stronic, mniej fuszerek w odbijaniu. Jak mnie zapewniano, pochodzi to głównie z tej przyczyny, że obecnie użyta jest do roboty maszynka innego systemu, pozwalająca na zastosowanie większej presji. Oprócz tego, od jubileuszowego – pięćdziesiątego – numeru „Robotnik” zwiększył znacznie swój format. Do każdego numeru dodano nieledwie cztery stronicy dawnego formatu, więc zwiększono go o trzecią część.

W tym czasie zaszła też inna, głębszego znaczenia, zmiana w sprawie drukarni tajnych. Dopóki drukarnia nie przeszła przez próbę ogniową aresztowania, dopóty była ona centralnym punktem życia partyjnego, dopóty istniała wieczna wątpliwość, czy w razie nieszczęścia partia będzie w stanie zapełnić lukę, dopóty wreszcie była ona szczególnym celem dla żandarmerii i jej agentów. Do katastrofy łódzkiej drukarnia, gęstymi zasłonami tajemnicy otoczona, była dla ludzi, rewolucyjnie usposobionych, czymś cudownym, czymś romantycznym, nimbem okolonym, wyglądała, jak mityczna forteca, znikająca z oczu szturmującego do niej wroga.

Lecz oto przyszła lutowa katastrofa – drukarnię aresztowano, wstępny bojem zdobyto tajemniczą fortecę. Nie minęło jednak i dwóch miesięcy, a partia z podziwu godną energią puściła w obieg świeży numer, a po pewnym czasie, koniecznym dla dopasowania maszynierii organizacyjnej do nowych warunków, „Robotnik” zaczął się ukazywać równie regularnie i spokojnie, jak dawniej. To, co przed ośmiu laty uznanym było, jako nadzwyczaj śmiałe, „romantyczne” przedsięwzięcie, to, czego się obawiały „pozytywne” umysły, okazało się wcale nie tak trudnym i nie tak strasznym. Partia pod względem drukarnianym przeszła względnie łatwo przez chrzest ogniowy.

Fakt ten wpłynął na spowszednienie wyjątkowego, podziwianego niegdyś, zjawiska. Ludzie się doń przyzwyczaili, uważając za zupełnie normalną rzecz, by od czasu do czasu widziano numer „Robotnika” z nieobeschłą jeszcze farbą drukarską, by w chwili odpowiedniej pojawiały się odezwy z podpisami centralnego lub lokalnego robotniczego komitetu. Ba! dają się coraz częściej słyszeć pretensje i skargi na to, iż „Robotnik” za rzadko się ukazuje, a wymagania wydawania odezw mnożą się stale. To, co niedawno jeszcze było bohaterstwem „romantyków”, stało się zwyczajnym, szarym obowiązkiem, uznanym przez „najpozytywniejsze” głowy.

Bez wątpienia przyzwyczaili się do produktów krajowej fabryki bibuły i żandarmi. Zwycięstwo, odniesione w lutym 1900 r., musiało grubo zmaleć w ich oczach, gdy skutki tego zwycięstwa okazały się tak diabło małe. Sądząc z rozmów, które miałem z pp. rotmistrzami i podpułkownikami w cytadeli i więzieniu łódzkim, żandarmi mieli wysokie wyobrażenie o ciosie, przez nich partii zadany. Sądząc zaś z zaprzestania taktyki dzwacznych polowań na drukarnię, jakie dawniej były na porządku dziennym, przypuścić należy, iż żandarmi w stosunku do drukarni przeszli również od „romantyzmu” genialnych kombinacji do szarej, pozytywnej pracy łapaczów.

Po sprawie łódzkiej, tak wrogowie wolnego słowa i myśli, jak zarówno i przyjaciele, musieli się przekonać, że produkcja krajowa bibuły nie jest wytworem fantazji rewolucyjnej kilku jednostek, lecz głęboką potrzebą całego mnóstwa ludzi, potrzebą, wymagającą zadowolenia. A wobec tego drukarnia ze sfery fantastycznych projektów narwańców re-

wolucyjnych przeszła w krainę szarej rzeczywistości, stała się jednym z kół szerokiego mechanizmu rewolucyjnego, kołem, mającym istotny sens jedynie wtedy, gdy swymi zębami zaczepiać może inne koła, stanowiąc część ogólnego systemu.

## CYRKULACJA BIBUŁY. SKŁADY

Bibuła, przetransportowana przez granicę oraz wyprodukowana w drukarniach krajowych, musi być rozpowszechniona, w przeciwnym razie byłaby nieużytecznym balastem i ciężarem. Porównałem wyżej drukarnię do koła – części ogólnej maszynerii organizacyjnej. To samo jest i z bibułą, sprowadzaną z zagranicy. Żeby jedno i drugie miało sens, żeby nie było czymś w rodzaju sztuki dla sztuki, trzeba, by te koła były dopasowane do innych części maszynerii, poruszały się zgodnie i harmonijnie. Tą resztą maszynerii dla bibuły jest służba rozwozowa i kolporterka.

Kolporterka jest ostatnim aktem partyjnym w stosunku do tego lub owego egzemplarza bibuły. Jest ona częścią integralną agitacji i czynności organizatorskich. Natomiast służba rozwozowa, dostarczanie większej ilości bibuły do tego lub owego centra organizacji, stanowić musi część techniki, że się tak wyrażę, partyjnej.

Proszę sobie wyobrazić te stosy zadrukowanego papieru, wynoszącego rocznie do stu pudów wagi, proszę przedstawić sobie, że ten cały papier trzeba posegregować na gatunki i w rozmaitych ilościach każdego gatunku dostarczyć do dziesiątków punktów, posiadających rozmaite warunki komunikacyjne, życiowe i policyjne, – a łatwo zrozumieć, że bez jakiegoś systemu, bez cienia chociażby planu w robocie niepodobna spełnić takiej roboty. Dodajmy jeszcze, że organizacja dążyć musi do tego, by oręż agitacyjny, jakim jest bibuła wszelkiego rodzaju, był równomiernie w stosunkach partyjnych rozpowszechniony, by w dostarczaniu bibuły nie było przypadkowości, lecz, przeciwnie, panowała możliwa regularność maszynowa.

W europejskich stosunkach interes ten załatwia się w sposób nadzwyczaj prosty. Pisma mają adresy swych abonentów lub kolporterów, istnieją księgarnie, należące do tej lub owej organizacji i ułatwiające nabycie i rozpowszechnienie tego lub owego wydawnictwa. Do usług pism i księgarni otworem stoi poczta i instytucje przewozowe, jak kolej. Tam, w zaborze rosyjskim, ludzie bez tych rzeczy, do których każdy Europejczyk jest przyzwyczajony, obchodzić się muszą. Adresy przyjaciół, poczta, przesyłki kolejowe – to luksus, zbytek dla nich; więcej, to jest niebezpieczeństwo, okoliczność, ułatwiająca czynność barbarzyńskich prześladowców, ściągająca gromy na głowy tak nadawców, jak zarówno i odbiorców rzeczy, posyłanych legalną drogą.

Te braki kulturalne, z którymi organizacje rewolucyjne liczyć się muszą, wpływać muszą, rzecz prosta, na ogromne zmniejszenie ilości bibuły, kursującej w kraju, szczególnie zaś bibuły, periodycznie się ukazującej, która z natury rzeczy wymaga jakiejś takiej organizacji dla jej rozpowszechnienia. Przez granicę możnaby przetransportować mnóstwo książek, w tajnej drukarni możnaby odbić góry bibuły, lecz z chwilą, gdy w maszynerii organizacyjnej, rozprzestrzeniającej bibułę w kraju, są braki, gdy nie jest ona dopasowaną do ilości wyprodukowanej bibuły, nie będzie ona spożyta, skonsumowana, gdyż najczęściej nie dojdzie do rąk tych, dla których jest przeznaczona.

Przed wszystkim bibuła, jako rzecz martwa, lecz będąca ciałem fizycznym, posiadającym wagę i objętość, musi z centralnych punktów produkcji – granic i drukarni – być przyniesioną lub przywiezioną do jakiegoś również materialnego punktu – mieszkania ludzkiego, mieszkania, z którym konsumenci bibuły w jakiś sposób muszą być związani.

Te mieszkania w języku technicznym zowią się zajazdami i łatwo zrozumieć, że w każdym miejscu, w którym bibuła się rozchodzi, musi istnieć ten pierwszy punkt – zajazd, gdzie bibuła wraz z człowiekiem się zjawia. Zajazdy ze względu na uczucia człowieka, opiekuna przynoszonej lub przywożonej bibuły, dadzą się podzielić na przykre i przyjemne.

Przyjemnymi są te, gdzie człowieka i bibułę spotykają z otwartymi ramionami, gdzie są oni pożądanymi gośćmi, nie wzbudzającymi obawy. Są to przeważnie zajazdy do ludzi partyjnych. Zajeżdżającemu sprawia przyjemność ta właśnie okoliczność, że gospodarz mieszkania dzieli wraz z nim odpowiedzialność zupełnie świadomie i traktuje wraz z zajeżdżającym bibułę i sprawę zajazdu jako swój interes, nie narzucony mu ze strony. Przykrymi są te, które się wyróżniają przeciwnymi cechami, tj. gdy przyjmujący bibułę boją się, tchórzą i człowiek, przywożący lub przynoszący bibułę, odczuwa, że odpowiedzialność cała za bezpieczeństwo interesu spada na niego samego.

Jak łatwo zrozumieć, przyjemnych zajazdów jest znacznie mniej, niż przykrych. Niestety, wraz z przyjemnością zajazdu wzrasta i niebezpieczeństwo, z nim związane. Im bardziej człowiek jest partyjnym, związanym z organizacją, im więcej nici łączy go z ruchem, tym bardziej prawdopodobnym jest, że obok przygotowanego na przyjęcie bibuły zajazdu stoi gdzieś niepożądany „anioł stróż”, „psycholog”, tj. szpicel żandarmerii. Stąd przy poszukiwaniu zajazdów organizacja najczęściej się udaje na najdalsze peryferie ruchu, stara się wynaleźć punkty, jak najmniej z czynnym życiem organizacji związane.

Naturalnie, w wypadkach, gdy z powodu wielkiego znaczenia danego punktu oparcia dla bibuły – znaczenia, czy to z racji większej ilości niecenzuralnych wydawnictw, przezeń przechodzących, czy też absolutnej ich konieczności przy planowym rozkładzie pracy rozwozowej – organizacja nieraz jest zmuszoną odsunąć pewną jednostkę lub grupę od wszelkiej czynnej roboty, by w ten sposób zabezpieczyć dostarczanie bibuły.

Punkty takie stają się częścią maszynierii rozwozowej, kółkami w ogólnym systemie – są to zajazdy ściśle partyjne, przy których ludzie bierną rolę zajazdowiczów łączą najczęściej z czynną rolą dystrybutorów bibuły. Wobec jednak kosztowności takiego urządzenia, kosztowności nie tylko ze względu na pieniądze, lecz i na siły, zużyte dla zorganizowania takich punktów, organizacja najczęściej zadawałać się musi nielicznymi przyjemnymi i licznymi, mniej lub więcej, przykrymi zajazdami.

Liczba zajazdów przyjemnych zmniejsza się jeszcze bardziej wobec tego, że taki zajazd związany jest nieraz ze stykaniem się z osobami, nic wspólnego z ruchem rewolucyjnym nie mającymi. Oto np. syn lub córka, mieszkający przy rodzinie, udzielają swego mieszkania na zajazd. Może on być przyjemnym ze względu na szczere przywiązanie do sprawy części gospodarza mieszkania, lecz nieprzyjemnym z powodu podejrzliwości, a nawet wyraźnej niechęci reszty. Jak mi opowiadano, są zajazdy, gdzie żona w sekrecie do męża przyjmuje i przechowuje bibułę.

W takich wypadkach zastosować się trzeba ściśle do wskazówek, udzielonych przez przyjmujących bibułę. Trzeba się trzymać pewnych, z góry określonych godzin, trzeba nieraz kłamać i grać narzuconą sobie rolę, trzeba często podtrzymywać rozmowę o najrozmaitszych, nieraz zupełnie sobie nieznanym, rzeczach i sprawach. Że nie należy to do przyjemnych rzeczy, że, przeciwnie, musi to nieraz męczyć takiego aktora z musu – łatwo to zrozumieć.

Nieraz taki nieszczęśliwy „aktor” jednego dnia udaje kolegę syna technika i sam, będąc np. lekarzem, rozprawia o szkołach technicznych i nawet w razie potrzeby o różnych technicznych sprawach, na drugi dzień przygotować się musi do rozmowy o gospodarce wiejskiej, o której, jako mieszczuch, najmniejszego wyobrażenia nie ma. I dobrze jest, jeśli go przynajmniej uprzedzą i dokładnie powiedzą, co właściwie myśli o nim ten lub ów nie-

wtajemniczony członek rodziny. Najczęściej wprost zgadywać trzeba należyte odpowiedzi na zapytania lub udawać mruka, człowieka, nie umiejącego i trzech zliczyć. W każdym jednak razie najprzykrzejszym jest uczucie strachu u gospodarzy.

Jeden z towarzyszków, który miał sobie poruczone dostarczenie bibuły do pewnego miasta w Królestwie, tak opowiadał o swym „zajeździe”:

– W mieście N. N. stosunki nasze w tym czasie były strasznie zaszpiclowane i raz po raz zmieniano zajazdy, wyznaczając nowe, bezpieczniejsze. Zajazdy stawały się coraz przykrzejsze, coraz częściej spotykały mnie wydłużone twarze i niechętnie spojrzenia.

Przyszedł jednak świeży numer „Robotnika”, trzeba było go dostarczyć i do N. N. Towarzysz, kierujący tam robotą, przy widzeniu się ze mną w Warszawie powiedział mi na pożegnanie:

– Słuchajcie, teraz z żadnymi pakunkami do nas nie przyjeżdżajcie. Tylko na siebie! Przycisnęli nas tam ostro ze wszystkich stron. Dawne adresy na nic. Dam wam nowy, ale uprzedzam, są to ludzie bardzo, bardzo tchórzliwi. Jak ten osioł, tyle ujedziesz, co ubijesz, co gwałtem wydusisz. Uprzedzicie mnie o dniu przyjazdu. Gdybym się nie zgłosił na randkę, będzie to oznaczało, że źle jest i ze mną. Uprzedzę w każdym razie innego z naszych, by mnie w tym wypadku zastąpił. Noclegu tam u nas nie szukajcie. Klimat tam obecnie niezupełnie zdrowy!

Zmarszczyłem się, gdym się dowiedział, że będę miał do czynienia z tchórzami. Mój towarzysz spostrzegł to.

– No! – dodał – nie podoba się wam taki interes!? Wierzę, ale co ja na to poradzę?

Więc po otrzymaniu „Robotnika” opakowałem się nim jak osioł i, wyprostowany jakbym kij połknął, jazda do N. N.

Przyjeżdżam, oglądam dworzec – rzeczywiście dosyć brzydko wygląda. Ciemnych, podejrzanych figur na dworcu i przed nim dosyć dużo. Oglądają przyjezdnych najbezcelniej. Mnie nikt nie zaczepia, nikt za mną się nie poruszył. Wałę na wskazany adres. Dzwonię. Otworzył mi drzwi młody, porządnie ubrany człowiek z semickimi rysami, który patrzy na mnie pytającymi oczami.

– Przepraszam pana – mówię, – pan Z. polecił mi zejść do pana i poczekać na niego tutaj.

– Proszę, proszę – odzywa się mój amfitrion, – niech pan wejdzie.

Ogląda mnie przy tym podejrzliwie, a gdym zdjął palto i wszedł do pokoju, pyta mnie nieśmiało.

– Pan od pana Z.? Pan Z. mnie uprzedzał, ale pan tylko czekać ma na niego? Czy jakiś inny interes jest jeszcze?

Zawahałem się, czy mam powiedzieć o bibule, którą mam na sobie. Wreszcie postanowiłem zamilczeć i pozostawić tę sprawę do nadejścia Z., któremu, jako znajomemu, łatwiej przyjdzie do porozumienia z gospodarzem.

– Pan dawno widział pana Z.? – zapytałem.

Mój gospodarz zawahał się również chwilkę, wreszcie przyciszonym głosem odpowiedział, że dzisiaj rano wpadł do niego Z. i uprzedził go o mojej wizycie.

– Ale – dodał, – pan ode mnie co zabierze?

Nie zrozumiałem zapytania, ale się przekonał, że dobrze postąpił, nie mówiąc nic o bibule.

– Nie, proszę pana – odpowiedziałem, – nie zabiorę nic.

Twarz mego gospodarza wydłużyła się nieco, lecz zostawił mnie w spokoju. Z miną zagniewaną odszedł do drugiego pokoju, gdzie słyszałem lekkie kobiece kroki i dźwięki

szkła, stawianego na stole. Pora była wieczorna, po podróży w niewygodnej pozycji pić mi się chciało, ucieszyłem się więc nadzieją otrzymania herbaty.

Lecz mój gospodarz drzwi za sobą zamknął i wkrótce z dźwięków, dochodzących do mnie z drugiego pokoju, musiałem wywnioskować, że spotka mię w tym wypadku zawód. Gospodarze, widocznie, postanowili nie zapraszać mnie na herbatę.

Ten brak gościnności rozgniewał mię, ale czekałem cierpliwie. Lecz minęła godzina, o którą się umówiłem z Z., a jego, ani kogo innego z towarzyszków nie było. Wobec tego, że Z. mię uprzedzał, abym nie nocował w N. N., musiałem coś przedsięwziąć – zbliżał się bowiem czas odejścia ostatniego pociągu, którym opuścić mogłem niegościnne N. N. Zdecydowałem się i zapukałem lekko do gospodarza, który z pochmurną miną wyszedł do mnie.

– Przepraszam pana – odezwałem się, – ale będę musiał iść do pociągu, a pan Z. dotąd się nie zgłosił do pana. Będzie pan łaskaw powiedzieć mu, że tu byłem, a oprócz tego zostawię u pana bibułę dla niego. Pan mu ją odda.

Nie skończyłem jeszcze swego przemówienia, gdy mój gospodarz schwycił się za głowę.

– Co? bibułę? – jęczał, – panowie mnie zgubią. Pan zostawił w przedpokoju pakunki z bibułą... tam chodzi służąca... zobaczyć mogła – mówił urywanymi słowami, biegnąc do przedpokoju.

– Ależ, panie – uspakajałem go, – żadnej bibuły w przedpokoju nie zostawiałem.

Gospodarz nie słuchał mnie, jak piorun wpadł do przedpokoju, po chwili wrócił, minę miał ogromnie wystraszoną.

– A co? – wyjąkał – nie ma! Już zgubił mnie pan!

Był zupełnie przybity i przygnębiony, ręce bezwładnie mu wisały. Co do mnie, byłem wściekły, lecz zarazem rozśmieszony.

– Czego pan rozpacza? – rzekłem. – Bibułę mam na sobie, nic się nie stało.

Gospodarz ożywił się. Spojrzał na mnie z pewnym zdziwieniem.

– Na sobie? – mówił, podchodząc do mnie i dotykając palcem ubrania. – Prawda, jest bibuła – potwierdził, spotkawszy pod palcem twardą przeszkodę. – Cóż pan teraz zrobi?

– Co zrobię? – odpowiedziałem, odpinając guziki od kamizelki. – Ot co: zdejmę z siebie i zostawię u pana.

Gospodarz, który niespokojnie śledził moje ruchy, nagle porwał mię za ramię i wciągnął do kąta, oddalonego od okna.

– Co pan robi? co pan robi? – szeptał mi wystraszonym głosem, – pan mnie gubi. Czy pan wie, kto tam mieszka? – pytał, wskazując przez okno na przeciwległą kamienicę z rzęsiście oświetlonymi oknami.

– Nie – przyznałem się, – nie wiem. A co?

– I ja nie wiem – mówił ku memu zdumieniu gospodarz, – ale czy pan zaręczy, że tam nie mieszka żandarm albo szpicel, czy pan zaręczy, że on tam przy oknie nie siedzi od dawna i nie pilnuje mnie i moich gości?

Przestрах mego gospodarza wzmagał się z każdą chwilą, z każdym słowem, wychodzącym z ust jego. A miał minę tak zrozpaczoną i tak komiczną zarazem, że ledwie powstrzymał od wybuchu śmiechu. Postanowiłem jednak nie zwracać nań uwagi i w tym kącie, odwrócony od okna, wyjąłem spod ubrania owiniętą w papier bibułę. Gospodarz, który z rozpaczą patrzył na mnie, zrezygnowany i bezradny, wziął z moich rąk pakunki. W tej chwili u drzwi brzęknął dzwonek. Bibuła wypadła z rąk gospodarza, zbladł on śmiertelnie.

– Pan Z. – uspakajalem go. – Niechże pan pójdzie otworzyć. Nie bój się pan! Jeżeli to żandarmi, przyznam się do bibuły, powiem, że moja. Niech pan w takim wypadku powie, że mnie pan nie zna, że zaszedłem do pana i wpychałem gwałtem te pakunki, że...

Nie dokończyłem, bo do pokoju już wchodził Z. Służąca otworzyła mu drzwi.

– Przepraszam – odezwał się z progu, – przepraszam, spóźniłem się nieco.

Mój gospodarz odetchnął, kolory powróciły mu na policzki. Z pewnym wyrzutem mówił do Z.:

– Pan mi nic nie powiedział, że ten pan – wskazał na mnie – przywiezie bibułę.

– Nic się nie stało – odparł Z. wesoło, – przecież, gdybym panu to powiedział, to pan albyś odmówił, albo jeszcze gorzej – zgodził się, a potem w potrzebnej chwili wyszedł z domu, zostawiając towarzysza na łaskę losów. Nic się nie stało, uspokójcie się!

– Ale pan zabierze to, co obiecał? – pytał jeszcze niespokojnie gospodarz.

– Zabiorę, zabiorę – mówił Z., klepiąc go po ramieniu. Z. odprowadził mnie na stronę i wyjaśnił sytuację. Rano wpadł do naszego gospodarza, uprzedził go o moim przybyciu po południu. Miał przy sobie kilka egzemplarzy „Przedświtu”, które mu zostały po rozdaniu ostatniego numeru, a że po południu musiał pójść do paru dosyć „brudnych” miejsc, nie chciał mieć przy sobie bibuły. Prosił więc niegościnnego gospodarza, by do wieczora przechował te egzemplarze „Przedświtu” i obiecał zająć sam po nie lub przysłać kogokolwiek. W ten sposób zmusił niejako tchórzliwego gospodarza do oczekiwania.

Zrozumiałem teraz pytanie, z którym mnie spotkał gospodarz oraz jego kwaśną minę. Te parę egzemplarzy „Przedświtu” paliły go, chciał czym prędzej ich się pozbyć, a moja odpowiedź zrobiła mu zawód.

W istocie, gdy usłyszał od Z., że i „Przedświt” będzie zabrany, skoczył do drugiego pokoju. Po chwili wyszedł stamtąd, trzymając w jednym ręku rulonik bibuły, w drugim szklanek herbaty.

– Może wypijecie szklanek herbaty? – zwrócił do mnie uprzejmie.

Wypiłem czym prędzej herbatę, słuchając różnych poleceń Z., umawiając się z nim na przyszłość. Po chwili opuściłem N. N.

Naturalnie, takie przyjęcie bibuły oraz takie wybiegi w celu urządzenia zajazdu są wyjątkowymi. Lecz często drżączka gospodarzy, przyjmujących bibułę, ich trwożliwe spojrzenia i pytania dają się we znaki towarzyszom, rozwożącym bibułę po kraju.

W każdym razie przytoczone opowiadanie świadczy, że nie zawsze jest łatwo urządzić zajazd dla bibuły. Dla każdego zajazdu trzeba możliwie ściśle się umawiać o termin przybycia bibuły, o porę dnia, która dla obydwóch stron, dającej i odbierającej, jest najdogodniejsza, trzeba uprzedzić tak jedną, jak drugą stronę o tym, kogo spotkać mogą przy zetknięciu się, nieraz opisać wygląd i zewnętrzne cechy przyjeżdżającego lub spotykającego. Wreszcie dla uniknięcia wszelkich rozpytywań o adresata trzeba odwożącemu bibułę dokładnie opisać, w jaki sposób ma on trafić do zajazdu. Najczęściej w tym celu rysuje się plan, obejmujący nieraz całą drogę od jakiegoś znanego punktu do drzwi mieszkania, przeznaczonego na zajazd. Omyłka lub niedokładność w takiej umowie może nieraz pociągnąć za sobą przykre, kłopotliwe następstwa.

Opowiadano mi o zabawnej scenie, która miała miejsce w niewielkim prowincjonalnym mieście z powodu takiej omyłki.

Jeden z młodych towarzyszków miał zawieźć do tego miasta bibułę. Inny, znający dokładnie tameczne stosunki, wytłumaczył mu możliwie dokładnie drogę od dworca kolejowego do zajazdu.

– Od dworca – mówił – ulicą na lewo. Miniecie jeden róg na prawo, w drugą ulicę na prawo skręcicie. Numerów tam nie ma, zresztą będzie jeszcze ciemnowo, gdy tam przyje-

dziecie. Ale po lewej stronie ulicy poznacie kamienicę, do której iść macie, po tym, że jest nieco wyższą od otaczających ją domów i przy bramie sterczy z muru kamień płaski, mogący służyć za ławkę. Jest to mniej więcej dwunasta kamienica od rogu. Przez bramę wejście w podwórze, w prawej oficynie pójdziecie po schodach aż do skutku, na samą górę. Tam drzwi na prawo. Biletu wizytowego nie ma, dzwonek również. Zastukacie do drzwi mocno trzy razy. Otworzy wam facet niemłody, dosyć tęgi, z wąsami, bez brody. Zapytacie: czy tu mieszka p. Bacewicz i powołacie się na moje konspiracyjne imię. To dzielny chłop, nasz agitator. Od niego weźmiecie zamówienia na przyszłość, korespondencje dla „Robotnika” i pokwitowania. Monety tam teraz nie otrzymacie, ale jeśli będą mieli, to weźcie.

Nasz towarzysz z małym zawiniątkiem, zawierającym bibułę, wyruszył. Przyjechał do owego miasteczka nad ranem, gdy wszyscy mieszkańcy jeszcze spali. Zgodnie ze wskazówkami minął ulicę, odchodzącą na prawo, skręcił w drugą, szedł dosyć długo, lecz kamienicy wskazanej jeszcze nie dostrzegł. Zaczęło go to niepokoić, lecz nagle spostrzegą ów kamień, sterczący z muru. Wchodzi do otwartej już bramy, ale z wielkim zdumieniem spostrzega, że prawej oficyny kamienica nie posiada. Zakłopotany, ogląda się po podwórzu, gdy nagle słyszy za sobą głos:

– A kogo tu pan szuka?

Za nim stał stróż kamieniczny z miotłą w ręku.

– Czy nie mieszka tu pan Bacewicz? – pyta nasz towarzysz niespokojnie.

– Bacewicz? – cedził flegmatycznie stróż – nie, nie mieszka. Ale, czekaj pan, taki tęgi, wąsaty? Co? No, to mieszkał, mieszkał tu dawniej, a jakże. Ale teraz nie ma.

– Może wiecie, gdzie się przeniósł? – pyta towarzysz.

– Wiem, niedaleko, na ulicę – tu wymienił jakąś nazwę ulicy, o której nasz towarzysz pierwszy raz w życiu słyszał.

– Nie znam miasta – przyznał się towarzysz, – jak mam na tę ulicę trafić?

– Trafić? – odparł stróż – łatwo. Chodź pan!

Wyprowadził go za bramę i, wskazując na dalszy ciąg ulicy, mówił:

– Pójdzie pan dalej. Widzi pan na rogu dom duży, to tam. A jakże, wiem, pomogąłem temu panu przenosić rzeczy.

Nasz towarzysz ruszył we wskazanym kierunku, dotarł do narożnej kamienicy. W istocie kamienica była duża. Zaczął podejrzewać, że się omylił, bo przecie przy dawaniu informacji mówiono mu, że zajazd jest w największym domu na ulicy, a tym czasem ten, przed którym stał obecnie, był znacznie wyższy od poprzedniego. Lecz trzeba było brnąć dalej. Stróż zamiatał przed kamienicą ulicę.

– Czy tu mieszka pan Bacewicz? – pyta znowu.

– Tu, proszę pana, – odpowiada stróż – po frontowych schodach, na drugim piętrze na lewo. Ale tam jeszcze śpią, – ostrzega stróż.

– To nic, obudzę – odpowiada towarzysz, zadowolony, że dotarł nareszcie do celu. Trochę go to dziwi, że robotnik mieszka przy frontowych schodach, ale idzie na owo piętro. Jest i dzwonek. Dzwoni. Po chwili słyszy głos kobiecy za drzwiami:

– Kto tam?

– Przepraszam – mówi, – czy tu mieszka pan Bacewicz?

– Tu, ale śpi, proszę przyjść później – odpowiada kobieta za drzwiami.

– Jestem z drogi, mam pilny interes do pana, proszę obudzić – odpowiada towarzysz.

Głos za drzwiami milknie, po chwili drzwi się odmykają, przed naszym towarzyszem stoi w białym ręczniku mężczyzna z zasnętą twarzą.

– Czego pan chce, do diabła? – mówi gospodarz opryskliwym głosem.



– Przepraszam pana, ja od pana Stanisława – mówi towarzysz, robiąc nacisk na imieniu.

– Od jakiego pana Stanisława? – burczy gospodarz, a widząc, że nasz towarzysz milczy, wpada w wściekłość. – Kto pan jest? – krzyczy. – Czego pan ludzi po nocy napastuje?

– Przepraszam pana – mówi towarzysz, zaczynając się przekonywać, że zaszła jakaś omyłka, – czy z panem Bacewiczem, szewcem, mam do czynienia?

– Co? – wpada w pasję gospodarz, – szewcem? Bacewiczem? Ja nie żaden szewc i nie Bacewicz, tylko urzędnik i Pacewicz. Jakim prawem pan mnie napastujesz po nocy? – rzuca się mężczyzna w negliżu, podnosząc potężną pięść pod nos towarzyszowi, – ja pana na policję odeślę! Toż to gwałt na równej drodze! Szuka szewca po nocach! Co?

Lecz towarzysz nasz nie słuchał już, a szybko zmiatał po schodach na dół. Poszedł wprost na dworzec i wyjechał z bibułą z powrotem.

Jak się okazało potem, informacje i plan nie były zupełnie dokładne. Informacja głosiła, że należy minąć pierwszą ulicę, idącą na prawo od drogi, łączącej dworzec z miastem. Lecz informator zapomniał dodać, że przed tą pierwszą ulicą odchodzi na prawo coś w rodzaju ulicy, jeszcze niezabudowanej, którą ludzie miejscowi za ulicę uważać jeszcze nie chcą. Nasz niefortunny towarzysz, nieuprzedzony o tym, uważał tę drogę za ulicę i nie doszedł do miejsca, gdzie mu skręcić należało.

Dodać jeszcze muszę, że nazwiska, przytoczone w tym opowiadaniu, są zmyślane. W rzeczywistości były one inne, lecz różnica pomiędzy nazwiskami poszukiwanego towarzysza i odnalezionego filistra polegała na tym jedynie, że się zaczynały od różnych, lecz pokrewnych ze względu na brzmienie liter.

Z tych opowiadań łatwo wywnioskować, jak skomplikowaną nieraz bywa służba rozwozowa. Bo proszę sobie wyobrazić, że oprócz trzymania w swej pamięci mnóstwa drobnych szczegółów adresu i warunków życiowych w zajeździe, a raczej w zajazdach, niezapominania o terminach, sposobach wejścia i pytania o potrzebnych ludzi, trzeba się wciąż jeszcze liczyć ze zmianami, jakie ustawicznie w tym lub owym miejscu zachodzą. Wszystkie szczegóły jakiegokolwiek zajazdu, już utrwalone w pamięci, muszą być zastąpione przez nowe przy zmianie zajazdu, zmianie, niestety, zbyt częstej w walce z żandarmerią i szpiclami.

Dodajmy do tego, że na obowiązku towarzyszków, rozwożących bibułę, leżą jeszcze i inne sprawy. Przy unikaniu poczty i korespondencji listownej, która żandarmom dostarczyć może niezbitych dowodów czyjejkolwiek winy i naprowadzić ich jest w stanie na ślady knowań rewolucyjnych, ludzie, chcący się porozumieć w jakiegokolwiek sprawie ze swymi współtowarzyszami organizacyjnymi w innym mieście, muszą dokonywać tego za pomocą i przy pośrednictwie ludzi, mogących mieć stosunki i widzieć się z członkami organizacji w różnych miejscach. Przy każdej więc wizycie towarzysza z bibułą załatwiają się wszystkie interesy miejscowych członków organizacji do zamiejscowych. Zamówienia na bibułę, zmiany w ilości potrzebnych egzemplarzy periodycznych wydawnictw partii, zakomunikowanie takiej lub innej wiadomości, dane o członkach organizacji, którzy się przenieśli do innych miejscowości – wszystkie te, drobne nieraz, szczegóły życia rewolucyjnego obciążają niesłychanie już i tak przez szczegóły zajazdów obciążoną pamięć rozjazdowych towarzyszków. Mówię: pamięć, bo większość tych szczegółów dla konspiracji nie zapisuje się wcale, a jeśli i zapisuje się, to w jakiś dziwny sposób, mogący zaledwie ułatwić, lecz nie zastąpić robotę pamięci.

Proszę sobie teraz wyobrazić, że stosunki organizacji obejmują ogromny kawał kraju, sięgają do miasteczek powiatowych, a nawet ostatnio i na wieś, że te stosunki nie są jednorodne, lecz rozmaite pod względem składu członków organizacji oraz pod względem „czy-

stości” policyjnej, że wreszcie ta setka pudów bibuły, stanowiąca roczną konsumpcję organizacji, jest w stanie, że tak powiem, płynnym, tj. ustawicznie się rusza z miejsca na miejsce – a zrozumiemy, jak ciężką i kosztowną jest praca rozwozowa. Jeden z towarzysów, który dłuższy czas pracował w tej branży, mówił mi o tej pracy w te słowa:

– Jestem człowiekiem, dopóki nie siądę do wagonu. Mogę wówczas myśleć, czytać. Z chwilą, gdy włączę do tego pudła, – idiocieję. Słowo daję – mózg mi kamienieje. Po głowie kręcą się tylko takie myśli: „o godzinie tej a tej będę tam – drzwi na lewo, bilet wizytowy jest; muszę zdążyć do wieczornego pociągu, bo na następny dzień randka w innym mieście, tam od dworca prosto, trzecia ulica na lewo, kamienica, czerwonymi cegłami upiękaszona; tam bibułę oddać, powiedzieć, że z Warszawy przeniósł się do nich stolarz taki a taki, zapytać o to czy owo, hasło gdzie indziej zawieźć itd. – godziny, na prawo, na lewo, liczba pięter, wyglądy facetów, mnie opisywanych” – oto moje myśli wagonowe. Głowa przestaje myśleć, staje się jakąś maszynką pamięciową.

– I wiesz – dodawał, – do czego zawsze tęskniłem? Do porządnego planu w robocie. Taka robota wówczas tylko idzie dobrze, gdy upodabnia się do maszyny, działającej z zegarkową regularnością. Ale gdzie tam! Taka maszynowa robota trwać może najwyżej miesiąc. A tam, zaledwie się do niej wciągnął, już nastąpi cokolwiek – jakaś wyspa, nieprzewidziane przeszkody na granicy lub w drukarni, nagłe wypadki – jesteś wyrzucony z kolei, pociąg schodzi z szyn, turkocze rozpaczliwie po podkładach, wreszcie staje. I znowu rozpoczynaj nowe umowy, odwołuj naznaczone terminy, szukaj nowego planu i rozkładu roboty. Przeklęta robota!

Inny towarzysz, w tym samym oddziale pracujący, opisywał swe wrażenia nieco inaczej. Był to młody chłopak, który od prowincjonalnej, spokojnej roboty został wzięty właśnie do pracy rozwozowej. Trafił on widocznie akurat na czasy względnie nieawanturnicze, gdy owa „maszynowa robota” była możliwa. Był zachwycony.

– Nigdy – mówił – nie przypuszczałem, że jesteśmy tak silni. Wszędzie są nasi, wszędzie idzie praca rewolucyjna. Kiedym dawniej czytał „Robotnika” i spotykałem korespondencje z różnych stron kraju, nie umiałem poza tymi wiadomościami dojrzeć ludzi, którzy tym lub owym się wzruszają i tak lub inaczej są z nami związani. Dopiero przy osobistym zetknięciu z nimi przekonałem się o realności różnych rzeczy organizacyjnych. I jaka to ogromna robota! Jak przyjemnie czuć się kołem w ogromnej maszynie, która całą siłą pary ciągnie w świetlaną przyszłość naszą ojczyznę! Nigdy, patrząc ze strony na roboty partyjne, nie przypuszczałem, że panować tam może taka regularność i takie powiązanie części organizacji ze sobą.

Przyszły jednak i ciężkie dni, dni trwogi i kryzysu, gdy nici organizacyjne rwą się i pękają, gdy dzisiaj staje się niepodobne do wczoraj, gdy, stawiając krok, nie jesteś zupełnie pewnym, czy go stawiasz celowo i produkcyjnie. Towarzysz, o którym mowa, nieco się zdekongertował – poznał odwrotną stronę medalu. O partii i jej przyszłości nie wątpił, lecz był zły na świat cały.

– Tak było dobrze i pięknie! – mówił, – a tu masz diable kaftan! Okazało się, że ta piękność – to budowa na piasku, wiecznie się rozsypująca i nietrwała. I czy tak długo będzie? Ile my już zmarnowaliśmy sił, pieniędzy i czasu na to samo, co jeszcze wczoraj tak łatwo było skutecznić!

Był zakłopotany, niepewny, wahający się. Trochę go uspakajała równowaga starszych towarzysów, którzy już przeżyli niejedną taką burzę, z niejednego zawikłania już wyszli i którzy z filozoficznym spokojem patrzyli na rozbitcie tego lub owego planu, na zrujnowanie tej lub owej części organizacji, na taki lub inny zawód czy rozczarowanie.

Najwspanialej jest opracowana praca rozwozowa wydawnictwa krajowego – „Robotnika”. Pod tym względem partia nie żałuje ani kosztów, ani sił, by zapewnić swemu pismu możliwie szybkie rozpowszechnienie we wszystkich stosunkach partyjnych. Nieraz partia urządza się w ten sposób, że w większości poważniejszych ognisk życia organizacji „Robotnik” dochodzi do rąk swych stałych odbiorców w dzień wyjścia z tajnej drukarni. Reszta otrzymuje „Robotnika” w dwa, trzy dni po wyjściu i tylko najdalsze zakątki, najgłuchsze dziury, gdzie stosunki są drobne i nieliczne, czekać muszą tydzień, niekiedy i więcej, na okazję, przy której się załatwiają wszystkie interesy partyjne z całą okolicą. Ładnie wygląda rozpowszechnienie „Robotnika” w samej Warszawie, pochłaniającej więcej, niż trzecią część nakładu.

Oto w określonym z góry punkcie – zajeździe, specjalnie w tym celu przygotowanym – w naznaczonym na kilka dni przedtem terminie, ścisłym aż do godziny, lecz znanym tylko nielicznej garstce najbardziej zaufanych ludzi, zjawia się towarzysz z „Robotnikiem”, którego dwie ostatnie strony jeszcze niezupełnie obeschły po wyjściu spod prasy. Już nań oczekują przygotowani do tej czynności „dromaderzy” i „dromaderki” – towarzysze i towarzyszki. W jednej chwili cała kupa papieru jest podzielona na części, odpowiadające podziałowi organizacji warszawskiej. W pół godziny, najwięcej godzinę lub dwie, nie zostaje w zajeździe ani śladu „Robotnika”. Wyruszył on na najbliższy etap, do mieszkań, wyznaczonych przez głównych kierowników poszczególnych części organizacji.

Tam następuje nowy podział na drobniejsze już działy, zawierające jednak nieraz pięćdziesiąt i trochę więcej egzemplarzy. Te są przeznaczone dla głównych organizatorów zgrupowanych stosunków. Jest to ostatni etap, gdzie „Robotnika” dnia tego oczekują. Dla reszty stosunków „Robotnik” jest niespodzianką. Tutaj terminy – godziny i minuty – są rozmaite, zależnie od warunków życiowych tych ludzi, którzy się zajmą dalszym podziałem, dalszym rozpowszechnieniem „Robotnika”. Lecz w wyjątkowych jedynie wypadkach, gdy w danej grupie stosunków coś przed samym wyjściem „Robotnika” się zepsuło, przygotowane egzemplarze czekają dnia następnego. Zwykle idą w kurs tegoż dnia.

Organizatorowie rozdrabniają jeszcze bardziej otrzymaną kupkę „Robotnika”. Już wyznaczyli na ten dzień pod rozmaitymi pozorami randki zaufanym ludziom ze swych stosunków. Randki zaś są obliczone tak, by móc jednego dnia załatwić je wszystkie. Najczęściej więc w dniu wyjścia „Robotnika” jest on w ręku ogromnej większości członków organizacji. I tylko dalszą drogę, wędrówkę z ręki do ręki, z domu do domu, z miast do miasteczek i na wieś – odbywa „Robotnik” już wolniej, bez pośpiechu.

Periodyczna bibuła pochodzenia zagranicznego nie może korzystać z tak wyrównanej, zawczasu przygotowanej drogi. Nie może, bo terminu jej nadejścia niepodobna wobec stosunków granicznych określić ze ścisłością. Rozpowszechnienie więc czy to numeru „Przedświtu”, czy „Światła”, czy jakiego innego pisma nie idzie tak szybko i tak regularnie, jak opisane wyżej doręczanie odbiorcom „Robotnika”. Trwa ono tygodniami całymi i najczęściej brak w nim planu, specjalnie na ten wypadek wyrobionego. Dzisiaj któryś z numerów, np. „Przedświtu” jest w Warszawie, a w jakimś Radomiu lub Kownie może się ukazać dopiero za tydzień, w zależności od tego, czy w tym czasie były jakie „okazje” partyjne, czy towarzysze, zajmujący się rozwożeniem lub łączeniem pojedynczych organizacji lokalnych w jedno, mieli właśnie tam interesy do załatwienia. W każdym jednak razie bibuła periodyczna, mająca z góry określoną liczbę odbiorców, nie sprawia tak wielkiego kłopotu, jak bibuła książkowa i broszurowa.

Przy pracy z tą ostatnią znika z natury rzeczy wszelka regularność i określoność. Bo proszę: dzisiaj w tym stosunku może być potrzebna taka broszura, jutro inna, stamtąd żądają dużo rzeczy do czytania, skąd inąd mniej. Książka i broszura nie jest pismem i przy

większym rozpowszechnieniu wymaga istnienia księgozbioru, z którego przy potrzebie możnaby wziąć akurat tyle egzemplarzy, ile się chce lub wymaga. Na całym świecie dla zadowolenia tej potrzeby istnieją księgarnie i, naturalnie, coś podobnego do księgarni musi być urządzonym i dla bibuły broszurowej, jeśli broszura i książka ma być nie czymś wypadkowym, lecz stałym zjawiskiem.

Rolę księgarni spełniają tzw. w języku technicznym „składy” – składy bibuły. I jedną z trosk najdrobniejszej nawet organizacyjki lokalnej jest urządzenie takiej właśnie księgarni – składu na swe potrzeby.

Jak każdy łatwo zrozumie, te poszczególne składziki muszą być w jakimkolwiek związku z pokaźniejszymi składami, odgrywającymi względem nich taką rolę, jaką odgrywają hurtowne składy dla handlowców detalicznych. Muszą istnieć źródła, z których możnaby czerpać odpowiedni towar w odpowiednich ilościach. Jeżeli zaś sobie przedstawimy, że stosunki organizacji są liczne i szeroko rozgałęzione, że z konieczności grupować się one muszą koło jakichkolwiek ognisk, będących centralnymi jedynie dla pewnej części stosunków, zrozumiemy, że te pokaźniejsze składy, będąc hurtownymi dla najdetaliczniejszych składzików, muszą swoją kolejną mieć jeszcze bardziej centralne źródło – centralną lub centralne księgarnie-składy. Jest to więc cała sieć mniejszych i większych składów-księgarni, obsługujących odpowiednio do swej wielkości jakąś jedną fabrykę lub fach w danym mieście, albo też całą serię takich drobnych księgarnek.

Najbardziej pokaźnie i poważnie wygląda, naturalnie, skład centralny, główny, nie bawiący się wcale w żadne detaliczne stosunekczki. Gdyby kto jednak przypuszczał, że jest on choć nieco podobnym z zewnętrznego wyglądu do najmniejszej nawet księgarni, gruboby się omylił. Przeciwnie, przypuszczam, że gospodarze takiego składu, jak ów towarzysz z drukarni, co to życzył sobie, by otoczenie go podejrzewało o analfabetyzm, unikają jak najstaranniej każdej, widocznej dla otoczenia, rzeczy, mogącej mieć coś wspólnego z książkami.

Taki skład jest partyjnym interesem równie dobrze, jak i drukarnia, i, naturalnie, musi być zabezpieczonym, jak i ona, od wszelkich bezpośrednich stosunków z czynnym życiem partyjnym.

Różnica pomiędzy składem a drukarnią polega na tym, iż skład musi być urządzony tak, by bez narażania jego pozorów możnaby było mieć z nim częste stosunki.

Jeden z towarzyszków, który z obowiązku partyjnego musiał mieć częste z głównym składem stosunki, tak go opisywał:

– Skład główny – mówił on – był umieszczony u niezamożnej wdowy, staruszki, która zajmowała z córką niewielkie mieszkanie w dużej kamienicy. Przyznam ci się, że lubiłem tam bywać. Nie uśmiechaj się podejrzliwie, córka wcale nie była dla mnie tym magnesem przyciągającym.

Panna rozsądna, dosyć inteligentna, ale nie w moim guście. Natomiast serdecznie byłem przywiązany do staruszki – gospodyni składu. Co za serce, współczujące każdej biedzie, każdemu nieszczęściu, miała ta kobieta! Jaką zachowała świeżość uczuć! Wiesz, może mię nazwiesz trochę sentymentalnym, ja nabieram zawsze odwagi do życia, gdy spotkam kogo ze starszej generacji, zdolnego do odczucia potrzeb nowych pokoleń.

– Pomyśl – dodał, – przecie ci ludzie przeszli przez takie próby, o jakich nam się nie śniło. Przeżyli, przeboleli straszny rok 1863. Nadzieje z wiosny ich życia brutalnie rozbito, wciśnięto ich w nowe, znacznie więcej skomplikowane warunki życiowe. Serce mieli czułe, więc w tym życiu każdy krok ich musiał być łzą serdeczną – i pomimo to zachować zdolność, jeśli nie do zrozumienia, to do odczucia nowych, całkiem nieznanych dotąd, prądów, często wyszydzanych i oplwanych przez ich otoczenie. Zdawałoby się, że tam, w ich

sercu, w najlepszym razie są zawarte jedynie groby posepne i krzyże mogilne, a tym czasem spostrzegasz, że jest ono zdolnym do bicia w takt z najmłodszymi, z najbardziej żądnymi życia sercami.

– Ale do rzeczy – mówił nieco wzruszony. – Nasze panie zajmowały dwa niewielkie pokoiki, umeblowane nieco po staroświecku. Sługi nie miały, bo dochody ich były bardzo skromne. Córka miała kilka lekcji, matka trochę uciulanego grosza. My dla składu odnajmowaliśmy jeden pokój. Skład urządzony był w pokoju sypialnym, gdzie stał duży kosz, będący naszą księgarnią. Niekiedy, gdy bibuły zbierało się więcej, oprócz kosza napełniało się i walizki, przechowane pod łóżkiem. W koszu na górze leżała książeczka rachunkowa. Każda broszura, każda książka miała osobną stronicę, na której się zapisywało dochód i rozchód danej książki. Obok leżał plan kosza, ułatwiający poszukiwanie potrzebnych książek. Gospodyni pilnie przestrzegała, by każdy z upoważnionych do czerpania z zapasów bibuły nie zapomniał zapisać, co wziął ze składu. Porządek zaś w koszu i walizkach był starannie utrzymany. Nigdy mi się nie zdarzyło nie znaleźć poszukiwanego tytułu w odpowiednim miejscu podług planu.

Gdy się wychodziło ze składu do pokoju neutralnego, zastawało się zwykle gospodynię, przyrządzającą herbatę. Nie było sposobu wymówić się od zadowolenia gospodyni pod tym względem.

– Ależ niech pan siada – mówiła staruszka, – nie puszcę pana bez herbaty. Nabiega się, namęczy chłopiec, to musi mieć apetyt. Wy tam biedacy nieraz bez obiadu cały dzień przebiegacie. Musi pan cokolwiek przegryźć!

Przy herbacie umawiano się o następne wizyty, o czas, gdy którakolwiek z gospodyń musiała być w domu. Gospodyni polecała, by powiedzieć komu należy, że tego lub owego wydawnictwa jest już mało lub wcale nie ma. Wreszcie odpowiednio do ilości bibuły wywoziło się ją w walizce lub wynosiło na sobie.

Mniej więcej tak samo wyglądają i mniejsze składy w różnych ogniskach życia partyjnego – następne etapy bibuły po wyjściu ze składu głównego. Lecz w tym wypadku niepodobna najczęściej urządzać je, jako partyjne interesy, i tak samo, jak z zajazdami, trzeba wyruszać na poszukiwanie mieszkania dla składu za peryferie organizacji i ruchu, jako najbardziej zabezpieczone od napaści żandarmów i od ataków szpiclowskich. Peryferie jednak, jak to zaznaczyłem już przy zajazdach, mają tę złą stronę, że bardziej, niż czynna armia, podlegają uczuciu strachu i bardziej są kapryśne w drobiazgach przy stosunku z tym życiem. Więc ludzi, stanowiących łącznik pomiędzy składem a organizacją, bardzo często spotykają te same przykrości, o jakich mówiłem, opisując zajazdy.

W jednym wypadku trzeba się trzymać ściśle godzin i nawet minut, w ciągu których jedynie skład załatwia swe czynności; w drugim – nie może utrzymywać stosunku ze składem mężczyzna, w innych, odwrotnie, kobieta. Najczęściej zaś urządzenie składu zależy od osobistego zaufania gospodarza lub gospodyni składu do osoby, zarządzającej go, i wszelka nowa figura w tych wypadkach budzi strach i podejrzenie. W razie więc aresztowania tej osoby następuje najczęściej panika, która nieraz prowadzi do niszczenia bibuły, z takim kosztem i poświęceniem dostarczonej do składu. W ogóle paniczny strach na peryferiach ruchu stanowi zwykle jeden z najbardziej dających się we znaki kłopotów organizacji. Bywa on komicznym, nie przestając jednak być kłopotliwym.

Jeden z towarzyszków opowiadał mi właśnie o takim wypadku w sposób następujący:

– Bibułą – mówił mi – w Wilnie rządził przez dłuższy czas towarzysz Michałowski<sup>1</sup> (umarł po powrocie z wygnania w 1899 r.). Michałek nie odznaczał się ani porządkiem,

---

<sup>1</sup> Leon Michałowski, działacz P. P. S. z Wilna, znany z ogromnej siły fizycznej, zmarły w 1899 r. po powrocie z zesłania.

ani systematycznością. Miał talent teroryzowania różnych swych znajomych i bez ceremonii zostawiał u nich na przechowanie ten lub ów pakunek z bibułą, besztając ich przy tym, że są głupimi burżujami. Zapewniał każdego z nich, że im się nic nie stanie, że wewnątrz każdej paczki zostawiał kartkę, głoszącą, że ta bibuła należy do niego, Michałowskiego, co też rzeczywiście robił.

Było to w początkach ruchu P. P. S-owego i młoda organizacja nie wypracowała jeszcze ani porządnego planu działań, ani usystematyzowała swej maszynierii. Jak w sprawie bibuły i drukarni tajnych, tak i w sprawie maszynierii organizacyjnej P. P. S. była pionierem, przekładającym nowe ścieżki, niewydeptane dotąd przez poprzedników na polu rewolucyjnym. Nic dziwnego, że organizacja kłopotów i przeszkód miała mnóstwo. Bibuły np. było dużo, lecz często spotykało się kłopoty i przeszkody w jej ulokowaniu. Na pomoc w tych wypadkach zawsze przychodził Michałek.

– Co u czorta! – mówił swym śpiewnym, litewskim akcentem. – Bibuła? Dawajcie ją mnie, już ja się nią zaopiekuję. U mnie w Wilnie spokojnie, niech leży!

Bibułę brał i rozlokowywał ją u różnych znajomych. Lecz że ani spisów bibuły nie prowadził, ani też sam dobrze nie wiedział, gdzie i co u niego leży, wkładał się więc stopniowo nieporządek i bezład okropny. Nikt nie był nigdy pewnym, czy taką lub inną broszurę w wymaganej ilości otrzyma. Nareszcie postanowiono założyć skład główny i oddać go pod opiekę bardziej porządnego towarzysza. Było to tym bardziej koniecznym, że Michałowski był pod dozorem policyjnym za dawną sprawę i pisał, że mu zaczyna ten dozór dokuczać.

– Wydelegowano – mówił mi ów towarzysz – mnie do Wilna dla zrobienia porządku z tym interesem. Trzeba było wypadku, że po przyjeździe do Wilna Michałka już nie zastałem; aresztowano go i osadzono w 14 numerze (X pawilon wileński). Parę dni spędziłem na poszukiwaniu najbliższych znajomych Michałka i rozpytywaniu ich o bibułę. Ludzie ci, chociaż przestraszeni aresztowaniem Michałowskiego, zgodzili się pomóc mi w poszukiwaniach i ściągnięciu bibuły do jednego miejsca. Lecz, niestety, wskazówek co do miejsc, gdzie bibuła była ulokowana, mieliśmy skąpo. Znaleźliśmy dwa, trzy pudry, wtedy gdy ja z otrzymanych w Warszawie informacji oczekiwałem co najmniej 8–10 pudrów.

Nie ustawialiśmy w poszukiwaniach i rozpytywaniach różnych znajomych Michałowskiego. Trudno sobie wyobrazić, z jakimi typami wówczas się spotkałem. Stare baby, trzępiące pacierze, młode dziewczyny, naiwne i głupiutki, stateczni inżynierowie, którzy ze wstydem się przyznawali, że bibułę ze strachu wywieźli na wieś, młodzieńcy gimnazjaliści, którzy zakopywali bibułę w ogrodach na przedmieściu. Wszystko to było wystraszone, oczekujące z każdą chwilą napaści żandarmów, przeklinając biednego Michałka za bezczelność. Niektórzy pod wielkim sekretem przyznawali się, że spalili bibułę. Po tygodniu poszukiwań, w czasie których codzień otrzymywałem wiadomość, że znowu gdzieś na jakichś „kiszkach” – tak bowiem, zdaje się, kończą nazwy wielu przedmieść wileńskich – okazała się schowana bibuła, po tygodniu – mówię – zebrałem coś koło ośmiu pudrów.

W końcu tych poszukiwań napotkałem najzabawniejsze ze wszystkich schowanko Michałowskiego. Jeden z moich pomocników w poszukiwaniach opowiedział mi, że doszła doń wiadomość, że jakiś dawny kolega Michałowskiego również był obdarzony bibułą przez niego. Ruszamy do owego kolegi. Spotkał nas młody chłopak, który powiedział, że właściwie nie on przechowywał bibułę, lecz że Michałek wraz z nim odwoził ją do „jednej pani”.

– Możesz pan stamtąd ją wydobyć? – pytam.

– Dobrze – odpowiada chłopak, – ale ktoś z panów ze mną pojedzie, ja wyniosę od tej pani bibułę, ale sam wozić jej nie chcę.

Zgodziłem się na to. Pojechaliśmy. Dorożka zatrzymała się przed cerkwią.

– Więc to w cerkwi? – pytam, – być nie może!?

– Nie – odparł zdetonowany młodzieniec, – ale tu obok mieszka pop.

– Pop? – zdziwiłem się jeszcze bardziej, wiedząc, że popi na Litwie bez wyjątku są najpodlejszymi sługami rządowymi.

– Niech pan zaczeka – twierdził chłopak, – ja zaraz wrócę.

Po kilku minutach chłopak wypadł z cerkwi z wystraszoną twarzą, wskoczył do dorożki i kazał jechać. Mnie zaś rzucił krótkie słowo: „spalili”.

Gdyśmy wyszli z dorożki, rozciekawiony wypytywałem chłopaka o ten dziwny skład wydawnictw rewolucyjnych.

Okazało się, że pani popadia była znajomą Michałowskiego od dzieciństwa, gdy się razem na podwórzu bawili. Potem ona wyszła za popa, on został rewolucjonistą, lecz znajomość się nie urwała. Na podstawie tej znajomości Michałek w czasie nieobecności popa zawiązał tam walizkę z bibułą i, nie mówiąc o tym, co walizka zawiera, zostawił ją na pewien czas na przechowanie. Popadia nic o tym mężowi nie powiedziała. Lecz gdy Michałka aresztowano, wystraszona popadia przyznała się swemu małżonkowi, że ma jakieś rzeczy Michałowskiego. Małżonkowie złamali zamek i ku wielkiemu zdumieniu znaleźli bibułę, przykrytą w dodatku brudną męską bielizną. Pop chciał nieść to odrazu do żandar mów, lecz po namyśle przyszedł do przekonania, że go to może skompromitować. Spalił więc bibułę, a dla ulżenia sercu sprzął swą połowicę co się zowie.

Z podobnymi nieco perturbacjami składowymi, perturbacjami, wywołanymi przez panikę na peryferiach ruchu, zetknąłem się w Warszawie w 1900 r., w styczniu. Było to świeżo po grudniowych aresztowaniach tzw. „dekabrystów”<sup>1</sup>. Tak przez żart nazwano różnych literatów i przedstawicieli inteligencji warszawskiej, aresztowanych nie wiadomo za co w grudniu 1899 r. Wywołało to ogromny przestach i spowodowało tchórzliwą drżączkę w całej masie rodzin inteligenckich o postępowym zabarwieniu. W tym samym czasie wypuszczono na Warszawę całą moc szpicłów, agentów świeżo utworzonej instytucji „ochrony”, która wykazać chciała swą sprężystość i działalność.

Warszawa chyba do owego czasu nie widziała nic podobnego. Główne arterie ruchu, jak Marszałkowska, Nowy Świat i ulice, łączące je, były na wszystkich rogach udekorowane przez podejrzaną figurę, trącające siebie łokciami, dające sobie sygnały, zachowujące się bezczelnie i natrętnie. Rzucano się to każdemu człowiekowi w oczy, wszyscy o tej szarańczy szpicłowskiej mówili, powiększając jeszcze bardziej panikę wśród tych, co trzymając się najgorszej w konspiracji zasady: „na złodzieju czapka gore” – mieli już dużej na ramieniu i drżeli na sam widok niewinnego stójkowego.

Akurat w tym czasie wypadło mi być w interesach drukarnianych w Warszawie. Szedłem po Marszałkowskiej, gdy za sobą usłyszałem wołanie:

— Piłsudski! ależ stój, nie uciekaj!

Tak już się odzwyczaiłem od brzmienia mego nazwiska, że na razie nie zwróciłem uwagi na wołanie. Dopiero powtórny okrzyk zatrzymał mnie. Odwróciłem się – przede mną stał kolega z gimnazjum wileńskiego, szlagon ze Żmudzi, z którym podczas wędrówek po świecie spotykałem się niekiedy.

Rzuciłem okiem w około, lecz uspokoiłem się. Nazwisko moje nie zwróciło niczyjej uwagi. Śnieg sypał przechodniom w oczy, wszyscy śpieszyli, nie patrząc na innych, i tylko na rogach ulic majaczyły postacie szpicłów. Uściskaliśmy się z kolegą, który mi zaraz bar-

---

<sup>1</sup> Osoby, aresztowane w Warszawie z 21 na 22 grudnia 1899 r., przeważnie ze sfer literackich i w ogóle inteligenckich: A. Marburg, L. Krzywicki, A. Niemojewski, S. Sempołowska, Gomulińska, Jahołkowska, Mortkowicz, Kruszewski, S. Leszczyński, Michalski, Heflich i inni.

dzo tajemniczo zaczął szeptać, bym koniecznie wpadł do niego, do hotelu. Umówiliśmy się o godzinę i rozeszliśmy się. Stawiłem się punktualnie o naznaczonej godzinie. Kolega przywitał mnie serdecznie, lecz odrazu rzucił mi pytanie:

– Ty znasz, braciashku, moją bratową? Wiesz, my z nią przynosiliśmy dzisiaj jakieś wasze rzeczy. No, broszurki – dodał, widząc, że nie rozumiem, o co chodzi.

Byłem zdumiony. Kolega mój nigdy nie odznaczał się usposobieniem rewolucyjnym, a z socjalizmem nie miał nic wspólnego, prawdopodobnie nie przeczytał nigdy książki, ani broszury socjalistycznej.

O bratowej jego nigdy w życiu nie słyszałem, ale czułem, że wypieranie się moje do niczego nie prowadzi. Ludzie, stojący poza ruchem, tak samo, jak i żandarmi, są przekonani, że wszyscy rewolucjoniści znają się wzajemnie, jak łyse konie. Dla mego kolegi bratowa była widocznie rewolucjonistką, ja byłem na Syberii – wniosek stąd oczywisty, że się znać musimy.

– Jakże się to stało? – pytałem go zdziwiony.

– A widzisz, braciashku! – mówił z pewnego rodzaju triumfem. – Widzisz: zachodzę dzisiaj rano do bratowej, widzę – kobieta zakłopotana, chodzi zamyślona, odpowiada nie „wpopad”<sup>1</sup> – mówił z rosyjska. – Czego – pytam – siostrunia martwi się? Powiada, ma kłopot i że ja pomóc muszę. Ja na to – i owszem.

Przyznała mi się kobiecina, że ma na schowaniu nielegalne książki, ale że się teraz obawia je nadal zachowywać, bo jakiegoś jej znajomego niedawno aresztowali. Chce więc je przenieść tym czasem do starej ciotki, ale tego dużo i sama nie zabierze. Chce, żebym jej pomógł. No, myślę, ma nosić coś kobieta, poniosę i ja. Ale pytam, czy nie lepiej przewieźć – poco nosić? Ale wytłumaczyła mi, że to u nas tak się nie robi, że to zbyt widoczne, że trzeba pod paltotem nieść, a ona resztę poniesie pod rotundą. Jak taka moda, trudno. Opakowała mię bratowa książkami, sama wzięła parę pakunków i wyszliśmy na ulicę. Powiadam ci, braciashku, nie tchórz jestem, ale te książeczki mię paliły. Ciągłe mi się здавало, że wszyscy patrzą na mnie. A tu, jak na złość, gdy podchodzimy do dorożki, bratowa mi mówi: patrz, tu szpicle stoją, nie bierzmy tej dorożki.

Idziemy dalej. Tam stali jacyś ludzie, ale grzecznie usunęli się nam z drogi. Nigdybym nie przypuścił, że to byli szpicle. Wyglądają wcale przyzwoicie, – ale wy chyba na tem się znacie. Przeszliśmy koło pięciu dorożek, wyobraź sobie wszędzie byli szpicle. Ilu tu ich jest! I to my na to tałatajstwo tyle podatków płacimy! Koło szóstej dopiero dorożki nikogo nie było – siedliśmy i jazda do ciotki na ulicę – tu wymienił mi nazwę ulicy, numer domu i nazwisko ciotki.

Tam bratowa długo coś szeptała z ciotką, wreszcie oswobodzono mię od tych pakunków. Wyobraź sobie, z dziesięć minut w paltocie stałem w pokoju – nigdy tak niegrzeczny nie byłem!

Opowiadał mi z takim zapalem, tak komicznie przyciszonym głosem, tak często podbiegał do drzwi i zaglądał, czy kogo za drzwiami nie ma, żem ledwie nie poległ od śmiechu, wyobrażając sobie, jak ta para wystraszonych profanów rewolucyjnych odsuwała się od dorożki, dlatego, że gdzieś niedaleko ktoś stoi lub przechodzi.

– A imaginuj sobie – mówił dalej kolega, – gdyśmy przyszli do domu, po książki przyszli...

– Jakto przyszli? – zerwałem się, chwytając za kapelusz, przypuszczałem bowiem, że mówi o żandarmach i że, jak to zwykle w takich wypadkach bywa, mój kolega jest już pod bacznym dozorem policji i szpiegów.

---

<sup>1</sup> Nie do rzeczy.



– A przyszłi – potwierdził – wasi. Jakiś pan, raczej młody chłopiec z panną. Ten pan przedstawił mi się jako Szczurowski, ale bratowa mi mówiła, że to kłamstwo, bo jakoby wy prawdziwego swego nazwiska nigdy nikomu nie mówicie. Wiesz, że to niebardzo grzecznie, to mi się nie podoba.

Jak potem przez ciekawość sprawdziłem, część bibuły warszawskiej pozostawiono na noc u bratowej mego kolegi i ta po jednej nocy, spędzonej z bibułą pod jednym dachem, tak się wystraszyła, że zaledwie doczekawszy się rana, wyniosła ją natychmiast dalej.

Takie perturbacje składowe i panika, powstająca na peryferiach ruchu rewolucyjnego za lada przyczyną, sprawiają zwykle dużo kłopotów organizacjom i ludziom, zmuszonym opiekować się bibułą. Niekiedy mają przy tym miejsce przykre, wstrząsające sceny. O takiej właśnie scenie słyszałem od pewnej towarzyszki, która przez dłuższy czas opiekowała się bibułą i składami w Warszawie.

– Miałam – mówiła mi – wspaniały skład u jednej swojej znajomej, żony drobnego urzędnika. Naturalnie – dodawała feministycznie usposobiona towarzyszka – mąż o tym nic nie wiedział. Już to mężczyźni w sferze nieściśle rewolucyjnej są daleko większymi tchórzami, niż niewiasty. W dodatku pan mąż należał do kategorii zazdrosnych, co między wami na każdym kroku się zdarza. Biedna kobiecina drżała przed swym despota, lecz w tajemnicy przed nim oddawała nam spore usługi. Co prawda, musieliśmy się stosować do warunków życia naszej składniczki. Przychodziliśmy do niej tylko w czasie zajęć biurowych pana domu, a więc przed obiadem, nie mogliśmy posyłać tam mężczyzn, bo razu pewnego, gdyśmy tak postąpili, Otello przez służbę się dowiedział o tem i zrobił straszną scenę żonie, która, nie chcąc zdradzić tajemnicy, nie mogła mu wytłumaczyć męskiej wizyty u siebie. Tak trwało dosyć długo – parę lat. Przyzwyczailiśmy się do siebie, interes się ułożył, wszystko szło, jak po maśle.

I nagle spadła na nas katastrofa! Razu pewnego zachodzę w porze przedobiadowej do naszej składniczki, żeby się z nią umówić o przeniesienie do niej świeżego transportu bibuły agitacyjnej, dzwonię i ku wielkiemu zdumieniu słyszę za drzwiami męskie kroki. Przypuszczałam, że mąż-despota zachorował i nie poszedł do biura, lecz drzwi się otworzyły i przede mną stał sam pan mąż. Był blady, twarz miał zmęczoną.

– Czy pańska żona w domu? – spytałam grzecznie.

– Żona moja umarła – odpowiedział mi pan grobowym głosem.

Odskokzyłam przerażona. Było to tak nagłe i niespodziewane, że przez pewien czas nie mogła przyjść do siebie. Lecz wreszcie przez głowę przemknęła mi myśl, chociaż i śmiesznie mała wobec majestatu śmierci, lecz pomimo to obchodząca mię – myśl o bibule.

– Pani była przyjaciółką mojej żony? – pytał łagodnym, przyciszonym głosem.

Pod wpływem łagodnego tonu rozmiękłam i ja.

– Przepraszam pana – rzekłam, – że w takiej chwili będę pana mymi kłopotami zajmowała, ale nieboszczka żona pańska miała na przechowaniu trochę moich rzeczy. Miałam właśnie zabrać je teraz...

Nie dokończyłam, gdyż poczułam, że gospodarz chwycił mię brutalnie za ramię i ciągnął do dalszych pokoi.

– Aha! to pani! – powtarzał chrypliwym głosem.

Wreszcie znaleźliśmy się w pokoju, gdzie tak niedawno jeszcze prowadziłam ze zmarłą przyjaciółką narady o wspólnym interesie, a gdzie teraz leżała ona martwa w trumnie. Koło nieboszczki modliła się jakaś staruszka, która na znak gospodarza wyszła z pokoju.

– Więc to pani! – mówił gospodarz, – co, jak waż, wślizgnęła się do mojego domu, by zakłócać jego spokój, by swą niecną robotą narażać szczęście i dobre imię moje i mojej żony.

Oburzyłam się na te słowa, wydały mi się one obrażą pamięci mojej przyjaciółki, obok ciała której staliśmy w tej chwili.

– Niech pan żony swojej – powiedziałam ostro – nie obraża przypuszczeniem, że jak jakaś głupia istota bez woli mogła być wplątana przez kogoś do rzeczy, nieuznawanej przez siebie za godną ofiary i poświęcenia. Jeżeli to robiła pod sekretem przed panem, to jedynie dlatego, żeby nie było piekła w domu, za co pan wdzięcznym jej być powinien. Proszę pana zaprzestać tych przykrych scen i powiedzieć wyraźnie, gdzie są książki i jak je mam odebrać.

– Nie! ja pani tak nie wypuszczę! – chrypiał gospodarz, – pani tu, w tym pokoju przysięgając mi musi, że z ust pani nie wyjdzie tajemnica, która hańbą pokryć dom mój może.

– O co panu chodzi? – rzekłam ze wstrętem, widząc, że ten człowiek drży o własną skórę i chce wykorzystać nawet śmierć żony, by tę skórę zabezpieczyć. – Jeżeli o to, by nazwisko pańskie nie było przeze mnie związane wobec kogokolwiek ze sprawami nielegalnymi, to i owszem, mogę panu to przyrzec, tym bardziej, że stanowi to mój obowiązek.

– Niech pani przysięga! – szeptał, biorąc krucyfiks ze stołu obok nieboszczki.

– Proszę zaprzestać komedii! – krzyknęłam, wyrывая mu się z rąk, – niech panu wystarcza moje przyrzeczenie.

Gospodarz domu z nienawiścią patrzył na mnie. Wreszcie po chwili namysłu postawił krucyfiks na stole i rzucił mi:

– Dobrze! niechże pani dotrzyma swej obietnicy! Proszę za mną!

W następnym pokoju był koszyk z bibułą, wsunięty pod łóżko. Zamek, wiszący przy koszyku, był zepsuty.

– Proszę zabrać swoje rzeczy! – rzekł do mnie ostro.

Zmusiłam go posłać po dorożkę, stróż zniósł mi koszyk na dół.

Byłam tak wzruszona, że nogi mi drżały i w głowie mi się kręciło, gdy schodziłam ze schodów. Przechorowałam tę scenę, przez kilka dni stał mi w oczach pokój z trumną na stole i wściekłym gospodarzem, trzymającym mnie, jak w kleszczach, za ramię.

Wobec tak skomplikowanych urządzeń i stosunków ze składami większymi, wobec niemożliwości użytkowania ze składowych instytucji w każdej chwili, koniecznym jest rozdrabnianie księgarń-składów jeszcze bardziej, stwarzanie nowych, drobniejszych, lecz bliższych do konsumentów. W istocie, proszę sobie wyobrazić, że któremuś ze stolarzy, naprzykład, w agitacji wśród kolegów z warsztatu okazała się potrzebną, przypuśćmy, broszura „Kto z czego żyje?” – klasyczna popularyzacja teorii Marksa. Nasz stolarz potrzebuje jej natychmiast; mówił o tej broszurze swemu agitowanemu koledze, spostrzegł zainteresowanie się sprawą robotniczą u niego i radzi mu przeczytać broszurkę, obiecuje ją dostarczyć. Gdyby to zapotrzebowanie iść musiało do centralnych składów-księgarń, przechodząc różne stopnie organizacyjne, gdyby takie drobne zapotrzebowanie musiało się stosować do kaprysów hurtownych składników i składniczek, straciłoby się dużo czasu i broszura mogłaby trafić do rąk konsumenta wtedy, gdy potrzeba już minęła i znikł ten nastrój, który stanowił o skuteczności wpływu broszury. Oprócz więc hurtownych składów muszą istnieć i detaliczne.

Z natury rzeczy są one drobne. Kilka egzemplarzy najpopularniejszych broszur, kilka zapasowych numerów „Robotnika” – oto najczęstszy inwentarz tych małych, podręcznych księgarń. Każdy nieledwie agitator ma taki składzik z zapasowymi wydawnictwami, naj-

bardziej potrzebnymi w robocie. Często i tutaj dla zabezpieczenia składu ludzie poszukują miejsca dla niego wśród swoich osobistych znajomych, nie biorących bezpośredniego udziału w czynnym życiu organizacji. I bodaj największe zasługi w tym wypadku oddają kobiety.

Niekiedy, lecz bardzo rzadko, takie detaliczne księgarnie bywają urządzone w fabrykach lub warsztatach. Nie zawsze jest to bezpiecznym, bo żandarmi często nie ograniczają się poszukiwaniem w mieszkaniach, zajmowanych przez podejrzane osoby. Przetrzęsają oni biurka w kancelariach, szafki z instrumentami w fabrykach i warsztatach. W Żyrardowie w 1900 r. aresztowano maszynistę, którego podejrzano o rozpowszechnianie bibuły. Zrobiono przy tym najstaranniej rewizję w całej maszynie fabrycznej. Nie znaleziono nic. Po pewnym czasie wskutek zdrady jednego z wtajemniczonych zrobiono tam rewizję po raz drugi. Tym razem poszukiwania wykazały, że w podmurowaniu maszyny parowej była ukryta taka właśnie detaliczna księgarenka.

W ogóle wśród robotników, którzy najbardziej są narażeni na rewizje i napaści żandarmów, mocno jest rozwinięta wynalazczość w kierunku urządzania różnych dowcipnych skrytek i schowanek dla podręcznych księgarń z niewielką ilością bibuły. Jak mnie zapewniano ze strony ludzi, znających dobrze te stosunki, te skrytki urządzone są nieraz po mistrzowsku i często zostają niewykryte przy najściślejszych rewizjach. Zdarzało się nieraz, że po aresztowaniu właściciela takiej skrytki bibuła leżała rok i więcej, pomimo, iż nowi lokatorowie w mieszkaniu lub robotnicy w fabryce codzień mogli je wykryć. Opowiadano mi o wypadku, gdy któryś z warszawskich robotników zostawił w swym mieszkaniu niewykrytą przy rewizji bibułę. Robotnik ten został skazany na wygnanie i po kilku latach wrócił do Warszawy. Po powrocie postanowił się dowiedzieć, co się stało z ową bibułą. Szczęśliwym trafem znalazł swe dawne mieszkanie zajęte przez znajomego towarzysza partyjnego. Poszedł więc do niego i ku wielkiemu jego zdumieniu wyjął ze skrytki bibułę, nieco zresztą uszkodzoną i zbutwiałą od wilgoci.

Na prowincji, gdzie otoczenie i tryb życia często jest na pół wiejskie, urządzenie detalicznej księgarenki jest znacznie łatwiejsze, niż w dużych miastach, jak Warszawa i Łódź. W tych warunkach wykorzystać można dziesiątki zakamarków i kącików, o których prawie z pewnością powiedzieć można, że są zupełnie bezpieczne i niedostępne dla najszczęśliwszych lisów żandarmskich. Tam też często się zdarza, że przy aresztowaniach na ulicy lub w warsztatach współtowarzysze aresztowanych uprzedzą żandarmów i wyniosą z mieszkania wszystko, co może kompromitować aresztowanego, nim władza zdąży z rewizją. Oto wiadomo o takim właśnie fakcie w Zagłębiu Dąbrowskim.

Zagłębie, którego poszczególne części, jak Sosnowiec lub Dąbrowa, rozwijają się i zaludniają z istic amerykańską szybkością, jest pod względem policyjnym i kulturalnym zwykłą, najobskurniejszą dziurą. Ani organy rządowe, idące w swym rozwoju ze zwykłym w Rosji pośpiechem zółwia, ani instytucje kulturalne w społeczeństwie, skrzepowanym przez barbarzyńskie prawa caratu, nie mogą dotrzymać kroku szybko postępującemu naprzód przemysłowi tego zakątka. Stąd wynika, że ani ulice, ani mieszkania, ani paszporty, ani dozór policyjny – słowem, nic prawie nie jest uregulowanym. Gdy więc kto wskaże swe miejsce zamieszkania, to nieraz trzeba dużo stracić czasu, nim się wskazany punkt odnajdzie. Żandarmeria, która w tych warunkach ma również utrudnione zadanie, załatwia się tam nieraz w ten sposób, że aresztuje robotników przy wyjściu z fabryki i dopiero stamtąd wyrusza na poszukiwanie mieszkania aresztowanego. Poszukiwania te trwają nieraz parę dni.

Otóż razu pewnego aresztowano w ten sposób robotnika, u którego na składzie leżało sporo bibuły. Aresztowany, licząc na pomoc towarzyszków, dał żandarmom o swym miesz-

kaniu wskazówki tak nieokreślone, że ci w żaden sposób tegoż dnia trafić doń nie mogli. Wiadomość o aresztowaniu kogokolwiek szybko się rozchodzi. Współtowarzysze więc wiedzieli o wypadku tegoż dnia wieczorem. Wysłano naprzód na zwiady jednego ze spiskowców. Ten wrócił z zapewnieniem, że żandarmi dotąd nie dotarli do mieszkania. Wyruszone tedy w kupie z przygotowanym workiem. Jedni stanęli na straży wokoło, by umówionym sygnałem uprzedzić w razie czego innych, którzy zakradli się do mieszkania przez wybitą szybę i wyciągnęli stamtąd całą księgarnię. Żandarmi trafili do mieszkania dopiero nazajutrz, czy jeszcze później i, naturalnie, nic nie znaleźli.

Ma się rozumieć, towarzysze dąbrowscy mieli zadanie ogromnie ułatwione. Ciemności egipskie, brak policji, błotniste drogi i ścieżki – wszystko to stwarza doskonały grunt zarówno dla istotnych rzezimieszków, jak i dla tych, co w jakimś celu brać na siebie muszą ich rolę.

Te drobne składy-księgarenki, rzecz prosta, sprawiają swym właścicielom i organizatorom również kłopoty przy panice podczas większych aresztowań, jak to widzieliśmy przy hurtownych składach. Kłopoty te są mniejsze, bo przecie z niewielką ilością bibuły łatwo sobie dać rady – nie przedstawia żadnej trudności przenieść ją w kieszeni lub nawet zniszczyć w ostatecznej potrzebie. Uważam jednak za obowiązek przyznać, że te właśnie detaliczne składy, rozmieszczone najczęściej wśród ludności robotniczej, mniej są narażone na szwank z powodu strachu składnika lub składniczki. Ludzie w tej sferze są stanowczo odważniejsi i więcej cenią pracę i poświęcenie, włożone w każdy egzemplarz bibuły w państwie cara.

Zdarzają się jednak wypadki, gdy panika ogarnia i odważniejsze serca. A że strach bardzo często jest najgorszym doradcą, bywały wypadki, że właśnie strach gubił ludzi. Opowiadano mi, że do Pabianic pod Łodzią razu pewnego przyjechali żandarmi. Nie wiadomo było, do kogo się udadzą, lecz niektórzy z tych, co mieli coś niecoś na sumieniu, uznali, że, jeśli żandarmi przyjechali, to niechybnie dla nich. Otóż jeden z tych ogarniętych strachem przypomniał sobie, że u niego leży kilka broszur. Biegnie czym prędzej do domu i w pośpiechu zakopuje je na swym podwórku. Bojąc się jednak, by kto nie nadszedł, zakopał je bardzo płytko. Żandarmi zrobili parę rewizji i nie zaczęli wcale o naszego tchórze. Lecz cóż się stało? Świnia, chodząc po podwórku, wyryła zakopaną świeżo bibułę i wysunęła jedną z broszur na ulicę. Spostrzegł to ktoś z władzy i w rezultacie naszego tchórze aresztowano. Odtąd, jakoby, w Pabianicach dla przestrogi młodych opowiadają historię o tym, jak „świnia zasypała towarzysza”.

Jak widzimy, w interesie bibulastym rozwinięty jest system pośrednictwa. Książka lub broszura, nim dojdzie do rąk swego czytelnika, przechodzi przed tym przez cały szereg rąk pośredniczących – komiwojazerów partyjnych, składników centralnych, hurtownych, wreszcie detalicznych.

Naturalnie, powiększa to ilość pracy, włożonej w każdy egzemplarz bibuły, a zatem i wartość jego. Cały ten ogrom pracy pośredników, unikających w dodatku poczty, jak ognia, jest wynikiem nielegalności pracy z bibułą, a cały misterny system składów, podskładów i składzików jest koniecznym skutkiem przystosowywania się do dzikich warunków politycznych w państwie rosyjskim. Prześladowania rządowe wpływają na zwiększenie nieprodukcyjnej pracy pośredników pomiędzy wytwórcami i konsumentami bibuły do tego stopnia, że swymi rozmiarami, ilością ludzi, zajętych przy niej, przewyższa ona stokrotnie pracę ściśle produkcyjną. Pośrednictwo staje się dominującą częścią sprawy rozpowszechnienia bibuły i decyduje o ilości i nieprzerwalności w kursowaniu bibuły w kraju.

Na razie w PPS., która, jak to widzieliśmy, we wszystkim, tyczącym się bibuły, stworzyła nowe wzory postępowania, robiono główny nacisk na produkcję bibuły. Zdawało się,

że reszta, to jest pośrednictwo, przyjdzie samo przez się, zorganizuje się łatwo. W istocie dalsza część systemu – lokalne składy hurtowne i detaliczne składziki – zorganizowały się bez trudu. Konieczny związek pomiędzy nimi był utrzymywany przez lokalne organizacje partyjne, mające w swym rozporządzeniu dostateczną ilość ludzi, by zarówno system, jak i związek pomiędzy pojedynczymi ogniwami, nie ponosił szwanku.

Trudniejszym było dopasowanie centrów produkcji bibuły – granic i drukarni – do głównego składu oraz tego składu do lokalnych składowych instytucji. Dopóki bibuły nie było tak dużo, dopóki stosunki organizacji nie sięgały dalej poza główne miasta i ogniska przemysłowe, wszystko szło jako tako. Sprawy bibulaste załatwiała się przygodnie – przy innych interesach lub też przy okazjach. Nieliczni funkcjonariusze partyjni dawali sobie z tym radę.

Lecz wkrótce ilość bibuły zaczęła się zwiększać, wymagania wzrastać, stosunki rozszerzać. To, co było dobrym i dostatecznym dla paru tysięcy egzemplarzy różnych wydawnictw i dla czterech, pięciu punktów organizacyjnych stało się nie wystarczającym, gdy chodziło o dziesiątki tysięcy egzemplarzy, gdy trzeba było zaglądać do dziesiątków miast i miasteczek.

Jeden z towarzyszków, entuzjastów bibuły, który w dodatku starał się zawsze o cyfrowe przedstawienie rzeczy, mówił mi rok temu:

– Nie masz wyobrażenia, jak się stosunki zmieniły! Dawniej, gdy się sprowadziło 500 egzemplarzy jakiej broszury, to się miało cały rok zapewniony. Szło to sobie powoli, kropelkami. Teraz 300–400 egzemplarzy porządnej, łatwej do czytania broszury wystarcza zaledwie na pierwszą porcję. Puścisz tę parę setek i jeszcze się nasłuchasz pretensji, że za mało tu lub gdzie indziej dano.

Mniej więcej w ten sam sposób przedstawiano mi rzeczy w Londynie, głównym wydawniczym punkcie dla socjalistycznych broszur polskich, przeznaczonych dla zaboru rosyjskiego.

Dawne wydawnictwa, z okresu przed PPS-owego, które rozchodziły się powoli, już się zupełnie wyczerpały. A teraz, gdy trzeba dawać nowe wydania starych rzeczy lub wydawać świeże, nie warto bić mniejszej ilości, jak 7–10 tysięcy, ilości niesłychane dla poprzedniego stadium ruchu.

Z chwilą więc, gdy przygodne załatwianie interesów bibulastych przy rozwoju stosunków stało się utrudnionym, zaczęło się wkładać zamieszanie do organizacji pośrednictwa w dostarczaniu bibuły z instytucji centralnych do lokalnych. Nieliczni funkcjonariusze byli przeciążeni pracą, którą dotąd uważali dla siebie jako dodatkowy, przygodnie wypełniany obowiązek.

Jeden z towarzyszków, który w tym właśnie okresie pracował, opowiadał mi ze złością:

– Bibuła zapanowała nad nami, byliśmy jej niewolnikami, sługami. O niczym innym niepodobna było myśleć, jak tylko o walizkach, jazdach z bibułą, umowach o dostarczenie tego lub owego z centralnego składu. Towar panował nad wytwórcą. Brr!... – wstrząsnął się, – paskudny był to czas!

Naturalnym wyjściem z tego położenia rzeczy było wyodrębnienie sprawy pośrednictwa pomiędzy centralnymi zbiorowiskami bibuły a lokalnymi księgarniami-składami w osobną funkcję organizacyjną. Bibuła w ten sposób panuje nieograniczenie nad ludźmi, do tej funkcji przystawionymi, lecz za to inni są wolni od tej troski i mają do czynienia z bibułą tylko o tyle, o ile wchodzi ona w zakres bezpośrednich czynności organizatorskich i kolporterskich.

Przy takim wyodrębnieniu funkcji bibulastych i oddaniu ich w ręce rzeczywistych niewolników bibuły znikać też musi stopniowo i przygodność, wypadkowość w załatwianiu

niu spraw, związanych z bibułą. Cała maszynaria, mająca na swe usługi specjalistów, nabiera precyzji w działaniu i regularności w ruchach. Takimi specjalistami są towarzysze, zajęci przy rozwożeniu bibuły do różnych lokalnych składów-księgarń. O kłopotach ich z powodu zajazdów opowiadałem wyżej, wykazałem, jak bardzo obciążoną jest ich pamięć drobnymi szczegółami. Lecz nie jest to wszystko. Skazani są oni w dodatku na spędzanie nieledwie połowy swego czasu w dusznych wagonach kolejowych. Właściwie nazwaćby ich można komiwojażerami od bibuły.

O szerokości tego interesu w PPS. świadczyć może następujące obliczenie, zakomunikowane mi przez ludzi, prowadzących rachunki partii. Jako osobna rubryka wydatków partyjnych figurują w rachunkach „bilety kolejowe”. Przeciętnie w rubryce tej co miesiąc rachmistrze partyjni wpisują cyfrę – 500 rubli. W niektórych miesiącach, jak mi mówiono, wydatki te dochodzą do 600 rubli (756 guldenów czyli 1500 koron). Jak mnie zapewniano, połowa tej sumy jest wydawaną przez komiwojażerów od bibuły, reszta przypada na różne organizacyjne wyjazdy. Jeżeli zaś przyjmiemy pod uwagę, że taryfa pasażerska na kolejach rosyjskich jest najniższą w Europie i że cały obszar Polski razem z częścią Litwy, objętej przez działanie PPS., nie jest znowu tak duży, łatwo zrozumiemy, jak częste są podróże komiwojażerów, zmuszonych wydawać rocznie 3000 rubli na bilety kolejowe.

Opowiadano mi, że z powodu tych częstych podróży jeden z żartownisiów podawał projekt, by partia zwróciła się do zarządów kolejowych z wymaganiem zniżki na biletach dla swych funkcjonariuszów, dających tak znaczny zarobek kolejom. Inny dowcipniś żartował, mówiąc:

– Na naszych komiwojażerach nie sprawdza się znane twierdzenie znakomitego satyryka rosyjskiego, Szchedryna, że każdy rosyjski poddany składa się z trzech części: ciała, duszy i... paszportu, albowiem ci najczęściej paszportu nie posiadają. Natomiast – twierdził – możnaby sformułować względem nich tę myśl inaczej: składają się oni z ciała, duszy i... przewodnika kolejowego, z którym się nigdy nie rozstają równie dobrze, jak prawowitny poddany rosyjski z paszportem.

W istocie książka z rozkładem kolejowym jest najczęstszą lekturą komiwojażerów. Wszystkie kwestie, dotyczące się ruchu pasażerskiego na kolejach, są przez nich znakomicie wystudiowane. Ile i gdzie jaki pociąg stoi na stacji, gdzie się pociągi krzyżują, w jakich pociągach znajdują się wagony komunikacji bezpośredniej z dalszymi kolejami, dopłaty kolejowe, które koleje mają najwygodniejsze wagony – wszystko to są sprawy, co do których najlepszych informacji zawsze udzielić może towarzysz-komiwojażer.

Specjalną uwagę zwracają komiwojażerowie na szpiclów na dworcach i zielonych. Wobec tego, że pociągi, idące od granic państwa, są najbardziej strzeżone, wybierać nieraz trzeba, szczególnie, gdy się jedzie z rzeczami, takie pociągi, które na stacji, będącej celem podróży, nie spotykają pociągów nadgranicznych. Uważać też należy na dworcach kolejowych na podejrzaną figurę, kryjącą się po kątach. Słowem, głowa biednych komiwojażerów jest wiecznie przepełniona szczegółami i drobiazgami zajazdowymi, składowymi, kolejowymi, a rozmowy kręcą się zwykle około przygód kolejowych i szpiclów na dworcach.

Wobec tak częstych podróży kolejowych komiwojażerowie spotkać się też musieli z plagą kolei rosyjskich – złodziejami, operującymi w pociągach. Oto fakt, o którym słyszałem od jednego z towarzyszy.

Razu pewnego komiwojażer z bibułą, zapakowaną w niewielką ręczną walizkę, wyruszył z Warszawy do jednego z miast prowincjonalnych. Wobec zmiany zajazdu miał go spotkać na dworcu jeden z towarzyszy miejscowych, który musiał go zaprowadzić do nowego, przeznaczonego na zajazd mieszkania. Gdy pociąg wchodził na stację, nasz ko-

miwojażer stał przy oknie przedniego wagonu i lustrował publiczność na peronie dworca, chcąc zawczasu wiedzieć, w którym miejscu stoi spotykający go towarzysz, żeby niepotrzebnie nie kręcić się potem na peronie.

W istocie spostrzegł z okna oczekującego go towarzysza, lecz niedaleko od niego dojrzał też znanego mu z poprzednich podróży szpicla. Postanowił więc skontrolować zachowanie się szpicla i przekonać się, czy nie stoi on przypadkiem dla towarzysza na peronie. Gdy zatem pociąg stanął, wyskoczył zeń bez bibuły, chcąc zobaczyć, co będą robili obserwowani przezeń ludzie. Po chwili przekonał się, że obawy jego były mylnymi. Oczekujący go towarzysz szedł w kierunku lokomotywy, gdyż spostrzegł komiwojażera w oknie pierwszego wagonu, a szpicel pobiegł lustrować pociąg w jego ogonie. Uspokojony komiwojażer wraca do wagonu po swój bagaż i, prosząc sobie wyobrazić jego przestrach i zdziwienie, gdy go na miejscu nie znajduje.

Rozpytuje sąsiadów i dowiaduje się, że przed chwilą wszedł do wagonu jakiś człowiek i zabrał pakunek, jak własny. Sąsiedzi z ciekawości rozpytują, czy to nie złodziej, chcą iść do żandarma kolejowego, opisują cechy zewnętrzne człowieka, który zabrał rzeczy. Nasz komiwojażer był w ogromnym kłopotcie. Bibuły szkoda, lecz zarazem niepodobna odszukiwać złodzieja. Żandarm otworzył walizkę, znajdzie tam bibułę – i oprócz bibuły zginie i człowiek. Naprędce więc uspokoił sąsiadów twierdzeniem, że z opisu poznaje znajomego, z którym jechał i który prawdopodobnie czeka go na peronie. Publiczność uspokoiła się, a nasz niefortunny komiwojażer zdetonowany wyszedł z wagonu, by opowiedzieć swą przygodę towarzyszowi.

Zdarzają się też inne przygody kolejowe. Wybieram z pomiędzy słyszanych dwie dosyć charakterystyczne.

Jeden z towarzyszków wiozł w ciężkiej walizce bibułę. Był wściekle głodny, więc na większej stacji wyskoczył, by przegryźć cokolwiek w restauracji stacyjnej. Niestety chciało, że pociąg z powodu opóźnienia stał na stacjach krócej, niż mu wypadało według rozkładu jazdy. Nasz towarzysz zagapił się i opuścił porę wsiadania – pociąg ruszył bez niego, uwożąc walizkę z bibułą. Niedługo myśląc, komiwojażer zadepeszował, by rzeczy jego zatrzymano do następnego pociągu. Opisał zewnętrzne cechy walizki, miejsce, przez siebie zajmowane w wagonie, liczył więc na to, że mu wydadzą walizkę bez kłopotu i protestu. Przed odjazdem otrzymał depeszę, że rzeczy jego zatrzymano o kilka stacyj dalej i są u żandarma.

Uspokojony przybywa wreszcie na oznaczoną w depeszy stację i zwraca się do żandarma kolejowego, żądając zwrotu swej walizki. Żandarm pokazuje mu walizkę, którą nasz towarzysz uznał za swoją, lecz oznajmia, że w takich wypadkach prawo mu nakazuje zażądać od pasażera opisu rzeczy, znajdujących się w walizce, którą może wydać dopiero wówczas, gdy się przekona, że w istocie w walizce znajdują się wskazane przez pasażera rzeczy.

Nasz towarzysz zaczął się śmiać z tych wywodów żandarma, dowodząc, że przecie nikt inny, jak właściciel, nie depeszował o zatrzymanie walizki, i na dowód pokazał kwit urzędu telegraficznego. Żandarm jednak nie dawał się przekonać i nastawał, by towarzysz wymienił rzeczy, znajdujące się w walizce, i otworzył ją przy nim. Zakłopotanie biednego komiwojażera wzrastało. Zaczął niby szukać w kieszeniach kluczyka od walizki, wymieniając nie istniejące wcale rzeczy. Tym czasem zbliżał się czas odjazdu i wreszcie żandarmowi dokuczyciło to oczekiwanie; zapisał więc tylko nazwisko i adres naszego towarzysza – naturalnie, zmyślane – i oddał mu walizkę, nie otwierając jej wcale.

O innej przygodzie, z nieco bardziej tragicznym skutkiem, opowiadano mi niedawno. Towarzysz wiozł odezwy z aresztowanej przed paru miesiącami drukarenki w Brześciu.

Siadł do wagonu wieczorem, a że przed tym parę nocy nie dosypiał w podróżach i znalazł odpowiednie miejsce, położył się na ławce i wkrótce zasnął, zostawiwszy zawiniątko z odezwanami na siatce dla bagażu ręcznego. Wypadkowo jakiś kupiec, który miał jechać tym samym pociągami i wniósł swój pakunek do wagonu, dla jakichś powodów został na stacji, zapominając o swych rzeczach. Depeszował więc, by jego bagaż ręczny zatrzymano.

Wskutek depeszy konduktorowie szukali zapomnianego pakunku w wagonach. Czy zawiniątko z odezwanami było zewnętrznie podobne do bagażu owego kupca, czy też, nie doszukawszy się właściciela zawiniątka, bo nasz towarzysz spał w najlepsze, konduktor przypuszczał, że pakunek bez właściciela jest poszukiwanym przez kupca bagażem – dosyć, że zawiniątko z odezwanami zabrano i odesłano na stację, oznaczoną przez kupca. Nasz towarzysz, gdy się obudził, odezwy już nie znalazł i gorzko sobie wyrzucał, że nie wziął zawiniątka pod głowę. Sądził, że rzeczy mu skradziono.

Wkrótce jednak okazało się, że z powodu tych odezwy wynikła cała awantura. Kupiec zgłosił się na stację po zapomniane rzeczy, lecz tam aresztowano go natychmiast – zawiniątko zwróciło uwagę żandarma, który zrewidował zawartość bagażu i znalazł tam nielegalne druki. Biedny kupiec, jak mi opowiadano, siedział parę tygodni w więzieniu, nim się cała sprawa wyjaśniła i znaleziono właściwe rzeczy, zapomniane przez niego w wagonie. Rzeczywistego właściciela zawiniątka z odezwanami – towarzysza, który zasnął w wagonie – nie odszukano.

Do kłopotów komiwojażerskich należy też pomiędzy innymi staranie się o odpowiednie opakowanie przewożonej bibuły. W jednym wypadku, gdy się zajeżdża do domu inteligentno-burżuazyjnego, trzeba mieć porządne, dobrze wyglądające walizki, sakwojaże itp. rzeczy. W innym, gdy się ma zająć do proletariackiego mieszkania, takie właśnie porządne podrózne nesesery zwracają niepotrzebnie uwagę. Oprócz tego przewozi się bibułę w rozmaitych ilościach. Jak niepodobna wieść dużo bibuły w małym koszyku, tak zarówno uniikać należy przewożenia niewielkiej ilości druków w dużych pudłach i walizach.

Zdawałoby się, nic łatwiejszego! Dosyć jest mieć asortyment waliz, koszów, pasów rzemiennych, by odpowiednio do potrzeby wybrać zeń należyte opakowanie. W istocie zaś nie tak łatwo to urządzić. Zajeżdża, np., komiwojażer do przygotowanego dla niego mieszkania. Oprócz tego interesu ma on do załatwienia jeszcze inne – musi się z tym lub owym towarzyszem zobaczyć w innym punkcie, musi zjeść obiad, powinien się zastosować do warunków zajazdu, które to warunki często nie pozwalają na odebranie natychmiastowe przywiezionej walizki albo na zjawianie się powtórne w mieszkaniu zajazdowym. Nieraz z zajazdu bibuła nie może być wyekspediowaną do składu od razu, a komiwojażer musi śpieszyć do pociągu, by zdążyć na następną randkę. I oto w rezultacie asortyment już jest zepsuty, ta lub owa rzecz „posiana”, jak się mówi w technicznym języku komiwojażerów.

Takie wypadki zdarzają się na każdym kroku, a że wyjazdy z bibułą są częste, więc biedni komiwojażerowie są w wiecznej pogoni za walizkami, koszykami, paskami. Pieniądzy często brak na drogę lub jedzenie, więc kłopot jeszcze bardziej się zwiększa i komiwojażerowie często pożyczają u tego lub owego znajomego odpowiednią walizkę lub koszyk i wówczas oprócz innych interesów, leżących na ich głowie, powstaje nowy: odebranie i odwiezienie pożyczonej na czas pewien walizki.

W dodatku, jeśli sobie czytelnik przypomni to, com mówił o trzecim pasie pogranicznym, zrozumie, że takie lub inne opakowanie bibuły ma swe znaczenie dla nadania pozorów odpowiednich wobec zielonych, stojących na dworcach i stacjach kolejowych. Pod tym względem są brane pod uwagę wszystkie właściwości danej walizki lub torebki podróźnej i specjalnie jest cenioną cechą, nie często się spotykającą, – mianowicie pakowność, tj. możliwość umieszczania wielkiej ilości bibuły przy zewnętrznych pozorach niedu-



żej objętości. Jak wielką wagę przywiązują komiwojażerowie do swych walizek i torebek, wnioskować można z pewnego uosabiania tych martwych rzeczy. W języku ich walizki i torebki noszą nazwy „blondynek”, „brunetek”, „rudych facetek” – stosownie do koloru skóry, która stanowi zewnętrzną stronę opakowania bibuły.

Wobec tego, że te szanowne „panie” zwykle ulegają zaprzepaszczeniu, czyli „posianiu” w zajazdach i składach, toczy się o nie wieczna wojna pomiędzy komiwojażerami i towarzyszymi lub towarzyszkami, zarządzającymi powyższymi instytucjami. I oto do instrukcji, udzielanych sobie wzajemnie przez komiwojażerów, wciskają się nowe szczegóły.

– A nie zapomnij pan – dodaje jeden z nich przed odjazdem drugiego – wyciągnąć z N. N. brunetkę, com ją posiał ostatnim razem. Wspaniała facetka: lekka, jak anioł, a pakowna, jak studnia! Taka mi jej szkoda, jakby mi rękę kto uciał. Te szelmy z zajazdu gotowi ją nam zaprzepaszczyć na amen!

Albo też do przeładowanej już szczegółami podróży głowy wyjeżdżającego komiwojażera dodaje się jeszcze jeden szczegół:

– Słuchaj! jak będziesz w Zagłębiu, wstąp tam do X. U nich od dawna już leży posiana brunetka. Podła to sztuka i nic nie warta, ale pożyczyłem ją u Z. i ten ananas gwałtownie domaga się zwrotu. Trzeba być uczciwym w interesach, bo jak przyjdzie bieda, nie znajdziemy nigdzie pomocy. Zawieź ją chociażby do kogokolwiek w Warszawie, będzie potem łatwiej zrobić z nią porządek.

Opisany wyżej system pośrednictwa jest, zdaniem moim, jedynym systemem, mogącym zabezpieczyć prawidłowe i stałe rozpowszechnianie druków nielegalnych w warunkach politycznych państwa rosyjskiego. Gdzie tych ogniwi, łączących wytwórców z konsumentami, nie ma, tam nie może być i mowy o stałym dopływie bibuły – krwi ożywczej dla organizacji rewolucyjnej pod caratem.

## KOLPORTERKA

Najbardziej pierwotnym sposobem rozpowszechniania bibuły jest rozrzucanie nielegalnych wydawnictw. Sposób ten ma niezaprzeczenie swoje dobre strony. Przede wszystkim jest nadzwyczaj konspiracyjnym.

Znajdujący bibułę gdziekolwiek: na ulicy, podwórku, warsztacie lub fabryce – nie zna i nie widzi tego, który bibułę rozrzucał, i w razie złapania u niego książki niecenzuralnej ma łatwy i naturalny sposób usprawiedliwienia się przed władzą. „Znalazłem tam, i tam” – brzmi lakoniczna, nikogo nie kompromitująca odpowiedź na żandarmskie rozpytywanie o bibułę.

Następnie rozrzucenie daje się względnie łatwo uskutecznić i nie wymaga wcale istnienia szerszej organizacji kolporterskiej, ani też obszernych stosunków wśród ludzi, dla których bibuła jest przeznaczona. Przecie znacznie łatwiejszym i bezpieczniejszym jest rozrzucenie, dajmy na to, stu egzemplarzy jakiegoś wydawnictwa, niż posiadanie stu znajomych ludzi, którzy wezmą te egzemplarze z rąk do rąk. Idź i syp na prawo i lewo – recepta to nietrudna, a wykonanie jej uwarunkowane jest jedynie krótkotrwałym wyładowaniem pewnej energii u niewielkiej ilości ludzi.

Wobec tego rozrzucanie nielegalnych wydawnictw partyjnych spotykamy wszędzie przy pierwszych krokach, stawianych przez organizację rewolucyjną. Jak mnie zapewniano, więcej, niż połowa nakładu „Robotnika” w początkach jego istnienia, w r. 1894 i 1895, była rozsypywana wśród ludności fabrycznej i rzemieślniczej w głównych ogniskach przemysłowych Polski. To samo było z „Górnikiem”, wydawanym przez PPS. dla Zagłębia Dąbrowskiego. Według relacji, otrzymanych przeze mnie co do Rosji i Ukrainy, i tam dotąd przeważa system rozrzucania wydawnictw – odezw i broszur rewolucyjnych – wśród ludu pracującego.

Jeden z towarzyszków, który pracował właśnie w tym pierwszym okresie ruchu w Zagłębiu Dąbrowskim, opowiadał o swych wrażeniach w sposób następujący:

– Źle staliśmy wówczas pod względem organizacyjnym w Zagłębiu. Ludzi w organizacji było bardzo mało, socjalizm też był ideą o tyle nową, że wśród robotników, stojących na dosyć niskim stopniu kulturalnym, trudno było go rozpowszechniać ustnie. Oswajaliśmy masy z „dobrą nowiną” socjalizmu przez rozrzucanie wydawnictw naszych w wielkiej ilości.

Prawie co wieczór garstka nasza wychodziła na robotę. W kieszeniach każdy z nas miał kupkę najpopularniejszych broszur – głównie rozpowszechnialiśmy „Sprawę Górnica”, specjalnie dla górników przeznaczoną. Każdy z nas znał wertepy Zagłębia, jak swoją kieszeń. Było to koniecznie potrzebnym, bo wypadało nam trafiać do określonych zawczasu punktów w nocy, omijając zarówno bardziej zaludnione miejscowości, jak doły i odkrywki kopalniane, w których łatwo kark skrócić.

Chodziliśmy dla bezpieczeństwa parami i z góry określaliśmy dla każdej pary miejscowość, którą obejść należało. Dopiero nad ranem, po nużącej wędrówce po błocie dąbrowskim, przychodziło się do domu zmęczonym i wyczerpanym zupełnie.

Wkrótce zaczęły krążyć legendy o tajemniczych ludziach, rozrzucających książeczki. Dochodziły do nas wieści o rozmowach, toczonych wśród robotników pod wpływem bi-

buły. Nasze broszury spodobały się ludziom. W pamięci zostało u mnie parę scen, świadczących o takim sympatyzującym stosunku ludności robotniczej do bibuły.

Razu pewnego, już nad ranem, gdy kończył swoją robotę i zostało mi parę broszur w kieszeni, postanowiłem podrzucić je w najbliższej kolonii robotniczej – grupie domków górniczych, otaczających najbliższą kopalnię. Szedłem szybko, zamyśliłem się i nie spostrzegłem, że w okienku, do którego zmierzałem, świeci się mdły ogieniek, że ludzie już tam wstali. Gdy to dojrzałem, stałem już przed oknem, tak, że nie tylko ja widziałem wnętrze ubożego pokoiku, lecz i sam byłem widocznym dla mieszkańców lokalu.

W pokoju górnik spiesznie ubierał się, a żona jego, jeszcze w koszuli, przygotowywała mu śniadanie. Oboje spostrzegli mnie przed oknem i wyraz twarzy ich mówił o zdumieniu. Bałem się, by nie zrobili alarmu, mógłbym bowiem być złapanym, jako złodziej. Postanowiłem zaryzykować.

Wyciągnąłem z kieszeni książeczkę, pokazałem ją przez okno górnikowi i położyłem na murze koło okna. Na twarzy górnika zakwitł uśmiech – rozumiał, o co mi chodzi, – oboje zakiwali głowami w znak zgody i podziękowania. Uspokojony ruszyłem do domu.

Innym razem, podchodząc w ciemności do domków robotniczych, nie spostrzegłem, że obok domu stał człowiek. Gdy wyciągnąłem z kieszeni książeczkę i zamierzałem ją położyć koło okna, wpadł na mnie pies, ujadając wściekle. Chciałem się wycofać z interesu, gdy usłyszałem głos.

– Pójdź tu, psiakrew! – odwoływał ktoś psa, ktoś stojący ode mnie bardzo blisko.

Zrozumiałem, iż ten, kto odwoływał psa, musiał widzieć moje ruchy, musiał dostrzec i broszurę, wyjmowaną z kieszeni. Położyłem więc spokojnie bibułę tam, gdzie zamierzałem, i oddaliłem się. Pies raz jeszcze spróbował spełnić swój obowiązek i groźnie zaszczekał. Po chwili jednak usłyszałem uderzenie i przeraźliwe skomlenie uderzonego psa, którego raz jeszcze powstrzymał ów nieznamy.

Naturalnie, taki prosty sposób rozrzucania bibuły nie jest przydatnym dla miast, porządnie obsadzonych policją i szpiegami, – jak Warszawa albo Łódź. Tam proces rozrzucania wymaga większego nakładu pracy i sprytu. Opowiadano mi pomiędzy innymi, że przez dłuższy czas w Łodzi udawało się rozpowszechniać sporą ilość „Robotnika” przez łobuzów ulicznych.

Dawało się takiemu chłopczykowi paczkę „Robotnika” i złotówkę lub czterdziestkę z nakazem, by rozdał „te ogłoszenia” robotnikom przy wyjściu ich z fabryki. Robiło się to przed samym końcem roboty, tak, że chłopak mógł widzieć, iż oddawca „ogłoszeń” kontroluje go przy spełnianiu wziętego na się obowiązku.

W istocie, chłopak stawał u wyjścia z fabryki i, gdy robotnicy tłumnie zaczęli wychodzić z furtki lub bramy, raz po raz wysuwał egzemplarz „ogłoszenia”, podając go przechodniowi. Policja, gdyby nawet i była na ulicy, nie spostrzegłaby nic zdrożnego, bo taki malec z „ogłoszeniami” ginął w ogromnym, liczącym kilka setek ludzi, tłumie.

– Zabawnym było – mówił mi towarzysz z Łodzi – obserwować, co robią ludzie z otrzymanym „Robotnikiem”. Niektórzy rzucali okiem na tytuł i pośpiesznie chowali papier do kieszeni. Inni z miną wystraszoną oddawali pismo chłopakowi, lecz byli i tacy, którzy tutaj, na ulicy, stawali i przeglądali otrzymane „ogłoszenie”. Tworzyły się nawet grupki ludzi, otaczających zwartą masą jednego, który widocznie na głos czytał ten lub inny ustęp z „Robotnika”. Najzabawniejszym zaś było patrzeć na „salcesona” – tak w żargonie złodziejskim nazywają policjantów, – który z najobojętniejszą w świecie miną patrzył filozoficznie na otoczenie, nie przeczuwając, że tuż obok niego dzieją się tak zdrożne i buntownicze rzeczy.

Po pewnym czasie doszło jednak do wiedzy władzy, że ktoś rozdaje pod fabrykami „buntownicze” pisma. Któregoś z chłopaków przyłapano na gorącym uczynku i trzeba było zaprzestać rozdawnictwa „ogłoszeń”.

Pomimo jednak prostoty i łatwości samego procesu rozrzucania bibuły, sposób ten ma i odwrotną stronę, która stopniowo ogranicza zastosowalność jego przy rozpowszechnianiu druków nielegalnych i zmusza szukać innych, bardziej skutecznych, bardziej płodnych w rezultaty.

Przede wszystkim więc taką odwrotną stroną medalu przy rozrzucaniu bibuły jest zupełny brak danych o osobie, której się podrzuca ten lub ów druk zakazany.

Wobec tego, że przy rządach carskich ogromną część ludności stanowią analfabeci, – bibuła często trafiać musi do ludzi, którzy z niej żadnego pożytku mieć nie mogą. Oprócz tego bibuła łatwo trafić może do rąk niepożądanych, do jej wrogów, czy to z urzędu – szpiegów i urzędników, czy to z ciemnoty – ludzi, zostających pod wpływem np. księży, w wypadku, gdy bibuła jest socjalistyczną. Dodajmy jeszcze tchórzostwo, które zmusza wielu do niszczenia każdego nielegalnego druku, dodajmy ludzi zupełnie obojętnych na wszelkie wpływy, którzy ani zajrzą do podrzuconego egzemplarza bibuły, a zrozumiemy, jak mało produkcyjnym jest sposób rozrzucania. Można z pewnością powiedzieć, że dwie trzecie bibuły rozrzuconej ginie bez pożytku, pozostaje bez wpływu.

Stąd wynika druga ujemna cecha systemu rozrzucania – jego kosztowność. Wobec trudności przy sprowadzaniu bibuły i przy jej produkcji w kraju każdy egzemplarz druku zakazanego kosztuje sporo. Jak mi opowiadano, obliczenia P. P. S. wskazują, że koszt transportu podnoszą mniej więcej cenę książki lub broszury w dwójnasób. Można więc sobie wyobrazić, jakie mnóstwo pieniędzy wrzuca się najliteralniej w świecie w błoto, gdy się trzyma systemu rozsypywania i podrzucania bibuły. Przecie w tym wypadku nie może być i mowy, by wrócił choć jeden cent z pieniędzy, wydanych na wydrukowanie i przetransportowanie książki czy broszury.

Najgorszym jednak w systemie rozrzucania jest jego minimalna skuteczność pod względem organizacyjnym, jego niezdolność do przysparzania członków organizacji, do związywania ludzi z grupą rewolucyjną, rozsypującą bibułę. Bibuła w tym wypadku spada ludziom z nieba, otrzymują ją oni bez zaciągania przy tym jakichkolwiek zobowiązań względem tych, od kogo ona pochodzi. Więcej nawet – przy stałym stosowaniu tego systemu ludzie się przyzwyczajają do uważania siebie za przedmiot jakichś operacji, dokonywanych nad nimi przez kogoś im obcego, nieznanego, niczym z nimi nie związanego.

Wpływ bibuły w tym wypadku, na razie może i silny, słabnie, a w każdym razie jest zupełnie nieuchwytnym – nie daje się ani zmierzyć, ani regulować. Organizacja, uprawiająca stale i jedynie system rozrzucania swych wydawnictw, staje się podobną do jeźdźca, który w ręku nie ma cugli do kierowania rumakiem. Szczególnie zgubnym jest taki skutek systemu rozrzucania dla organizacji socjalistycznej, która siłę swą czerpać musi nie tylko z świadomości ludu pracującego, lecz i z organizowania jego w swych szeregach, z udziału jego w pracach i działalności organizacyjnej. System rozrzucania bibuły stosowanym być może jedynie, jako sposób przejściowy, stopień, po którym wspiąć się można wyżej, by wyjść na normalniejszą drogę.

Zresztą, każda organizacja, która się rozwija, drogą naturalnej ewolucji dojść musi do ograniczenia, jeśli nie do zupełnego porzucenia tego sposobu. Bo gdy szeregi organizacyjne rosą w liczbę, rośnie też i ilość bibuły, spotrzebowanej w łonie organizacji. A że zdolność wytwórcza organizacji dla bibuły nie jest czymś nieograniczonym, że z konieczności wzrastać ona może tylko wolno, nie gwałtownie, ilość bibuły, pozostającej dla rozrzucenia, stopniowo musi maleć, redukować się do coraz mniejszej liczby.

Znamienną jest ewolucja, dokonana pod tym względem przez P. P. S. przy rozpowszechnianiu swego organu – „Robotnika”. Zaczęto od tego, że połowę nakładu, który wynosił wówczas 1200 egzemplarzy, rozrzucono. Jak mi opowiadano, stosunki organizacyjne partii podlegały w owe czasy takiej fluktuacji, że przy niektórych numerach początkowych zaledwie czwarta część nakładu szła z rąk do rąk w łonie samej organizacji. Stopniowo jednak sytuacja się polepszała z każdym miesiącem. Organizacja wznagała się, rosły też żądania bibuły.

Wobec tego rozpoczęto walkę z systemem rozrzucania bibuły. W tych stosunkach, gdzie uprawiano ten sport na większą skalę, obcinano żądania, dając mniejszą ilość „Robotnika” dla rozpowszechnienia. Pomimo to już w 1896 r. – w dwa lata po rozpoczęciu wydawnictwa – trzeba było powiększyć nakład do 1300, 1400, wreszcie do 1500 egzemplarzy. Jak mi opowiadano, walka z rozrzucaniem bibuły, a szczególnie „Robotnika”, trwała dosyć długo. Ludziska ogromnie się do tego sposobu rozpowszechniania wciągnęli i przyzwyczaili. Przytaczano rozmaite argumenty w celu utrzymania go i nadal, a niepoślednią rolę odgrywał jakoby argument o bezpieczeństwie rozpowszechniających w ten sposób bibułę.

Z czasem jednak zwycięstwo zostało odniesionym – „Robotnika” przestano rozrzucać, a zarazem liczba jego czytelników stale wzrastała. W r. 1899 biliśmy już 1900 egzemplarzy. Od tego czasu nakład nie wzrastał. Na przeszkodzie stoją warunki techniczne. Przy wzrastaniu liczby odbijanych egzemplarzy wzrastać też musi, rzecz prosta, i czas, zużyty na pracę przy maszynie, i „Robotnik”, który już teraz wymaga 15–16 dni dosyć ciężkiej roboty, musiałby ukazywać się rzadziej.

W tych warunkach, jak mi opisywano, zarząd partyjny zmuszony jest obcinać wszelkie żądania „Robotnika”, odmawiać stale natarczywym wymaganiom poszczególnych organizacji co do zwiększenia ilości otrzymywanych egzemplarzy pisma. Czytelnicy, którzy z konieczności zastosować się musieli do tego postanowienia, znaleźli radę na nieszczęście. Nastąpił proces, że go tak nazwę, zrzekania się czytelników „Robotnika”. Polega on na tym, że grono ludzi, dobrze znających się wzajemnie, umawia się o kolejkę, jaką obiegnie nowy numer „Robotnika” całe zrzeszone koło. Grono ludzi, w ten sposób zrzeszonych, składa się nieraz z 10 stałych czytelników bibuły. Najbardziej rozpowszechnionym jest ten nowy sposób w najstarszych, dobrze ugruntowanych organizacjach, które, rzecz prosta, są najbardziej przez zarząd partyjny krzywdzone przy podziale nakładu „Robotnika” na rzecz nowych, zawiązujących się organizacji.

Nie trzeba jednak sądzić, że podrzucanie bibuły zostało zaniechanym w zupełności. Praktykuje się ono dotąd, nieraz na szeroką skalę, lecz w każdym wypadku posiada ono cechy pewnej celowości i spowodowane jest chęcią wywołania z góry określonego efektu. Przede wszystkim więc podrzuca się bibułę ludziom, których się chce wypróbować.

Zrozumiałą jest rzeczą, że przy okrutnych prześladowaniach, jakie spadają na organizacje rewolucyjne pod caratem, trzeba być bardzo ostrożnym przy przyjmowaniu nowych członków do organizacji. Trzeba zbadać nie tylko przekonania i poglądy kandydata, lecz i jego charakter osobisty. Takim probierzem zarówno poglądów, jak charakteru bywa nieraz egzemplarz bibuły, podrzucony badanemu kandydatowi. Co kandydat z bibułą zrobi – zniszczy ją, czy puści dalej, odda ją w ręce władzy rządowej lub fabrycznej, co będzie mówił o podrzuconym egzemplarzu druku – wszystko to bierze się w rachubę, zważa się i ocenia.

Opowiadano mi o jednej takiej próbie, dokonanej w mrocznych korytarzach którejś kopalni w Zagłębiu Dąbrowskim.

Ludzie, zorganizowani w tej kopalni, mieli chrapkę na jednego z górników, który podobał się z powodu dosyć wysokiego poczucia godności osobistej, jakim ów kolega pracy wyróżniał się z pomiędzy otoczenia. Lecz górnik był mrukiem i niechętnie prowadził rozmowy, trudno więc było go wysondować. Postanowiono dla próby podrzucić mu egzemplarz „Górnika”. Położono bibułę w załomie filaru węglanego, obok miejsca, gdzie ów górnik zwykł był składać różne rzeczy, gdy mu zawadzały przy robocie.

Sprawdzono, że bibuła znikła, więc górnik, badany przez towarzyszków, musiał ją zabrać, lecz wobec milczenia nie można było określić stosunku jego do bibuły i idei, przez nią reprezentowanej. Postanowiono prowadzić próbę dalej. Gdy wyszedł nowy numer „Górnika”, podrzucono go znowu. Numer ten znikł, jak poprzedni, i kilka dni minęło bez żadnego widocznego rezultatu. Towarzysze organizacyjni byli zniechęceni i zamierzali zaniechać dalszych badań w tym kierunku, lecz na usilne prośby jednego z nich, który najbliżej znał badanego kolegę, zaryzykowano raz jeszcze.

Po trzecim numerze milczący górnik przemówił. Nazajutrz po otrzymaniu bibuły zwrócił się on do kolegi, który go protegował w organizacji, i prosił go o radę. Opowiedział mu o trzykrotnym podrzuceniu i wyznał, że mu gazetka spodobała się ogromnie. Nasz towarzysz udał, że nie rozumie, o co chodzi.

– Jaka gazetka? – pytał, – żadnej nigdy nie widziałem.

Górnik pod wielkim sekretem dał mu do przeczytania wszystkie trzy numery. Koledzy zeszli się znowu i długo gawędzili o różnych sprawach, poruszanych przez „socjalne” pismo.

Pomiędzy innymi badany górnik chciał sobie rozstrzygnąć pytanie, skąd pochodzi podrzucone mu pismo.

– Nie skarbnik<sup>1</sup> przecie – rozumował, – on się tym nie zajmuje. Musi to robić ktoś obchodzący kopalnie w tym celu. I wiesz – dodał – co mnie męczy? Drukowanie takich rzeczy musi kosztować sporo pieniędzy. W gazetce na końcu są nawet pokwitowania, więc ktoś wydawcom za gazetkę płaci.

A mnie wstyd, że już trzy numery otrzymałem i ani grosza za to nie zapłaciłem. Zapewne ten, kto gazetę roznosi, łaje mnie. „Łajdak, – mówi, – gazetę czytasz, chwalisz ją, a złamanego szeląga od ciebie nie widzę”. Łamałem już sobie głowę nad tym, jak to urządzić, by pieniądze do gazety doszły. Odłożyłem już na ten cel pół rubla z ostatniej wypłaty. Ale jak to zrobić?

– Jak sądzisz? – pytał, – czy dobrze będzie tak, jak teraz sobie wykombinowałem. Ten, kto chodzi i gazetkę rozrzuca, oczekuje pewnikiem, że pieniądze za gazetkę będą położone w tym samym miejscu, co i pismo. Musi je znaleźć. Co?

Przyjaciel zgodził się, że to projekt najpewniejszy. Tak też nasz górnik postąpił. Gdy znalazł po raz czwarty pismo, położył na to miejsce 50 kopiejek i odszedł. Naturalnie, towarzysz, który już o tym wiedział, zabrał pieniądze i ku wielkiemu zadowoleniu ofiarodawcy w następnym numerze w pokwitowaniach było wydrukowane: Z filaru w chodniku takim to za gazetę 50 kopiejek.

Bibułę podrzucają również ludziom, których podejrzewają o ściślejsze stosunki z policją lub władzą fabryczną, a to w celu skontrolowania, co taki pan z podrzuconym egzemplarzem zrobi. Fakt oddania bibuły w ręce tej lub owej władzy świadczy o złej woli człowieka i nakazuje być ostrożnym z nim we wszystkich sprawach.

---

<sup>1</sup> Według legend górniczych istnieje duch opiekuńczy, zwany „skarbnikiem”, który od czasu do czasu ukazuje się w kopalniach, szczególnie, gdy ma się zdarzyć wypadek z ofiarami ludzkimi. Przeważnie ukazują się on w ubraniu sztygarów pruskich, jakie noszono niegdyś przy początkach górnictwa w Zagłębiu.

Poza tym podrzucanie bibuły jest praktykowane w stosunkach, mało zbadanych, nie szeroko rozgałęzionych, lub w takich, do których zwyczajną organizacyjną drogą na razie trafić niepodobna. Przez dłuższy czas sposób ten praktykowano w stosunku do ludności wiejskiej w okolicach podmiejskich. Do ostatnich czasów, gdy partia rozpoczęła prawidłową działalność wśród ludu wiejskiego, bibuła partyjna szła na wieś przeważnie takim właśnie pierwotnym sposobem.

W niedzielę lub święto, szczególnie latem, robotnicy zaopatrywali się w przeczytaną już i zbyteczną bibułę i wyruszali za miasto, by wetknąć ją gdziekolwiek na wsi. Naturalnie, urządzano podrzucanie w ten sposób, by egzemplarz bibuły jak najprędzej wpadł w oko komukolwiek. Prawie w każdym mieście, w którym P. P. S. ma stosunki wśród ludności robotniczej, znajduje się kilku takich amatorów wędrówek zamiejskich w celu podrzucenia paru egzemplarzy bibuły w tej lub owej wsi podmiejskiej.

Na większą skalę organizowała P. P. S. rozrzucanie bibuły wśród wieśniaków w czasie odpustów w Częstochowie, gdy pod Jasną Górą zbiera się z różnych stron kraju do setki tysięcy pobożnych pątników. Opowiadano mi o wypadku, gdy w czasie jednego z odpustów rozrzucono i rozdano 10 tysięcy egzemplarzy wydawnictw socjalistycznych, specjalnie w tym celu wybranych z asortymentu partyjnego. Mówię – rozdano, bo niektórzy z cwaniaków warszawskich, posłanych do Częstochowy dla wykonania planu, posunęli swą śmiałość do tego, że krążyli w tłumie, pytając ludzi, czy umieją czytać? Dawano książki tylko tym, którzy na to pytanie odpowiadali twierdząco.

Takim amatorem puszczenia na wieś bibuły był pomiędzy innymi zmarły na wygnaniu w Syberii towarzysz Błażejewicz<sup>1</sup>, stolarz warszawski, który należał do pierwszych organizacji socjalistycznych w Warszawie. Wysłany na Sybir jeszcze przed zawiązaniem pierwszej partii socjalistycznej w Polsce Proletariat, wrócił z wygnania po kilku latach i, gdy mu zabroniono mieszkać w Warszawie, osiadł w Wilnie.

Tutaj stary wyga rewolucyjny puścił wodze swemu temperamentowi. Zawsze chodził obładowany broszurami, które wtykał ludziom przy każdym spotkaniu. Szczególnie jednak lubiał operować na dworcu kolejowym w czasie dorocznej pielgrzymki pobożnych wieśniaków do Kalwarii pod Wilnem, gdy przed każdym pociągiem w sali trzeciej klasy znaleźć można tłumy siermiężnych chłopów. Błażejewicz wpadał do tego tłumu, wyszukiwał wśród niego inteligentniejsze twarze, rozpoczynał rozmowę, wreszcie zapytawszy, czy chłop umie czytać po polsku, dawał mu książeczkę.

– *Na, schawaj!* – mówił po białorusku, – *ad biskupa*.

Wychowaniec starej szkoły rewolucyjnej nie chciał się pozbyć różnych demagogiczno-klerykalnych zwrotów, którymi otwierał serca chłopów. Jak mi opowiadano, młodsze pokolenie rewolucyjne staczało z nim o to „ad biskupa” długie walki, lecz przekonać go nie mogło.

W ogóle wieś, przy braku porządnie zorganizowanej policji oraz przy naiwności i zaufaniu do druku swych mieszkańców, zawsze jest idealnym terenem dla operacji rozrzucania bibuły. A wobec tego, że stosunki organizacyjne – przynajmniej w organizacjach socjalistycznych – na wsi mogą być tylko skutkiem poważniejszego ich rozwoju w miastach, wszystkie młode organizacje zaczynały na wsi robotę od rozrzucania wśród wieśniaków bibuły. Pomędzy innymi rozruchy chłopskie w guberniach Połtawskiej i Charkowskiej, rozruchy, które niedawno tyle narobiły hałasu, były skutkiem rozrzucenia w tych okolicach całego mnóstwa bibuły ukraińskiej, przeważnie tłumaczenia doskonałej broszury polskiej „Ojciec Szymon”.

---

<sup>1</sup> Działacz socjalistyczny, Maciej Błażejewicz, były uczestnik powstania 1863. Aresztowany wielokrotnie, zmarł na zesłaniu w Minusińsku w r. 1897.

Ale i na wsi, rzecz prosta, przy rozwoju stosunków ewolucja kolportażu musi doprowadzić do stopniowego zarzucania pierwotnego systemu i przechodzenia do wyższego typu rozpowszechniania bibuły. Tym wyższym typem rozpowszechniania bibuły jest kolportaż właściwy – oddawanie druku nielegalnego z ręki do ręki w zamian czy to pieniędzy, czy też tych lub innych zobowiązań względem organizacji partyjnej. Ten typ jest obecnie w P. P. S. najbardziej rozpowszechnionym, jest stałym niejako prawem, regułą, względem której inne sposoby są wyjątkami.

Bibuła periodyczna z centrów partyjnych, a broszurowa i książkowa z detalicznych składów-księgarń dostaje się do rąk pierwszych odbiorców. Ci przeważnie biorą ją nie dla siebie, lecz dlatego, że mają zamówienia odpowiednie do innych, dalej od ognisk partyjnych stojących towarzyszy. Jest to drugi stopień, po którym bibuła schodzi w głąb ludową. Najczęściej druk zakazany na tym stopniu nie zatrzymuje się długo. Niekiedy, mianowicie, gdy zaszła co do książki lub numeru pisma odpowiednia umowa, bibuła wraca znowu na pierwszy stopień, by wyruszyć w inną stronę, przeważnie jednak po pewnym czasie idzie ona dalej w świat.

W pierwszym wypadku formuje się coś w rodzaju wypożyczalni bibuły. Egzemplarz jej raz po raz zmienia czytelnika, lecz zawsze wraca do pierwotnego jej posiadacza – zwykle członka organizacji partyjnej. Prawie w każdej organizacji lokalnej istnieje lub istnieją takie wypożyczalnie, liczące tytuły dziesiątkami. Są amatorowie takiego właśnie systemu rozpowszechniania bibuły. Ci usilnie starają się, by wypożyczalnia posiadała możliwie wszystkie wydawnictwa partyjne, by zadowolić mogła każde wymaganie klienteli.

Kiedym był redaktorem „Robotnika”, miałem podręczny komplet naszego pisma. Przypadkiem spaliłem wraz z niepotrzebnymi papierami jeden z pierwszych numerów „Robotnika”. Zmartwiony byłem tą stratą, gdyż przypuszczałem, że jest ona do niepowetowania. Pięć lat minęło od wydania numeru i trudno było przypuszczać, by gdziekolwiek w organizacji krajowej, podlegającej tylu perturbacjom – rewizjom i aresztowaniom – mógł się zachować tak dawny numer.

Po pewnym czasie dostarczono mi ów zaginiony numer. Powiedziano mi, że pochodzi on z takiej właśnie wypożyczalni w Zawierciu, osadzie fabrycznej pomiędzy Dąbrową a Częstochową. Dodano przy tym, że towarzysz, zarządzający wypożyczalnią, był ogromnie zmartwiony koniecznością zdekompletowania swego zbioru, lecz zrobił ofiarę przez wzgląd na potrzeby redakcyjne. Egzemplarz, który w owe czasy był dla mnie ciekawym okazem, swym zewnętrznym wyglądem dawał wspaniałe świadectwo swej służby.

Był to druk zaczytany i przechodzony co się zowie. Głębokie rysy, idąc w różnych kierunkach, świadczyły, że go zginano rozmaicie, odpowiednio do wielkości tej lub owej kieszeni.

Każda stronica nosiła ślady dotknięcia ręki, zatłuszczonej lub pokrytej sadzą. Rogi dolne arkusików od częstego zetknięcia się z palcami czytelników były albo oddarte, albo też, gdy się zadzierała i część tekstu, podklejone nowym papierem. W wielu miejscach druk stał się prawie nieczytelny i jakaś troskliwa ręka porobiła na marginesach odpowiednie dodatki. Kartki były podziurawione w kilku miejscach – świadectwo, że już kilkakrotnie egzemplarz „Robotnika” podlegał operacji zszywania. Słowem, widocznym było, że w ciągu ubiegłych pięciu lat egzemplarz bibuły nie próżnował i przechodził ustawicznie z rąk do rąk, od jednego czytelnika do drugiego.

Ile to – myślałem – takich zaczytanych egzemplarzy bibuły przechowuje się, jak świętość, w różnych zakątkach Polski! Ilu to ludzi starannie podkleja rozszarpane kartki, zszywa i pielęgnuje te ćwiartki zadrukowanego papieru! Przyznam się otwarcie, po obejrzeniu tego szacownego egzemplarza druku zakazanego byłem nieco wzruszony i z po-



dwójną przyjemnością siadłem do pracy nad nowym kolegą opisanego weterana ruchu rewolucyjnego.

Druga, większa część bibuły nie wraca, jak to powiedziałem, do pierwotnych posiadaczy druków – organizatorów kolporterki. Idzie ona dalej, spuszcza się jeszcze głębiej w morze ludowe. Im dalej egzemplarz bibuły odsuwa się od ogniska partyjnego, tym bardziej niknie kontrola nad jego poruszeniami i nad wpływem jego na czytelników i otoczenie.

Bez wątpienia, część takiej bibuły zostaje zniszczona, inna część trafia przy rewizjach do rąk żandarmów i prokuratorów, wzbogacając archiwa rządowe. Lecz bodaj największa ilość wędruje z rąk do rąk, zataczając niekiedy szerokie bardzo koła, zaglądając do zakątków, o których ani się śniło tym, co dany egzemplarz w ruch puścili. Jak powiedziałem, jakakolwiek kontrola, jakiegokolwiek obliczenie dla tej ostatniej części bibuły jest zupełnie niemożliwe.

Fakt istnienia czytelnictwa pozapartyjnego jest niezaprzeczalnym i nieraz próbowano, choć w przybliżeniu, obliczyć jego rozmiary. Dla wielkich miast, dużych skupień ludzkich, w których pojedynczy ludzie przeważnie mało się znają, takie obliczenie jest, naturalnie, niemożliwe. Lecz w mniejszych miasteczkach, gdzie życie prowincjonalne zbliża ludzi do siebie i pozwala na skuteczniejszą obserwację otoczenia, obliczenie podobne może mieć pewne cechy prawdopodobieństwa.

Opowiadano mi, że jedna z organizacji lokalnych, pracująca w sporym miasteczku fabrycznym, postanowiła określić, ilu też robotników w fabrykach miejscowych czyta bibułę P. P. S-ową. Specjalnie zajmowała ich ta kwestia w stosunku do najulubieńszego dziecka partyjnego – „Robotnika”. Przy badaniach i poszukiwaniach postępowano nadzwyczaj ostrożnie i wszelkie wątpliwe wypadki odrzucano, nie wciągając ich do rachuby.

Przy obliczeniach kierowano się wrażeniami z rozmów koleżeńskich. Z nich każdy obserwacyjny umysł z łatwością wywnioskować może o wpływach, którym obserwowany podlega. Słowa i określenia różnych stosunków, nawet zdania całe, żywcem z „Robotnika” wyrwane, łatwo zdradzają czytelników jego. Otóż obrachowano, że w owym miasteczku, liczącym do 20 tysięcy mieszkańców, jest z pewnością nie mniej, niż 400 stałych czytelników „Robotnika”. A że organizacja otrzymywała dla rozpowszechnienia 40 egzemplarzy tego pisma, wywnioskowano, że przeciętnie liczyć trzeba w każdym miejscu po 10 czytelników na każdy egzemplarz „Robotnika”.

Nie da się zaprzeczyć, że powyższe obliczenie jest nadzwyczaj nieściśłym. Lecz, jeśli chodzi o poprawkę w nim, tobym ją zrobił w kierunku powiększenia wyniku cyfrowego. Powiększenie takie jest koniecznym, gdy się uwzględni wędrówki bibuły nie tylko w obrębie danej miejscowości, lecz i dalsze – do innych miast, miasteczek i wsi.

Faktem jest niezaprzeczonem – opowiadali mi o nim wszyscy ludzie, którzy się stykali z robotą partyjną w różnych miejscach kraju – że bibuła wszędzie wyprzedza organizację. Każdy nowy punkt, do którego tą lub inną drogą wkracza organizacja, każdy nowy stosunek w tym lub owym miejscu miał już przed tym bibułę. Skąd? jaką drogą? – najczęściej trudno nawet zbadać. Wypadki zaś, gdy ta kwestia została rozstrzygnięta, wskazywały, że bibuła potrafi wędrować o setki kilometrów, przerzucać się z miejsca na miejsce drogami, zupełnie niemożliwymi do przewidzenia i uregulowania. Opowiadano mi, że w ostatnich czasach, gdy partia rozpoczęła szerszą działalność na wsi, spotkano się z tym samym zjawiskiem – bibuła partyjna już dotarła i tam, wyprzedzając organizatora lub agitatora partyjnego.

Jeden z towarzyszków, który przez dłuższy czas pracował po różnych prowincjonalnych dziurach, opowiadał mi o zabawnych odkryciach, jakie niekiedy robił przy stykaniu się z nowymi stosunkami.

– Wiesz – mówił mi, – mam trochę patriotyzmu lokalnego. Czuję specjalne przywiązanie do miasta, gdzie się urodził i spędził swe dzieciństwo. Otóż, gdy się stał socjalistą i zaczął pracować w organizacji P. P. S-owej, irytowało mnie niezmiernie, że w moim rodzinnym mieście jest tak cicho, jak makiem posiał. Za każdym razem, gdy otrzymywałem „Robotnika”, przeglądałem go od początku do końca, chcąc w nim wynaleźć choćby najlżejszą wzmiankę o mieście, które mnie tak żywo obchodziło – zawsze byłem rozczarowany. Moje N. N. spało widocznie w najlepsze.

– Wyobraź więc sobie – mówił dalej – moją radość, gdy przez robotników warszawskich otrzymałem adres jakiegoś rzemieślnika w moim rodzinnym mieście. Rzemieślnik ten był krewnym jednego z naszych warszawskich towarzyszy, który zapewniał, że jego kuzyn z chęcią by utrzymywał stosunki z partią i pomógłby, być może, do zawiązania tam lokalnej organizacji partyjnej.

Rozpytywałem najstaranniej, czy posyłano kiedy bibułę, lecz na to nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Wobec tego wziąłem z sobą komplet wydawnictw nowych i dawniejszych i wyruszyłem w drogę. W drodze ustawicznie się przygotowywałem do rozmowy z ludźmi, którzy nic, albo prawie nic o socjalizmie, a tym bardziej o partii i jej życiu, nie wiedzą. Uplanowałem sobie, od czego zacznę, jak poruszę tę lub ową sprawę.

Wreszcie przyjeżdżam do owego rzemieślnika, wskazanego mi z Warszawy. Opowiadam mu się, jak należy, powołuję się na krewniaka i mówię, z czym przyjechałem. Przyjmuje mnie chłop serdecznie, jak anioła, zesłanego mu z nieba. Na wieczór obiecuje mi zgromadzić kupę ludzi odpowiednich. Wiem, co to oznacza w początkach ruchu. Na takie zebranie ściągają mnóstwo ludzi, bez wątpienia zacnych i pocziwych, lecz będących w większości wypadków, jako materiał organizacyjny, zupełnym zerem, ludzi, którzy chętnie słuchają, o czym to przyjezdny „pan” mówi, ale którzy co najwyżej będą jedynie czytać to, co im wsuną w rękę.

Wobec tego uprzedzam mego gospodarza, że chciałbym się zobaczyć tylko z takimi ludźmi, którzy mogliby pracować razem z nami nad rozwojem sprawy. Tłumaczę mu, że lepiej na początek mieć do czynienia z niewielką garstką ludzi, chcących robić, niż z wielu słuchaczami.

– Wiem, wiem – przerwał mi dowodzenie gospodarz – sprowadzę tu tylko tych, co już coś niecoś robią, co już są zorganizowani.

Ostatnie słowa wymówił z pewną dumą.

– Zorganizowani? – spytałem zdumiony, – to wy już macie organizację?

– A jakże – odparł urażony rzemieślnik – organizację socjalistyczną.

Coraz bardziej zdziwiony zacząłem rozpytywać o tę organizację. Okazało się, że pod wpływem bibuły, która do mego miasta Bóg wie jakimi drogami zawędrowała, u kilku rzemieślników powstała myśl zawiązania organizacji, a raczej kółka. Członkowie tej samorzutnej organizacyjki zbierali się regularnie, obgadywali różne sprawy lokalne, czytali wspólnie legalne i nielegalne książki, jakie im trafiały do rąk. Mój nowy znajomy obiecał mi przynieść spis bibuły, będącej u nich na składzie, który zarazem był wypożyczalnią, obsługującą, jak się okazało, dosyć szerokie grono ludzi poza ścisłym kołem początkowym.

Wieczorem zebraliśmy się. Było nas niewielu – siedmiu czy ośmiu zaledwie. Rozpocząłem przygotowane już elementarne przemówienie. Słuchacze moi kiwali, co prawda, potwierdzająco głowami, lecz odczuwałem, że ich nie wzruszam. Zrozumiałem, że mówię im o rzeczach, dawno przez nich przetrawionych, i że widocznie oczekują oni ode mnie czegoś innego. Spróbowałem z innej beczki.

Zacząłem mówić o historii ruchu socjalistycznego w Polsce. Gdym doszedł do Proletariatu i zaczął mówić o bohaterskiej śmierci czterech powieszonych na stokach cytadeli towarzyszków, przerwano mi opowiadaniem, że kółko, z którym miałem do czynienia, urządziło u siebie obchód rocznicy śmierci proletariaczyków. Jak się okazało, trafił do nich numer „Robotnika” z odpowiednim artykułem i ta nieznana, niezwiązana z całością ruchu grupka wbrew swemu odosobnieniu stanęła do apelu w tym wypadku. Byłem tym nieco wzruszony, mówiłem więc prawdopodobnie cieplej i serdeczniej, tak, że w końcu zaprzyjaźniliśmy się na dobre.

W końcu zaczęto mię zasypywać pytaniami, żądaniem wyjaśnień w tej lub owej kwestii. Widocznym było, że przy czytaniu bibuły partyjnej powstawały w głowach członków organizacyjki wątpliwości, spory i teraz korzystano z mojej obecności, by lepiej rzecz wyjaśnić czy nawet ją rozstrzygnąć. Bawiło mię osobliwie, gdy mię pytano o sprawy, dawno przebrzmiałe, o których w Warszawie zupełnie zapomniano, a które tutaj żyły w umysłach pod wpływem „gorącego oddechu” świeżo przeczytanego słowa drukowanego.

Wyjechałem z mego rodzinnego miasta szczerze wzruszony i uradowany, a szacunek dla potęgi „bibuły”, którą zakuć w kajdany nie potrafili nasi wrogowie, wzrósł ogromnie.

Z takim wpływem bibuły – ciągnął dalej ów towarzysz – bibuły, która wyszła spod kontroli partii i wędruje po kraju niezbadanymi drogami, spotkałem się i na wsi, gdym rozpoczął tam robotę partyjną.

Razu pewnego udałem się na wieś w dosyć głuchym, oddalonym od naszych ognisk partyjnych zakątku, by nawiązać organizacyjny stosunek z paru chłopami, wskazywanymi mi przez wieśniaków podmiejskich, z którymi byłem już dawniej ustosunkowany. Zabrałem z sobą, jak i w poprzednim wypadku, odpowiedni asortyment bibuły. Gdym po wstępnych rozmowach w onej wsi pokazał bibułę chłopom, ci okazali się obznajomieni z większością broszurek przywiezionych. Ba, wymagano ode mnie, bym przywiózł inne broszury i nawet pisma, wymawiając tytuły z pewną chępliwością.

Zacząłem rozpytywać, skąd pochodzi ta nieoczekiwana przeze mnie znajomość z naszą literaturą partyjną. Dopytałem się wreszcie do źródła. Okazał się nim włościanin z sąsiedniej wsi, który – jak się dowiedziałem potem – miał brata w Łodzi, pracującego w przedzalni. Naturalnie, złożyłem wizytę temu gospodarzowi.

Był to chłop mądry. Rozprawiał z pewnym namaszczeniem o różnych rzeczach i sprawach, które przeważnie są obce nie tylko chłopom, lecz i przeciętnym robotnikom miejskim. Był abonentem jednej z legalnych gazet ludowych, a oprócz tego posiadał biblioteczkę. Zajrzałem do niej. Czego tam nie było? Trylogia Sienkiewicza obok tandetnych utworów Rodziewiczówny, parę tomików Orzeszkowej, Mickiewicza, masa książeczek ludowych, podręcznik fizyki i chemii, gruby rocznik „Gazety Rolniczej” obok „Biesiady Literackiej” – a wszystko to razem pomieszanę z mnóstwem wydawnictw nielegalnych.

Z tych ostatnich były i broszurki socjalistyczne, parę numerów „Robotnika”, „Przedświtu” i „Przeglądu Wszechpolskiego” z różnych lat i miesięcy. Widocznym było, że właściciel księgozbioru brał wszystko, co mu trafiło wypadkiem do ręki, i latami całymi układał tę pstrą biblioteczkę. Z rozmowy dowiedziałem się, że biblioteczka była zarazem i wypożyczalnią, gdyż właściciel książek chętnie dawał do czytania swym sąsiadom tę lub ową książkę czy broszurę.

Ale w tym księgozborze było swego rodzaju sanctuarium, stanowiące niepodzielną własność gospodarza. Był w nim ciekawy zbiór odezw różnych organizacji nielegalnych w Polsce. Widocznie nieco napuszony, agitacyjny styl odezwowy trafiał do gustu i przekonania mego gospodarza, gdy tak umiłowiał i tak skrzętnie zbierał tego rodzaju literaturę. Były w tym zbiorze odezwy rozmaitego gatunku – socjalistyczne i patriotyczne, traktujące o

strejkach i o wypadkach politycznych, drukowane i hektografowane. Niektóre z nich były widocznie przepisane z drukowanych egzemplarzy. Były to, jak mi wytłumaczył gospodarz, takie, które brat jego w Łodzi miał w ręku na czas pewien, nie na własność.

Najzabawniejszym było, że gospodarz swe amatorstwo do odezwo posunął do tego stopnia, że miał w swym zbiorze jedną odezwę rosyjską i dwie żydowskie, których, naturalnie, nie był w stanie przeczytać. Rosyjską przetłumaczyłem mu, za co serdecznie mi dziękował, a co do żydowskich, obiecałem mu również dostarczyć tłumaczenie i zanotowałem daty odezwo, by wiedzieć, o które mianowicie w tym wypadku chodzi.

Mówiąc o kolportażu, niepodobna pominąć finansowej jego strony. Znana jest rzeczą, że nawet w normalnych – nie rosyjskich – stosunkach wydawcy mają duże kłopoty z wydobyciem monety przy kolportażu wydawnictwa i zawsze liczyć muszą na pewien procent straty w tym interesie. Naturalnie, że w warunkach politycznych zaboru rosyjskiego straty te muszą być znacznie poważniejsze.

Jak już wykazywałem, prześladowania rządowe wytwarzają z konieczności złożony system pośrednictwa przy rozpowszechnianiu bibuły. Pieniądze za nią idą drogą odwrotną, również z ręki do ręki, przechodząc nieraz przez kilka ogniwo pośrednich, nim dojdą do ludzi, prowadzących interes wydawniczy. Przede wszystkim więc kontrola i rachunki muszą być ogromnie utrudnione, a zagmatwanie interesu zwiększa się jeszcze bardziej z powodu niemożliwości prowadzenia ani porządnego ksiąg rachunkowych, ani listy kolportatorów.

Rachunki są zapisywane na kartkach, mogących być łatwo zniszczonymi, w sposób zawily i niezrozumiały, by w wypadku wpadnięcia ich w ręce żandarmów nic z nich nie można było wywnioskować.

Gdy się w dodatku zważy, że ciągle rewizje i aresztowania raz po raz wyrwywają pośredniczące ogniwa kolportażu, że nawet obawa przed rewizją spowodowuje zniszczenie tego lub owego rachunku – można sobie wyobrazić, jak wielkim jest zamęt w tym interesie i jak trudno zdać sobie jasno sprawę z jego stanu. To też wątpię, by ktokolwiek z ludzi, najlepiej nawet znających sprawę kolportażu, mógł przedstawić choć jako tako wiarygodne cyfry pod tym względem. Przynajmniej moje rozpytywania i badania w tym kierunku nie dały mi nawet żadnej nici przewodniej, żadnego probierza w tej sprawie. Istnieją tylko ogólne wrażenia, wyniesione z dłuższej roboty przy interesie u tych czy innych działaczy partyjnych. Dadzą się one streścić w sposób następujący:

Jedną z głównych przeszkód do prawidłowej sprzedaży broszur i pism zakazanych jest przyzwyczajenie w większych miastach do otrzymywania bibuły darmo. Ruch socjalistyczny właśnie się w tych większych miastach rozpoczął, a pierwsze stadia jego, jeśli odznaczały się ogromnym zapałem i poświęceniem, to brakowało im ładu i porządku. Oprócz tego trzymano się systemu rozpowszechniania bibuły za pomocą rozrzucania, wpychania jej gwałtem. I oto, jako jeden ze skutków tego rodzaju roboty, jest niechęć do płacenia za bibułę.

– Nie masz wyobrażenia – mówił mi jeden z towarzyszy, który przez dłuższy czas pracował w Warszawie, – jak trudno wprowadzić w życie regularne płacenie za wydawnictwa. Zdawałoby się, coż prostszego – oto masz tyle to egzemplarzy takiej to broszury, sprzedaj je za taką to sumę, a jeśli ci się to nie uda zupełnie lub w części, zwróć wszystko lub niesprzedaną resztę. Gdzie tam! robotnicy u nas zgodzą się dać składkę na partię, niekiedy nawet przenoszącą wartość tej bibuły, którą przeczytali. Lecz płacić za każdy egzemplarz, sprzedawać bibułę – na to zgadzają się z trudnością.

– Znajdziesz wielu, – dodał jeszcze, – którzy są zasadniczymi przeciwnikami handlu bibułą. Twierdzą oni, że w ten sposób zmniejsza się powaga i siła jednej z głównych pod-

staw naszego ruchu – ofiarności. Słowem, można się nasłuchać najrozmaitszych argumentów, od najbliższych do poważnych, zaczerpniętych i z praktyki, i z etyki, a skierowanych przeciwko sprzedaży prawidłowej wydawnictw.

– Partia nasza – mówił mi inny – stara się przeprowadzić reformę w rozpowszechnianiu bibuły za pomocą prawidłowego kolportażu. Dotąd pewne rezultaty osiągnięto jedynie przy rozpowszechnianiu wydawnictw broszurowych i książkowych. Dla „Robotnika”, ogromnie trudno, niekiedy niepodobna wprowadzić w życie tę reformę – w tym wypadku trzeba się zadawać składkami. I bodaj główną przyczynę względnego powodzenia reformy co do bibuły broszurowej zawdzięczać należy temu, że przy rozroście stosunków jest jej za mało. Popyt znacznie przewyższa w tym wypadku podaż, wtedy, gdy „Robotnik” przychodzi stale w określonej zgóry ilości, do której się ludziska przyzwyczajają.

– Tym czasem – tłumaczył mi dalej – raz po raz się zdarza, że się dowiadujemy o handlu naszą bibułą poza nami. W dodatku ceny w takich wypadkach są zawsze wyższe niż te, które my swym kolporterom naznaczamy. Jest to dowodem, że prawidłowy kolportaż – naturalnie, z uwzględnieniem *viris maioris*, żandarmów, rewizji i aresztowań – jest u nas możliwym i oprzećby na nim można zarówno działalność wydawniczą, jak prawidłowe sądy o wartości tego lub innego wydawnictwa.

Co do określenia części, czy to dochodów z rozprzedaży bibuły, czy też stosunku druków rozprzedawanych do rozdanych, to ani z rozmów, ani z danych partyjnych żadnego wniosku wyciągnąć nie mogłem. Najwidoczniej reforma, o której mówiłem wyżej, jest jeszcze tak świeżej daty, że niepodobna oznaczyć jej wyników.

Napomknąłem wyżej o zrzeszaniu się czytelników „Robotnika” w grona i kółka, które zadawają się jednym egzemplarzem pisma. Jest to najwyższy typ czytelnictwa, osiągnięty dotąd. Typ ten umożliwia rozszerzenie koła czytelników, nie wymagając dosyć trudnego ze względów technicznych powiększenia produkcji drukarnianej. W zysku zaś otrzymuje się oprócz tego zacieśnienie węzłów organizacyjnych pomiędzy zrzeszonymi czytelnikami, co przy gwałtownym dążeniu ze strony rządu do rozatomizowania społeczeństwa, trzymaniu go, jak się nieraz wyraził były minister finansów carskich, p. Witte, w stanie sproszkowanym, ma niepoślednie znaczenie. Życzyłby więc należało, by właśnie ten typ stopniowo otrzymywał przewagę nad innymi i stał się regułą, przynajmniej dla „Robotnika” i innych pism partyjnych.

Specjalnym rodzajem bibuły, wymagającym też specjalnego sposobu rozpowszechniania, są odezwy, wydawane przez centralny i lokalne komitety partyjne. Komitety te zwracają się ze swymi odezwami do szerokiego ogółu, nawołując go do jakiegokolwiek czynu lub wystąpienia, albo też tłumacząc znaczenie jakiegokolwiek wypadku, zajmującego w danej chwili umysły publiczności. Nie chodzi tu o przekonanie lub kierowanie opinią wśród członków organizacji – do tego istnieją zwykle organizacyjne drogi, – lecz o wywarcie wpływu natychmiastowego na ludzi, stojących poza organizacją, nie należących do jej szeregów bojowych.

Wobec tego koniecznym jest, by odezwa była rozpowszechniona, „puszczona” – jak o tej akcji mówią rewolucjoniści – jak najszerzej, by jak najwięcej o niej gadano i dyskutowano. Im więcej się hałasu, zwracającego powszechną uwagę, zrobi przy puszczeniu odezw, tym łatwiej osiągnąć cel: owładnąć opinią, przykuć jej uwagę w potrzebnej chwili do tego, a nie do innego zjawiska, do takiego, a nie innego sposobu pojmowania sprawy.

Trzeba przyznać, że wielce pomocnym właśnie w reklamowaniu – że się tak wyrażę – odezw jest sam rząd. Odezwy należą do rzeczy, najbardziej drażniących agentów rządowych – policjantów i żandarmów, osobliwie pierwszych, którzy przeważnie odznaczają się kapitalną głupotą i brakiem taktu politycznego. Robią oni zwykle tyle hałasu z powodu

każdej odezwy, latają, jak opętani, po mieście, chwytają najniewinniejszych ludzi, by wykażać swą troskliwość o dobro cara, że nawet głusi usłyszą o odezwach, ślepi je dojrzą, a zwykła ciekawość ludzka zmusi publiczność do wyszukiwania przyczyn nadzwyczajnego rozjątrzenia niedźwiedzia policyjnego. Szczególnie na prowincji w takich wypadkach policja, obudzona ze słodkiej drzemki, dostaje jakiegoś ataku szału i wściekłości, tym śmieszniejszego, że w warunkach życia prowincjonalnego, widocznego dla całego otoczenia.

Atak zostaje w dodatku zwiększony przez okoliczność, że fakt rozrzucenia odezwy wchodzi w zakres działalności dwóch instytucji, konkurujących zwykle pomiędzy sobą – żandarmerii i policji zwyczajnej. W normalnych czasach policja podlega niejako żandarmerii i musi wypełniać jej rozkazy, ale swoją drogą z zawiścią patrzy na wpływy „fijołków” i chciałaby wykazać, że jest równie uzdolniona do tropienia i ścigania „wewnętrznych wrogów” cara. I oto odezwy stają się polem, na którym odbywa się wyścig sług carskich. Właściwie jest to sprawa polityczna i jako taka należeć musi do żandarmerii, ale zarazem, stanowiąc zakłócenie „spokoju i porządku” publicznego, wchodzi w zakres funkcji policyjnych. A że zwyczajna policja zwykle pierwsza się dowiaduje o odezwach, więc śpieszy wyzyskać tę szansę, by ubiec żandarmerię i uprzedzić ją w wyszukaniu winowajców.

Ogromną większość tych „winowajców”, wytropionych przez policję, stanowią ludzie, zatrzymani przy czytaniu odezw przyklejonych, przy podejmowaniu rzuconego na ulicy druku – w ogóle tę większość stanowią zwykli ciekawscy. Właściwie nawet, używając słowa „większość”, popełniłem błąd – słuszniejszym by było użyć słowa „wyłącznie”. W ciągu ostatnich dziesięciu lat słyszałem zaledwie o dwóch wypadkach, gdy zatrzymano istotnych winowajców, to jest tych, którzy rozpowszechniali rzeczywiście odezwy. A przecie większość odezw pociąga za sobą aresztowanie tej lub innej ofiary wściekłości policyjnej. Co prawda, ofiary te przeważnie z łatwością udowadniają swą zupełną niewinność i po paru tygodniach aresztu wychodzą na wolność.

Opowiadano mi o zabawnej scenie, która miała miejsce w kieleckim biurze policmajstra po rozrzuceniu i rozlepieniu odezw po raz pierwszy prawdopodobnie od czasu powstania – 1863 r.

Policja po rozpowszechnieniu już odezw wykazała swą gorliwość i aresztowała trzech Bogu ducha winnych ludzi, których przyłapała w różnych punktach miasta nad ranem przy czytaniu rozrzuconych i rozlepionych odezw. O godzinie 9 czy 10 rano, otoczonych liczną strażą, przyprowadzono ofiary gorliwości policyjnej do policmajstra. Ten wpadł na nich z furją, wymyślając im okropnie, grożąc strasznymi karami, używając bogatego słownika rosyjskich połajanek.

– Zgnoję was, buntowników, w więzieniu! – ryczał zapieniony dygnitarz, – no, powiedz mi zaraz, łajdaku, jak to rozrzucałeś te świstki – zwrócił się do jednego z aresztowanych, wskazując na odezwę.

– Ależ, panie naczelniku, – usprawiedliwiał się nieborak – ja wcale nie rozrzucałem tych papierków. Ja tylko chciałem zedrzeć jeden taki papierek, naklejony na murze.

– Co?! zdzierać! – wściekał się ze złości policmajster. – Kto pozwolił? Ja tobie, łajdaku, pokażę, co to jest zdzierać! Widzisz go? Zamknąć go do aresztu! – rzucił rozkaz policjantom.

Jednym z uciążliwych obowiązków niższych urzędników policyjnych przy rozsypywaniu odezw jest dostarczenie samych odezw, jako corpus delicti. Odezwy te, ściągnięte z różnych stron, zbierają się do kupy, obliczają je do protokołu i tworzy się raport o „buntowniczych” odezwach, rozrzuconych w takim i takim mieście. Opowiadano mi, że po

pierwszych odezwach w Zagłębiu naczelnik powiatu będzińskiego, któremu dostarczono szesnaście odszukanych odezw, złożył raport następujący:

„Ludzie złej woli takiego to dnia rozrzučili odezwy takiej a takiej treści. Rozrzucono 16 odezw, które przy niniejszym raporcie załączam”.

Według raportu więc wyłapano wszystkie odezwy, rozrzucone tego dnia.

Przy odszukiwaniu odezw, jako corpus delicti, dzieją się najrozmaitsze rzeczy, zdumiewające swą głupotą, a ściągające uwagę otoczenia i zatem robiące reklamę samej odezwie.

W którymś numerze „Robotnika” opisany jest, np. następujący fakt:

W Ostrowcu, osadzie fabrycznej w Radomskim, policja gwałtownie poszukiwała odezw, o których słyszała, że były rozrzucone w tym miasteczku. Nareszcie na którymś słupie telegraficznym odnaleziono przyklepioną odezwę. Paru strażników zaczęło gorliwie pracować nad tym, by zdjąć proklamację bez uszkodzenia druku. Lecz papier był przyklejony porządny, mocnym klejem i biedni strażnicy byli w kłopotcie. Przynieśli wiadro wody, moczyli papier, lecz szło im trudno.

Strażników otoczyła kupa gapiów, z ciekawością oglądających ciężką robotę „naczelników”. W gronie widzów roztrząsano fakt rozlepienia odezw, opowiadano sobie treść jej, pytano strażników, po co właściwie tak gorliwie pracują, gdy łatwiej wprost zeszkrobać papier. Nie brakowało też i żartów.

– Językiem, panie strażnik, językiem – woła ktoś z gromady, – łatwiej będzie!

– Ach, ty czort – woła obrażony w swej godności naczelnik, – ja tobie!

Pan naczelnik porzuca robotę i rozpoczyna urzędowanie – rozpędza niedozwolone zbiegowisko. Ludzie rozbiegają się, lecz po chwili wracają, do nich się zbliżają inni i stopniowo tworzy się nowa grupa ciekawych.

W innym miejscu nalepiono odezwę na wagonie pociągu, idącego w głąb kraju z Warszawy. Użyto i w tym wypadku porządnego kleju, tak, że gdy wreszcie na którejś stacji spostrzeżono odezwę, żandarmi kolejowi nie mogli od razu jej zedrzeć bez uszkodzenia. Cóż robią mądre fijoły? Zatrzymują pociąg, odczepiają wagon z odezwą i wypilowują zeń deskę, na której proklamacja była nalepiona. Naturalnie, wywołuje to sensację nielada wśród pasażerów pociągu.

W większych miastach, rzecz prosta, władza jest mniej naiwną i więcej ostrożną. Tu żandarmeria ma stanowczą przewagę nad policją zwyczajną i, będąc lepiej zorganizowaną, bardziej czujną i baczną, niełatwo daje się wyprzedzić na polu ścigania „buntowników”. Choć nawet w takiej Łodzi, mieście z półmilionową prawie ludnością, zdarzały się wypadki, że władza swym rzucającym się w oczy postępowaniem robiła post factum reklamę odezwom rewolucyjnym.

Akurat, gdym mieszkał na Wschodniej ulicy, w drukarni partyjnej, rozpowszechnioną została odezwa z powodu kryzysu w przemyśle tkackim. W dzień rozpowszechnienia odezwy miałem interes w Warszawie i wracałem do domu wieczornym pociągiem, przychodzącym do Łodzi po jedenastej, a więc po zamknięciu bram w domach łódzkich. Ku wielkiemu zdumieniu zastałem bramę otwartą, a stróża stojącego przy niej.

– Adamie! – pytam zdziwiony – coż to tak późno dzisiaj zamykacie bramę?

Adam w odpowiedzi wzruszył ramionami i lakonicznie odpowiedział:

– Kazano całą noc pilnować.

Byłem nieco zaniepokojony tym dziwnym rozkazem, lecz już od żony się dowiedziałem, że w całej Łodzi z powodu odezw kazano stróżom stać przy bramach do świtu i łapać tych, co „będą się zatrzymywali przy murach” – tak bowiem określił rewirowy czynność rozlepiania odezw po mieście. Naturalnie, cała Łódź mówiła o naszej odezwie i nawet ci,

do których ona nie doszła, z konieczności dowiadywali się o niej, rozpytywali się o nią, starali się ją dostać.

Rzucające się w oczy „pogotowie ratunkowe” policji, będące taką wspaniałą reklamą dla ruchu rewolucyjnego, dochodzi do olbrzymich rozmiarów przy dorocznych obchodach, gdy rząd z pewnością oczekuje publicznego wystąpienia organizacji rewolucyjnych. Takim obchodem jest Pierwszy Maj, powszechne święto robotnicze. Jestem przekonany, że połowę popularności tego święta zawdzięczać należy krzyczącej w niebogłose reklamie, urządzanej co rok przez rząd i jego organy. Reklama ta trwa wówczas tygodniami. Policja wszędzie jest tak zajęta, tak biegającą i zakłopotaną, stróże tak przeciążeni dyżurami nocnymi i wieczornymi, ulice tak pełne patroli i nawet hałastry żołnierskiej, że najobojętniejszy człowiek poruszyć się musi i dowie się o „groźnej porządkowi i spokojowi publicznemu agitacji socjalistycznej”. A że w Polsce „porządek”, reprezentowany przez nahajkę sług carskich, nie cieszy się w ogóle zbyt dużą sympatią, więc nic dziwnego, że reklama ta skierowuje sympatie najszerszego ogółu właśnie w kierunku „zakłócających porządek obecny”.

Jeden z moich kolegów szkolnych – wcale nie socjalista – inżynier, który zarządzał przez pewien czas fabryką w głębi Rosji, opowiadał mi, w jaki sposób się dowiedział o święcie majowym i obchodzie w Polsce, gdy sprawa ta jeszcze nie była tak głośną, jak obecnie. Przytaczam tu jego opowiadanie, chociaż nie tyczy się ono Polski, a to dlatego, że jest ono nadzwyczaj charakterystycznym dla postępowania rządu carskiego i jego niezdolności do wyczuwania nastroju społecznego i zrozumienia nawet własnych interesów.

– Fabryka, którą zarządzałem – opowiadał mi kolega – przeżywała w owe czasy ciężki kryzys. Zamówień było mało i nie mogliśmy zużywać tej siły roboczej, która jeszcze z czasów pańszczyźnianych przyzwyczaiła się do pracy w naszym zakładzie przemysłowym. Musiałem oddać część robotników, lecz ci zaproponowali mi układ. Aby uniknąć pozbawienia wszelkiego zarobku części personelu robotniczego, żądali oni skrócenia dnia roboczego dla wszystkich, przy równoczesnym obcięciu zarobku dla wszystkich bez wyjątku. Obliczyłem, że mogę zająć wszystkich tylko w przeciągu sześciu godzin dziennie i wyjaśniłem robotnikom, że w tych warunkach płaca będzie bardzo niską. Robotnicy zgodzili się na te warunki i fabryka nasza pracowała tylko sześć godzin.

Coś w początku kwietnia – ciągnął dalej – przyjechał do fabryki komisarz policyjny – przystaw, jak go tytułują w Rosji – z miną okropnie zakłopotaną. Sądziłem, że jakiś kryminal sprawdził go do mnie. Okazało się jednak, że była to sprawa poważniejsza – państwu groziła rewolucja.

Z chwilą, gdyśmy zostali sami w gabinecie, pan przystaw przyciszonym głosem zapytał mnie:

– Cóż, u pana wszystko spokojnie?

– Naturalnie! – odpowiedziałem. – A co?

– A Pierwszy Maj? – pytał dalej. – Nic się u pana nie przygotowuje w fabryce?

Nic dotąd nie słyszałem o Pierwszym Maju, w gazetach bowiem nie pisano o tem ani słowa. Byłem więc zdumiony i nie mogłem zrozumieć, o co chodzi wystraszonemu przedstawicielowi władzy.

– Pan nic nie wie, – nachylił się ku mnie przystaw. – Rewolucja, panie, rewolucja, otrzymałem papier.

Podskoczyłem na krześle.

– Gdzie? Co? Jak? – pytałem – i tu u nas? Śmiej się pan z tego!



– Ależ, panie – prawil urażony urzędnik – otrzymałem papier, mówię panu, z samego Petersburga. Piszą wyraźnie – w fabrykach na pierwszy maja żądać będą 8 godzin pracy, w Warszawie rewolucja.

– W Warszawie? – tknęło mię to słowo – rewolucja? Ośm godzin? Nic nie rozumiem. Masz pan ten papier?

Prystaw pokazał mi papier. Był to okólnik z departamentu policji, nakazujący władzom politycznym przed pierwszym maja objechać fabryki, znajdujące się w ich rewirach i dowiedzieć się o nastroju wśród robotników. Okólnik nakazywał zażądać od zarządów fabryk i zakładów przemysłowych natychmiastowego zawiadomienia władz policyjnych w razie zejść jakich na pierwszego maja. Następnie wytłumaczono, że na kongresie międzynarodowym przewrotowe elementy postanowiły żądać w fabrykach ośmiogodzinnego dnia roboczego, że wreszcie w Warszawie i innych miejscach Królestwa Polskiego doszło do zaburzeń pod wpływem knowań „ludzi złej woli”. Okólnik wreszcie nakazywał policji być w pogotowiu do zduszenia hydry rewolucyjnej i w razie potrzeby zwracać się do odpowiednich władz po pomoc wojskową.

– Więc? – pytał prystaw, gdym skończył czytanie, – co pan teraz powie?

– Bądź pan spokojny – odpowiedziałem, – u mnie pracują ludzie sześć godzin.

– Cóż z tego – mówił prystaw, – ale rewolucja rewolucją. Dobrze panu tak być spokojnym – mówił, widząc, że się uśmiecham, – ja w innym jestem położeniu, papier do mnie przyszedł z samego Petersburga, w moim rewirze mam tylko jedną fabrykę – pańską – dzisiaj całą noc nie spałem, jak tylko brzask, kazałem zaprząć konie i do pana, a pan mi mówi – sześć godzin. Dobrze, że nie ośm, ale ja pytam pana, jaki jest nastrój? Pan to musi przecie wiedzieć.

Długo uspakajałem pana prystawa, wreszcie zapewniłem, że w razie czego natychmiast go zawiadomię. Prystaw wreszcie schował papier petersburski z napisem u góry: „bardzo poufne” – i wyjechał.

W parę dni po wizycie prystawa przyszła do mnie deputacja robotników z żądaniem, bym raz jeszcze potwierdził umowę, zawartą poprzednio, i obiecał, że nikogo z fabryki nie oddalę. A gdym zapytał, czemu przypuszczają, że mam złamać umowę, odpowiedzieli:

– Widzisz pan! Furman prystawa mówił, że panowie chcą urządzić u nas po zagranicznemu, żeby ośm godzin pracować w fabrykach, żeby naród od ziemi się nie odzwyczajał. Ale my nie chcemy ośmiu godzin, bo część robotników będzie wówczas wydalona.

Nie mogłem zrozumieć, co za stosunek istnieje z ziemią przy ośmiogodzinnym dniu roboczym. Prawdopodobnie chodziło tu o jakieś wiecznie się powtarzające pogłoski o nowym nadziale ziemi, ale zgodziłem się i potwierdziłem raz jeszcze, że nikogo z fabryki nie oddalę.

Powyższe opowiadanie kolegi zawsze mi się przypomina, gdy słyszę lub widzę niezręczne, pozbawione taktu i zrozumienia sytuacji kroki zarówno rządu centralnego, jak i różnych jego agentów, przez swą gorliwość przyczyniających się do rozszerzenia autorytetu „przewrotowców”, których się zwalcza, do rozpowszechnienia tej lub innej myśli, którą się głuszycy.

Puszczanie odezów nie jest trudnym, gdy „pogotowie policyjne” nie działa. A że w większości wypadków policja mobilizuje swe siły post factum, więc najczęściej rozrzucenie i rozlepienie odezów odbywa się zupełnie swobodnie. Ludzie zwykle się urządzają w ten sposób, że dzielą miasto na rewiry i każdy z tych rewirów oddają pod opiekę jednemu lub dwu towarzyszom. Część odezów idzie z ręki do ręki, lecz tą drogą proklamacje idą dopiero po rozrzuceniu i rozlepieniu w mieście. Większość odezów rozrzuca się na schodach domów, do skrzynek listowych, na ścieżkach, po których przechodzą robotnicy, w fabrykach

i w warsztatach. Niewielka ilość pozostaje do rozlepiania na parkanach, murach, słupach telegraficznych itd.

Ta ostatnia czynność jest najniebezpieczniejszą, szczególnie, gdy chodzi o odezwy dorożnicze, oczekiwane przez policję. Lecz niebezpieczeństwo podnieca ludzi i wśród robotników zawsze znaleźć można ochotników do takiej właśnie roboty. Rozwijają się nawet swego rodzaju brawura, chęć urządzenia jakiegoś nadzwyczajnego psikusa, splątania figła zuchwalego. Dochodziło do tego, że nalepiano odezwy na plecach stójkowych, kozaków i stróżów.

Ogromna większość odezwy, rozlepionych na ulicach, niknie bardzo prędko. Zdzierają je policjanci i stróże. Lecz że władza nie jest pewna, czy wszystkie odezwy zostały usunięte z widoku publicznego, więc się odbywa długie polowanie na odezwy, poszukiwanie na murach i parkanach miejskich. W wyjątkowych wypadkach odezwy rozlepione przetrwać zdołają – szczególnie w dużych miastach – kilka godzin rannych, odezwy bowiem rozlepia się zwykle wieczorem albo w nocy.

Jeden z towarzyszków opowiadał mi o tym, jak strzelano do niego w czasie rozpowszechniania odezwy. Było to w Zagłębiu Dąbrowskim, w noc przed Świętą Barbarą, patronką górniczą. Rok przed tym wydana była odezwa w tym czasie i władza przygotowywała się wówczas do przeciwdziałania „buntownikom”, zmobilizowała swe siły, by zapobiec powtórzeniu „zbrodniczego knowania”.

– Mieliśmy, ja z innym towarzyszem – mówił mi on – wyznaczone sobie części Zagłębia do obejścia i puszczenia odezwy. Jużemy byli ku końcowi swej roboty. Został nam szereg domów robotniczych, przytykających prawie do toru kolejowego. Postanowiliśmy nalepić odezwy na słupkach, wkopanych przed każdym wejściem do domu. Doszliśmy do połowy szeregu, gdy usłyszałem szybkie kroki na przeciwległych schodach. Było to akurat w chwili, gdy zaledwie przytknął odezwę do słupka w tym miejscu, gdzie mój kolega posmarował klejem. Przycisnąłem papier do kleju, nie przestając jednak patrzeć na wyjście z domu. Spozregłem w drzwiach człowieka, który ujrzawszy nas, szybko się do nas zbliżać zaczął.

Odsunęliśmy się od słupka na środek drogi, wciąż słyszałem kroki za sobą. Żeby nasstraszyć prześladowcę, opuściłem laskę stalową, którą miałem w ręku i zaczepiłem ją o parę kamieni na drodze. Laska zabręczała i ku wielkiemu zadowoleniu spozregłem, że dźwięk doleciał i do uszu człowieka, idącego za nami. Zatrzymał się on i wkrótce usłyszałem jego pośpieszne kroki, skierowane z powrotem do domu.

Lecz uchodząc od naszego prześladowcy, posunęliśmy się zbyt daleko, zbliżyliśmy się do toru kolejowego, przy którym stała budka dróżnika. Gdy człowiek, idący za nami, już nas opuścił, usłyszeliśmy przed sobą dźwięk, który ucho rewolucjonisty w zaborze rosyjskim wyróżni z pomiędzy całego mnóstwa innych. Był to dźwięk ostróg, dowodzący, że ich posiadacz, prawdopodobnie żandarm, stanowiący część „pogotowia ratunkowego” policji, był o kilka kroków przed nami. Skręciliśmy od razu na prawo, na szeroką drogę, wiodącą do sąsiedniej kopalni. Nagle za nami usłyszeliśmy groźny okrzyk w języku urzędowym.

– *Stój! Kto idiot?*<sup>1</sup> – krzyczał żandarm. Szedł za nami, bo ostrogi jego brzęczały dalej.

Nie odpowiadaliśmy ani słowa i przyśpieszyliśmy kroku. Droga była równa, bez żadnych zakrętów, lecz o parę minut drogi po lewej stronie musieliśmy znaleźć dół dosyć głęboki – pozostałość po dawnych kopalniach. Postanowiliśmy zbiec, a raczej zsunąć się do

---

<sup>1</sup> Stój! kto idzie?

tego dołu, przebiec go wszerek i po drugiej stronie wydrapać się z niego. Byliśmy przekonani, że żandarm nie ośmieli się iść za nami w głąb dołu.

Lecz nim doszliśmy do celu, żandarm raz jeszcze krzyknął nam, żebyśmy się zatrzymali. Naturalnie, żadnej odpowiedzi nie otrzymał. Po chwili, gdyśmy już byli nad dołem, rozległ się wystrzał jeden, a następnie drugi. Dodało to nam, rzecz prosta, charakteru w nogach. Piorunem zsunęliśmy się do dołu i zniknęliśmy w mrokach nocy. Żandarm nie gonił nas.

Po kilku dniach dowiedziałem się o rozmowie, jaką miał nasz pierwszy prześladowca. Był to górnik z kopalni. Gdy wrócił do domu, opowiedział swemu koledze, którego znałem, o tem, że spotkał na ulicy tych, „co rozlepiają odezwy”. Opowiadał, że chciał się przypatrzeć takim ludziom i biegnął ku nim.

– Bój się Boga! – przerwał mu opowiadanie mój znajomy, – ależ oniby cię mogli potraktować sztyletem. Może sądzą, że chcesz ich łapać.

– Właśnie! – odpowiedział górnik. – Nie głupim. Jak tylko zabręczał „on” swym nożem, ja zaraz w nogi. Odważni ludzie te socjaliści!

O innym zabawnym wypadku, który miał miejsce w Warszawie przy puszczeniu odezwy majowych, słyszałem następujące opowiadanie:

Stróż na dalszym przedmieściu stolicy zauważył człowieka, przylepiającego papier do parkanu. Natychmiast skoczył ku niemu, by go zatrzymać. Lecz człowiek, chcąc umknąć, zdążył wskoczyć na parkan w chwili, gdy stróż do niego podbiegał. Już przerzucił jedną nogę na drugą stronę parkanu, gdy go stróż schwycił za spodnie na drugiej nodze. Nasz towarzysz znalazł się w dosyć niewygodnej pozycji. Parkan był bardzo wąski, stróż ciągnął go za spodnie w dół, w każdej chwili mógł on spaść z parkanu w objęcia stróża. Zebrał więc wszystkie siły i kopnął nogą w twarz ściągającego go stróża. Ten nie wytrzymał uderzenia. Przewrócił się, lecz urwał, padając, dolną część spodni towarzysza, który również nie potrafił zachować równowagi i ze zdefektowanym ubraniem spadł z parkanu po drugiej stronie do jakiegoś ogrodu. Pomimo, że się nieco potłukł, natychmiast podniósł się i zmknął. A zmykając, słyszał przeraźliwe gwizdki stróża i wołania jego: „łapaj złodzieja!”

Ten okrzyk: „złodziej” nieraz słyszą nasi towarzysze przy łapaniach i aresztowaniach. Władza i organy policyjne wiedzą doskonale, że walka rewolucyjna, przeciw rządowa w Polsce otoczona jest tak powszechnym współczuciem i sympatiami, że trudno rachować na pomoc otoczenia, gdy się ma do czynienia z rewolucjonistami. Przeciwnie, spotkać można w takich wypadkach nie pomoc, lecz przeciwdziałanie. I oto, gdy trzeba się uciec do pomocy publiczności, gdy się chce wywołać współdziałanie ludzi, nie mających zaszczytu być oficjalnymi podporami azjatyckiego tronu carskiego, używa się hasła: „łapaj, trzymaj złodzieja!”

Mimowolnie sprawcy aresztowania „politycznego” nieraz gorzkie robią sobie wyrzuty, że się stali pomocnikami ohydnych gwałtów policji carskiej. Spotkałem raz pewnego pod Wilnem jednego kolejarza, który mi ze łzami w oczach opowiadał o takim fakcie.

– Szedłem – mówił mi wzruszonym głosem – późnym wieczorem po ulicy. Słyszę za sobą szybkie kroki biegnącego człowieka i krzyk: „łapaj, złodziej, złodziej!” Odwracam się, przede mną młody Żydek z wystraszoną twarzą, zadyszany i spocony. Chciał biedak skrócić do zaułka, w którym prawdopodobnie znikłby i umknął od prześladowców. Lecz ja, nic nie wiedząc, schwyciłem go za kark. A tuż za nim wpadli naraz: rewiry i dwóch stójkowych.

Jeden z nich uderzył Żydka w twarz, łajac.

– *Ach, ty sukinsyn!* – krzyczał, – *parszywyj żyd, buntowat, wzdumał!*<sup>1</sup> – rewirowy trzymał w ręku jakiś papierek.

Ręce mi opadły, gdym to usłyszał. Mój ty Boże, – dodał z westchnieniem, – i czemu też nie rzeknął mi on przed chwilą, że go ściga policja za politykę!

Wobec tego należy być nadzwyczaj ostrożnym w udzielaniu jakiegokolwiek pomocy policji, należy się wystrzegać tego szczególnie w czasie zaburzeń i rozruchów ludowych i podczas dni, gdy policja jest niespokojną i nerwową.

---

<sup>1</sup> Ach, ty sukinsynu!... Żydzie parszywy, buntować się umyśliłeś?

## ZAKOŃCZENIE

Zatrzymałem uwagę swych czytelników może zbyt długo nad bibułą, zdaje mi się jednak, że zasługuje ona na to. Słowo drukowane w obecnych społeczeństwach jest uznana powszechnie potęgą. Jego postęпами, jego rozwojem, jego rozpowszechnianiem mierzą niektórzy siłę, owoc i stan cywilizacji i kultury. A jak my, Polacy, w zaborze rosyjskim stoimy pod tym względem? Odpowiedź łatwa.

Dosyć sobie przedstawić ludzi, którzy nie mają prawa czytać niesfalszowanej historii swego narodu: dosyć widzieć utwory naszych wieszczów, pokaleczone brutalną ręką cenzorów; dosyć pomyśleć, że istnieje nowoczesne społeczeństwo, w którym stronnictwa polityczne albo są pozbawione prawa istnienia, albo w najlepszym razie skazane na przemawianie potwornym, niewolniczym językiem Ezopa; dosyć wyobrazić sobie, że szeroka, tak bolesna dla nas działalność rządowa podlegać nie może wcale publicznej krytyce – a często nawet zwykłemu omówieniu; dosyć tego wszystkiego, by wiedzieć, jak nie odpowiadającym potrzebom społeczeństwa jest stan legalnego słowa drukowanego, jak ponizająco wyglądamy wobec innych narodów.

Lecz chociaż „żyjemy w pomroczy”, żyć chcemy. I oto, jako dowód tego życia, wytwarzamy wspaniałe zjawisko – tajną, nielegalną literaturę, ilością prawie dorównującą legalnej, a wpływem może ją przerastającą. Wbrew gwałtom i przemocy, pomimo turm i knuta, naród nasz w swym łonie wytwarza, jak i inne, szczęśliwsze narody, stronnictwa i partie, żyje skomplikowanym, nowoczesnym życiem politycznym, a najczęstszym tego życia dowodem jest nie co innego, jak nielegalne słowo drukowane – bibuła.

Jak już zauważyłem, wszystkie stronnictwa w Polsce walczą tą bronią, lecz, rzecz prosta, ci, którym dzikie, azjatyckie urządzenia caratu odmawiają prawa bytu, muszą się do niej uciekać częściej, najbardziej nad jej wyostreniem pracować. Są nimi demokraci wszelkiego gatunku, a przede wszystkim socjaliści, jako ludzie, których sama nazwa, sama etykieta należy do rzeczy, prześladowanych bezlitośnie. Więc zwycięstwo, rozwój swobodnego, nieskrępowanego pętami cenzury słowa, to przede wszystkim ich zwycięstwo.

Lecz jest ono zarazem zwycięstwem ich – demokratów – i na innym polu, polu, które tak długo, niestety, odłogiem u nas leżało. Tym polem jest dusza narodu, narodu, rozumianego nie jako kasta, nie jako cieniutka warstwa ludzi, uposażonych w bogactwa i wykształcenie, lecz jako ogromny, wielomilionowy konglomerat ludzi, związanych wspólną mową, historią i poczuciem przynależności do tego, a nie innego narodu, konglomerat, w którym olbrzymią większość stanowi lud pracujący wiejski i miejski. Ta dusza, tak długo w bierności pogrążona, budzić się zaczyna: A przecie wszystkie złe duchy naszej przeszłości i terażniejszości – ciemnota i niewola, knut najezdника i interes wyzyskiwacza – sprzyścięły się, by tę duszę w bezwładnej bierności utrzymać. I jeśli obecnie jesteśmy świadkami tego, że „lud drga i szumi, jak fala wód”, to zawdzięczać to należy „gorącemu oddechowi słowa”, słowa demokratycznego, nawołującego go do samodzielnego życia. A słowo to w zaborze rosyjskim jest przede wszystkim słowem drukowanym – bibułą.

To też niejeden z nas, rewolucjonistów, żołnierzy demokracji, patrzy na bibułę, jak na wiernego towarzysza broni, druha serdecznego, współbojownika niezawodnego, z którym się dzieli twarde obozowe życie rewolucyjne, z którym się zwycięża i ginie. Pamiętam, w X pawilonie zawołano mię pięknego dnia sierpniowego na badanie. Otoczony strażą,

wszedłem do pokoju, w którym zastałem oficera żandarmerii, schyłego nad arkuszem papieru. Usiadłem naprzeciw niego i rzuciłem okiem na stół, zielonym sukmem obity.

Stół był pokryty prawie zupełnie papierami urzędowymi, protokołami i innymi produktami pracy żandarmskiej. Lecz na brzeżku stołu ujrzałem plamę, żywym czerwonym kolorem rozweselającą nieco szare, bezbarwne tło przybytku nowoczesnej inkwizycji. Przyjrzałem się tej plamie uważniej i mimowoli wyciągnąłem w tym kierunku rękę. Była to broszura: „Czego chcą socjaliści”<sup>1</sup>. Niegdyś, przed paru laty, byłem obecnym przy jej drukarskich narodzinach w Londynie.

Pisał ją emigrant, tułacz, obce wycierający kąty. Pisał ją gdzieś w górzystej Szwajcarii, myślą i uczuciem tkwiąc w równinach mazowieckich, współczując wszystkimi nerwami niedoli dalekich w przestrzeni, lecz bliskich w sercu chłopów z nad Wisły. Składali ją w Londynie zecerzy, również emigranci; składali, nieraz nie wiedząc, czy jutro kawałek mięsa ujrzą na swym talerzu, z myślą o dalekim ojczystym kraju. I oto myśl i troska serdeczna autora, skryształizowana pracą zecerów w czarnych, drobnych literkach, rozsianych po szmatkach papieru, ubrana w barwną sukienkę okładki, przybrała formę tego, co dalsi jej opiekunowie nazywają zartobliwie bibułą.

Jako bibuła, książeczka, zgodnie z intencją swych ojców, powędrowała z mglistej Anglii do ich ojczyzny. Gdyby ona mówić, opowiadać mogła, usłyszaliby z pewnością ciekawą, pełną romantycznych przygód, historię. Tuliła ją może do gorącego łona opakowana bibułą dromaderka partyjna, leżała ona w składach, w ciemnych koszach i walizkach. Schowana na dnie „brunetki” czy „blondynki”, trzęsła się w wagonach, przemykała się przez sieci trzeciej linii zielonych, drżała pod okiem szpiclów i żandarmów. Wreszcie poszła w świat, rozpoczęła swą służbę.

Była może i w podartych kieszeniach szczelnie zapiętych mundurów akademickich i w zasmelcowanej, przesiąklej potem kieszeni robotnika na fabryce, ukrywała się w zandrzu siermięg chłopskich. Przyjmowano ją różnie: uśmiechem pobłażliwości, okrzykiem zachwytu, wzrokiem nienawiści. I oto wreszcie przyszedł koniec, śmierć obywatelska książeczki.

Pod osłoną mroków nocy do ostatniego jej przybytku wpadli jej prześladowcy – błękitne podpory tronu carskiego. Z brzękiem ostróg, z hałasem nieznanym, obcych jej wyrazów, wyciągnięto ją skądś z ukrycia, być może brutalnie naigrawano się z jej bezsilności. Rzucono ją pogardliwie na stół, ją – córkę swobody – umieszczono w sąsiedztwie z wstrętnymi, ociekającymi krwią, cuchnącymi katownią papierami – aktami przemocy i niewoli.

W tym samym położeniu byłem ja, jej towarzysz broni, świadek jej urodzin w obcym, lecz swobodnym kraju. Skończyły się dla nas piękne dni swobody, przerwało się pasmo przygód, urwała się dla nas walka, a zaczęły się szare, jednostajne dni poniżającej niewoli. Byliśmy tym jeszcze razem zwyciężeni. Lecz to spotkanie w domu niewoli – krótkotrwałe, co prawda, bo żandarm, spostrzegłszy kierunek mego wzroku, przykrył pośpiesznie czerwoną, wołającą o życie plamę szarym urzędowym papierem – sprawiło mi przyjemność. Byliśmy zwyciężeni, ale gdyby ta drobna książeczka myśleć i mówić była w stanie, to, milknąc na wieki w mrocznych murach katowni carskiej, powiedzieć by mogła swym wrogom słowami poety:

Choć mi się oprzesz dzisiaj – przyszłość moja  
I moje będzie za grobem zwycięstwo!

---

<sup>1</sup> Autorem broszury „Czego chcą socjaliści” był Edward Abramowski.

## KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

### Zdjęcia:

1. Aleksander Sulkiewicz, z pochodzenia Tatar, urzędnik carskiej komory celnej, inspirowator i organizator ucieczki Józefa Piłsudskiego z Petersburga. Zginął w Legionach jako oficer Pierwszej Brygady.
2. Dr Władysław Mazurkiewicz. Dzięki niemu i z nim Józef Piłsudski ucieka ze szpitala św. Mikołaja w Petersburgu. Zdjęcie pochodzi z okresu, kiedy był profesorem tarmakognozji i botaniki lekarskiej w wolnej Polsce.
3. Spotkanie Józefa Piłsudskiego z przywódcami emigracyjnego ośrodka PPS w Londynie. Od lewej: Ignacy Mościcki, Antoni Jędrzejowski, Józef Piłsudski, Aleksander Dębski; stoją: Bolesław Miklaszewski i Witold Jodko Narkiewicz.
4. Z listy poszukiwanych przez carską policję. Pozycja I – numer porządkowy: *jedynka*. Pozycja II – stan, pochodzenie, imię, imię ojca, nazwisko, wyznanie, ewentualny pseudonim: *Józef Józefowicz Piłsudski, szlachcic, gub. kowieńska, b. student Uniwersytetu Charkowskiego, wyznanie rz.-katolickie, 27 lat*. Pozycja III – cechy szczególne: *wzrost 2 arszyny 7 3/4 werszka, włosy ciemno-blond, wąsy jasno blond, brwi ciemno blond zrosnięte, oczy szare, nos i usta umiarkowane, podbródek okrągły, cera czysta, na dolnej konsze prawego ucha znamię od urodzenia czarne wielkości łebka od szpilki*. Pozycja IV – czy był pod strażą lub dozorem policji i z jakiej sprawy: *jest pod tajnym dozorem policji*. Pozycja V – gdzie mieszkał ostatnio i za jakim dokumentem: *29 kwietnia roku ubiegłego wyjechał do guberni kowieńskiej a przebywawszy tam do 28 sierpnia tegoż roku, wyjechał do m. Wilna – jak oznajmił, ale go tu nie odnaleziono. Wykryć istotne miejsce jego pobytu tajnymi drogami informacji okazało się niemożliwe*. Pozycja VI – czy ma rodzinę i krewnych i gdzie zamieszkałych: *kawaler, ma ojca mieszkającego w m. Wilnie, braci Bronisława znajdującego się w ciężkich robotach na Sachalinie, Adama, Kazimierza, Jana, Kacpra i Ludwika i siostry Zofię, Marię i Helenę mieszkających w m. Wilnie*. Pozycja VII – dokąd go skierować po odszukaniu: *odszukawszy należy wziąć go pod tajny dozór policji i zawiadomić o tem Departament Policji i Naczelnika Wileńskiego Gubernialnego Zarządu Żandarmerii*.

Naczelnik Zarządu  
pułkownik Czerkasow

**Jest to oryginał i tłumaczenie wyciągu z 943 numeru „Wiadomości o osobach podlegających poszukiwaniu” z 30 czerwca 1894 r., wydawanych przez gubernialną żandarmerię w Wilnie.**

5. Maria z Koplewskich primo voto Juszkiewiczowa, małżonka i towarzysząca prac konspiracyjnych Józefa Piłsudskiego.
6. Józef Piłsudski „Wiktor”. Zdjęcie pochodzi z 1899 roku.

7. Lipniszki. Pierwsza drukarnia „Robotnika”, głoszącego hasła niepodległości Polski i przygotowywania się do czynnej walki z zaborcami.
8. X pawilon Cytadeli warszawskiej. Krzyżykiem zaznaczone okno celi, w której więziony był Józef Piłsudski.
9. Wnętrze celi nr 31. Stąd symulującego oblężenie Józefa Piłsudskiego przeniesiono do więziennego szpitala pod wezwaniem św. Mikołaja w Petersburgu.